KAROLA DICKENSA

WYBÓR DZIEŁ.

ST. FRANCIS COLLEGE,
ATHOL SPRINGS, N. Y.

Karol Dickens
(ur. r. 1812, um. r. 1870.)

DOMBI I SYN.

KAROLA DICKENSA

WYBOR DZIEŁ.

TŁOMACZONE LUB PRZEROBIONE
POD REDAKCYĄ
ANTONIEGO MAZANOWSKIEGO

Z PORTRETEM I ŻYCIORYSEM AUTORA.

DOMBI I SYN.

TRZY TOMY.
Z DWUNASTU ILUSTRACYAMI.

POZNAŃ.
NAKŁADEM DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.
:: NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC. ::
1914.

KAROL DICKENS.

DOMBI I SYN

TRZY TOMY. — TOM PIERWSZY.

Z 4-MA ILUSTRACYAMI.

POZNAŃ
NAKŁADEM DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.
:: NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC. ::
1914.

Powieść p. t. *Dombi i Syn* wyszła w 1847 roku. Było to w dziesięć lat po *Oliwerze Twiście* i *Pamiętnikach Mikołaja Nickleby*, w których Karol Dickens z takim humorem, lecz i sarkazmem chłoszcze wychowawcze stosunki angielskiego społeczeństwa, a zwłaszcza Yorkszyru. W powieści *Dombi i Syn* wraca on ponownie do zagadnień wychowawczych. Nie chodzi mu atoli tym razem tak dalece o szkołę i jej stosunek do młodzieży, jak o dom i stosunek rodziców do dzieci. Ojciec, egoista, pragnie ze syna uczynić narzędzie rodowej wielkości. Ojciec ślepy w swym egoizmie i okrutny. Stąd szereg konfliktów i długa męka dusz ludzkich. Stąd nareszcie katastrofa.

Ale w powieści otwierają się szerokie widnokręgi na życie rodziny: dwojga małżonków, z których każde nie wnosi w związek wspólnoty duchowej i dobroci serca, lecz dumę, rzekomą niezłomność i żądzę niepodzielnej władzy.

W powieści otwierają się widnokręgi i na życie towarzyskie: niedorzeczne zabiegi niższego stanu do wdarcia się w obręb stanu wyższego; bezkrytyczny pietyzm parweniuszów dla rzekomego arystokratyzmu i cała gama protekcyjnych

uśmiechów ze strony noblesy, maskująca nie dość wyraźnie lekceważenie, ironię, czasem szyderstwo względem natrętników.

W powieści otwierają się widnokręgi na stosunki kupieckie: pada w gruzy wielki dom handlowy dzięki protekcyjnemu systemowi w doborze sił roboczych i dzięki hazardowi operacyi.

Wszystkie tezy ważne. Wszystkie opromienione geniuszem twórczym, który społeczne zagadnienia przeistacza w obrazy malownicze. Przed okiem czytelnika przewija się setka scen, tłum postaci, które nieraz — jakby to nasz Słowacki powiedział: „witamy uśmiechem, żegnamy łzami.“ —

A. M.

I. Dombi i syn.

Dombi siedział w kącie ciemnej komnaty w dużym fotelu przy łożu, a syn ciepło otulony spoczywał w plecionej kolebce, przytulnie ustawionej na kanapie koło kominka przed ogniem, niby świeżo upieczona bułeczka, którą kładą w ogrzanem miejscu, nim przypieką.

Dombi — ojciec miał około czterdziestu ośmiu lat; syn około czterdziestu ośmiu minut. Dombi był łysy, czerwony, zgoła przystojny i wspaniałej postawy, choć nazbyt poważny, by mógł ku sobie przyjaźnie usposabiać. Syn był całkiem czerwony i łysy, dziecię, — niema co mówić — miłe i piękne, choć jakby pogniecione i z plamami na ciele. Czas i rodzona siostra jego — troska — owa para bliźniąt bez braku pustosząca dziedzinę ludzką — zapisały już na czole Dombi kilka złowieszczych rysów, jak drwale na pniu, przeznaczonym na zrąb. Srogie bliźnięta wciąż chodzą po ludzkim lesie i tu i owdzie kładą swe znaki. Oblicze syna było wzdłuż i poprzek porysowane mnóstwem malutkich zmarszczek, lecz zdradziecki czas tępą stroną swej niszczącej kosy miał wyrównać i wygładzić dla siebie to nowe pole, aby później ryć na niem głębokie brózdy.

Dombi, pełen rozkoszy, pobrzękiwał złotym łańcuszkiem, zwisającym z pod poły granatowego fraka, którego guziki świeciły przy mdłych promykach ognia jakimś fosforycznym blaskiem.

Syn leżał w kołyseczce z piąstkami zwartemi, jakby na bój wyzywał samowolny los, darzący go niespodzianym bytem.

— Dom nasz odtąd, pani Dombi — ozwał się pan Dombi — nie z imienia tylko, lecz w istocie znowu staje się: Dombi i Syn! Dombi i Syn!

Słowa te wywarły na położnicę tak kojące wrażenie, że pan Dombi wbrew zwyczajowi rozrzewnił się i zdecydował nie bez wahania dodać pieszczotliwe słówko do imienia żony: „czy nie tak, pani, moja... moja miła?“

Chwilowy rumieniec słabego zdumienia przemknął po bladem licu chorej kobiety, nie nawykłej do małżeńskich rozczuleń. Lękliwie spojrzała na męża.

— Rozumie się, nazwiemy go Pawłem moja droga... pani Dombi? Chora na znak zgody szepnęła „rozumie się“, albo raczej poruszyła wargami i znów zamknęła oczy.

— To imię ojca i dziada — ciągnął pan Dombi. — O, gdyby dziad był dożył tej chwili!

Tu umilkł i potem jeszcze raz z nowym efektem powtórzył: Dom-m-bi i Syn! Te trzy słowa wyraziły doskonale całkowity pogląd na życie pana Dombi. Ziemia stworzona dla

handlowych operacyi Dombi i Syna. Słońce i księżyc przeznaczone na oświetlanie ich domu handlowego. Morzom i rzekom kazano okręty ich nosić; tęcza miała być zwiastunką pięknej pogody; wiatry dmą za lub przeciw ich przedsiębiorstwom; gwiazdy i planety krążą koło swych osi wyłącznie dla tego, aby sprawnie działał system, którego środkowym punktem — Dombi i Syn. Zwykłe skróty w języku angielskim w jego oczach miały szczególne znaczenie, stosując się wyraźnie do handlowego domu. Tak litery A. D. zamiast Anno Domini czytał pan Dombi: *anno Dombey and Son.*

On, tak jak i ojciec w swoim czasie, wzniósł się na drodze życia i śmierci od „syna“ do Dombi i przez lat dwadzieścia był jedynym przedstawicielem handlowej firmy... Dziesięć lat od ożenienia się. Żona, jak mówiono, nie dała mu serca swego w posagu; szczęście biednej kobiety należało do dawnej przeszłości — i wychodząc za mąż, miała nadzieję ukoić duszę znękaną pokornem i cichem pełnieniem surowych obowiązków. Zresztą pogłoski te nigdy nie dochodziły do uszu męża, a gdyby i doszły, pan Dombi nie dałby wiary zuchwałym i szalonym plotkom. Dombi i Syn mieli handel skór, a niewieście serca nie leżały w zakresie tego handlu. Fantastyczny ów towar pozostawiali chłopcom i dziewczętom, pensyonatom i książkom. Co do życia małżeńskiego pojęcia pana Dombi

były takie: każda porządna i rozumna kobieta ma uważać związek z taką osobą, jak przedstawiciel znamienitej firmy, za największy zaszczyt. Nadzieja wydania na świat wspólnika dla takiego domu, powinna podniecać miłość własną każdej kobiety. Pani Dombi, podpisując intercyzę ślubną, najzupełniej rozumiała owe korzyści — a potem, codziennie mogła odczuwać wielkie swe znaczenie wśród ogółu. Siadywała zazwyczaj na pierwszem miejscu przy stole, zachowując się jak przystoi dostojnej damie. Przeto pani Dombi była zupełnie szczęśliwa. Nic nie mogła na to poradzić...

Znalazło się pewne zastrzeżenie.... Dla pełni szczęścia w rodzinie konieczny jeden warunek. Oto lat dziesiątek trwało pożycie małżonków, a przecież aż do dnia, kiedy pan Dombi z taką godnością rozsiadł się koło łoża w fotelu, pobrzękując złotym łańcuchem, nie było u nich spadkobiercy.

Nie — żeby zgoła dzieci nie mieli: dziecię jest, ale nie warto o niem wspominać. To — mała sześcioletnia córeczka, która teraz oto jak cień stoi w komnacie, lękliwie kryjąc się w kącie i patrząc stamtąd uparcie na oblicze matki. Cóż znaczy córka dla Dombi i Syna? Nędzny szeląg w ogromnym kapitale handlowego domu; coś w rodzaju sfałszowanego chłopca — nic nadto.

Jednak tym razem czara rozkoszy pana Dombi po brzegi pełna; czuje on, że może

z niej dwie, trzy kropelki wydzielić, żeby skropić proch na dróżce swej córeczki.

— Pójdź tu, Florentynko — zwrócił się do dziewczęcia — spójrz na braciszka, tylko nie dotykaj go.

Dziewczę szybko spojrzało na granatowy frak i białą na szyi chustę ojca — i bez słów, bez ruchu znowu utkwiło wzrok w bladej twarzy matki. W tej chwili chora spojrzała na córkę. Dziecko natychmiast rzuciło się ku niej i stając na paluszki, aby lepiej ukryć twarzyczkę w jej objęciach, przylgnęło ku niej z takim rozpaczliwym wyrazem miłości, jakiego trudno było w tym wieku dziecinnym oczekiwać.

— Ach, mój Boże — zrzędził pan Dombi, powstając spiesznie z fotelu. — Co za dziecinny, niedorzeczny wybryk! Idę lepiej, zawołam doktora Pepsa. Idę. — Następnie, stanąwszy na chwilę przy sofie, dodał: — wszakże nie potrzebuję prosić pani . . . .

— Blokkit, panie, — podpowiedziała piastunka — słodziutka uśmiechliwa osóbka.

— Właśnie. Wszakże nie potrzebuję prosić pani Blokkit o jak najstaranniejszą opiekę nad tym młodym dżentelmenem.

— Pewnie że nie, panie. Pamiętam dzień przyjścia na świat panny Florentyny . . .

— Ta, ta, ta — przerwał pan Dombi, ściągnąwszy brwi, schylony nad kolebką — Panna Florentyna zgoła co innego. Ten zaś

młody dżentlmen powołany do wielkich przeznaczeń. Czy nie prawda, mój maleńki wspólniku?

Z temi słowy pan Dombi podniósł do ust i ucałował rączkę małego wspólnika; lecz wnet, bojąc się widocznie, żeby czyn ten nie naraził na szwank jego godności — niezgrabnie wycofał się z komnaty.

Doktor Parker Peps, znakomity nadworny akuszer, zwyczajny świadek wzrostu arystokratycznych rodzin, spacerował po salonie ze złożonemi w tyle rękami ku nieopisanemu uszczęśliwieniu domowego lekarza, który w ostatnich sześciu tygodniach trąbił w uszy swoich pacyentów, przyjaciół i znajomych, że niebawem pani Dombi „pojedzie do Rzymu“ i jego zaproszą na uroczystość tego zdarzenia wraz z doktorem Parkerem Pepsem.

— No, cóż, panie? — pytał Peps dźwięcznym basowym głosem — czy stan pańskiej szanownej ledi do tej chwili cokolwiek się polepszył?

— Czy się polepszył? — dodał lekarz domowy i równocześnie ukłonił się znakomitemu akuszerowi, jak gdyby chciał powiedzieć: przepraszam, że mięszam się do rozmowy, lecz to nader ważny wypadek.

Pan Dombi stracił głowę od tych pytań. On nie myślał o chorej, nie wiedział więc, co odrzec. Oprzytomiawszy zapewnił, że doktor

Peps zrobi mu prawdziwą przyjemność, jeśli pofatyguje się na górę.

— A, mój Boże! — z niepokojem mówił Parker Peps. — Nie możemy przed panem ukrywać, że jej wysokość księżna — przepraszam: plączę nazwiska — że, chciałem powiedzieć, pańska szanowna ledi niezmiernie osłabiona i w całym jej organizmie widoczny brak sprężystości, a to taka oznaka, jakiej nie radzibyśmy...

— . . . widzieć, dopowiedział lekarz domowy, ze czcią chyląc głowę.

— Właśnie to chciałem wyrazić — mówił Parker Peps — tej oznaki nie radzibyśmy widzieć. Ze wszystkiego da się poznać, że organizm ledi Kenkebi — przepraszam, organizm, chciałem powiedzieć pani Dombi — ale że też to ja zawsze muszę pomieszać nazwiska pacyentów.

— Nie dziw, przy tak ogromnej praktyce; mruczał lekarz domowy. Byłaby sztuka — nie pomieszać. Doktor Parker Peps — znakomity, wielk....

— Bardzo panu dziękuję — przerwał doktor. Tak tedy miałem zauważyć, że organizm naszej pacyentki podległ takiemu wstrząśnieniu, że mógłby wprawdzie do równowagi wrócić, lecz na to potrzeba z jej strony wielkiego, dzielnego i....

— I potężnego — dodał lekarz domowy.

— Właśnie to chciałem powiedzieć — ciągnął doktór — i potężnego wysiłku. Pan Pilkins zgodnie z rolą lekarskiego doradcy w tym domu — a pewny jestem, że nikt nie zdołałby lepiej wykonywać tej roli....

— O! — zachwycał się lekarz domowy — Jaki zaszczyt stać się godnym takiej pochwały z ust znakomitego nadwornego doktora Parkera Pepsa!

— Zbyt pan jesteś łaskaw — przeczył Parker Peps — Pan Pilkins, powtarzam, jako lekarz domowy, zna bardzo dobrze normalny organizm pacyentki, znajomość zaś taka w obecnem położeniu nader cenna. Obaj jesteśmy zdania, że natura musi uczynić potężny wysiłek, a gdyby wbrew nadziei nasza interesująca pacyentka hrabina Dombi — przepraszam — gdyby pani Dombi nie...

— Nie była w stanie — przerwał lekarz domowy.

— Otóż właśnie. Gdyby pani Dombi nie wytrzymała tego wytężenia, to może nastąpić niebezpieczny, bardzo niebezpieczny moment, którego skutki niepożądane będą dla nas obu.

Przez parę chwil obaj milczeli, pochyliwszy głowy. Wnet na dany znak doktora Pepsa — obaj udali się na górę. Lekarz domowy z ukłonami otwierał drzwi przed znakomitym kolegą.

Bylibyśmy niesprawiedliwi względem pana Dombi, gdybyśmy powiedzieli, że opinia lekarzy

nie wywarła nań wrażenia. Prawda, nie był on wcale człowiekiem, któregoby kiedykolwiek cokolwiek mocno zdołało poruszyć; lecz gdyby tak — uchowaj Boże — żona nagle zasłabła i zmarła, bez wątpienia pan Dombi wielceby się smucił; czułby wówczas, że jego gospodarstwu domowemu zabrakło jednego z najkosztowniejszych przyborów — i strata owa byłaby dotkliwą. Lecz rozumie się samo przez się — żal byłby spokojny, chłodny, dżentlmeński.

Dopóki pan Dombi rozmyślał o tej kwestyi dały się słyszeć spieszne kroki i szelest sukni na schodach. Nagle wbiegła do pokoju kobieta niemłodego wieku, ale strojna podług ostatniej mody, jak młodziutka dama w rozkwicie wdzięków i urody. Twarz i cała postać dowodziły silnego wzruszenia. Porywczo rzuciła mu się na szyję, mówiąc drżącym głosem:

— Pawle, drogi mój Pawle! On jest prawdziwym Dombi!

— Cóż w tem osobliwego? — wtrącił brat. Pan Dombi był bratem ledi. — Familijne podobieństwo musi istnieć. Ale czemuś tak wzburzona, Luizo?

— Ach, wiem, jak to niemądrze — mówiła Luiza, siadając i biorąc z torebki chusteczkę — ale to prawdziwy, jakby ulany Dombi! W życiu nie spotkałam takiego podobieństwa.

— Jakże się ma Fanni? — pytał pan Dombi. — Co się z nią dzieje?

— Nic — drogi Pawle — stanowczo nie, wierzaj mi, najzupełniej nic. Niewielkie zmęczenie, wycerpanie sił, ani podobieństwa do tego, co ja wycierpiałam przy Jerzym lub Fryderyku. Musi nieco przeboleć — oto wszystko. Ach, gdyby Fanni była Dombi! Lecz nie wątpię, jestem pewna, ona zdobędzie się na tę moc, jakiej wymagają; wszak wie, jak to potrzebne. Ach, drogi Pawle, jam tak wzburzona, drżenie przenika mnie od stóp do głowy: to niemądrze, bardzo niemądrze. Cóż poradzę? Taka już jestem. Każ mi też podać kieliszek wina i co przekąsić. Myślałam, że padnę na schodach, gdym biegła od Fanni i spojrzała na nasze maleństwo.

Wtem dały się słyszeć ciche kroki i zlekka zapukano we drzwi.

— Pani Czykk! — ozwał się miękki głos niewieści. — Jak się pani miewa?

— Drogi Pawle — szeptała Luiza — to panna Toks, piękna i nader interesująca. Panno Toks — przedstawię ci — mój brat, pan Dombi: Pawle drogi: oto moja najszczersza przyjaciółka — panna Toks.

Tak zarekomendowana — była to wysoka, chuda osoba z twarzą zwiędłą, jak gdyby policzki jej niegdyś pomalowano farbą, która się z czasem starła i znikła. Natomiast był to chodzący wzór uprzejmości i dobrego wychowania. Miała zwyczaj wsłuchiwać się, gdy do

niej mówiono i uważnie patrzeć w twarz mówiącego, jakby pragnęła na wieki w pamięci utrwalić portret jego; stąd głowa jej stale pochylała się w jedną stronę. Ręce przywykły mimowoli na znak podziwu wznosić się do góry; oczy wyrażały ciągłe zdumienie. Głos miała cichy i przymilający się; między oczami powyżej nosa tkwiła duża brodawka, a wielki orli nos pochylał się ku dołowi, jak gdyby niezachwianie postanowił nigdy do góry się nie wznieść.

Ubierała się dobrze, nawet modnie, lecz w stroju zawsze wydawała się sztywną i niezgrabną. Na kapeluszu zwykle widniały różnobarwne kwiatki a we włosach jakieś dziwaczne bukiety. Ciekawe oczy uważały, że na kołnierzykach, mankietach, warkoczach, wogóle tam, gdzie miał być węzeł, dwa końce nigdy się nie schodziły należycie, lecz wrogo jakoś nawzajem sobie groziły. W zimie nosiła różne futrzane ozdoby: boa, mufki, lecz wszystko to nie przylegało i włos futra zwykle jeżył się w różne strony. Lubiła też nosić małe torebki z zameczkami, które jak z pistoletu strzelały przy zamykaniu. Gdy była w stroju galowym, panna Toks zawieszała na szyi medalion, mający wygląd rybiego oka bez wyrazu. Te i inne właściwości jej kostyumu sprzyjały wytworzeniu się mniemania, że panna Toks nie rozporządza znacznymi środkami, a taką opinię ona sama

usiłowała przy każdem wydarzeniu wyzyskać na własną korzyść. Jej drobny krok był też dla niej pożyteczny: zazwyczaj dzieliła każdy krok na dwie, trzy części — i to, jak myśleli ludzie, dlatego, że panna Toks z każdej rzeczy starała się jak najwięcej zysku wydobyć.

— Upewniam panią — mówiła panna Toks — zawsze uważałam za największy zaszczyt być przedstawioną panu Dombi; nigdy atoli nie spodziewałam się doznać tego zaszczytu w takiej właśnie chwili. Łaskawa, miła pani Czykk... pozwól mi nazywać cię po prostu Luizą.

Pani Czykk serdecznie uścisnęła rękę panny Toks, postawiła kieliszek, otarła łzę i cichym głosem przemówiła; daj ci Boże szczęście!

Droga Luizo — ciągnęła panna Toks — nieoceniona moja przyjaciółko, jakże się miewasz?

— Teraz nieco lepiej — napij się wina, najdroższa, jesteś prawie tak wzruszona, jak ja. Musisz się wzmocnić.

Pan Dombi zaczął zapraszać.

— Otóż tak, kochany Pawle — mówiła pani Czykk, trzymając przyjaciółkę za rękę — wiedząc, jak niecierpliwie wyczekiwałam tej chwili, niezrównana panna Toks przygotowała dla Fanni malutki podarunek, który obiecałam doręczyć. Jest to poduszeczka do szpilek; lecz muszę cię zapewnić, miły Pawle, panna Toks

okazała w tem niezmierną delikatność serca. Na poduszeczce wyszyła: „Witaj mi, malutka Dombi“. Jak ci się podoba?

— Powinnaś mnie wytłomaczyć, droga Luizo — ozwała się z prośbą w głosie panna Toks — tylko jakby to powiedzieć — niewiadomość tego, co ma przyjść na świat skłoniła mię do przyjęcia takiego napisu. Daleko przyzwoiciej byłoby wyrazić się:

„Witaj mi, Panie Dombi!“ — lecz kto mógł wiedzieć, że doczekamy się takiego aniołka. Wiedząc o tem, nigdybym nie pozwoliła sobie na taką poufałość.

To mówiąc panna Toks ukłoniła się z gracyą, a pan Dombi również odwzajemnił się pięknym ukłonem. Trzeba wyznać, że brat uważał swą siostrę zawsze za kobietę słabą i próżną; niemniej pani Czykk wywierała nań znaczny wpływ, gdyż umiała zastosować się do jego charakteru, wciąż mówiąc o Dombi i Synie.

— Oto teraz — ozwała się pani Czykk ze słodkim uśmiechem — gotowa jestem wszystko Fanni przebaczyć, wszystko!

Po tym wybuchu miłości chrześcijańskiej zrobiło się lekko na sercu pani Czykk. Właściwie mówiąc, nie miała co przebaczać swej szwagrowej, gdyż ta nie zawiniła w niczem względem niej. Cały występek polegał na tem, że ośmieliła się poślubić jej brata lub chyba jeszcze na tem, że przed sześciu laty powiła

dziewczynkę nie chłopca oczekiwanego. Pani Czykk wielekroć powtórzyła, że nie spodziewała się tego po niej i że to z jej strony zła odpłata za honor, jaki się stał jej udziałem.

W tej chwili pana Dombi powołano spiesznie do sypialni a damy zostały same. Panna Toks natychmiast przybrała zachwyconą minę.

— Wiedziałam — zauważyła pani Czykk — że brat ci się podoba. Przepowiadałam, że będziesz go podziwiała.

Ręce i oczy panny Toks wyraziły najgłębszy podziw.

— A jaki to bogacz, moja droga!

— Nawet mi o tem nie mów! — westchnęła panna Toks.

— Olbrzymi majątek!

— A jaka to postawa, jaki układ — szlachetny, okazały! Widziałam w życiu wielu mężczyzn, wielu dżentelmenów: w nikim niema połowy tej godności. Jakieś w nim dostojeństwo połączone z prostotą — a pierś jaka szeroka! Prawdziwy finansowy książe Yorku! Oto jakbym go nazwała.

— Co ci jest, drogi Pawle — zawołała siostra do wchodzącego brata. — Takiś blady, czy tam się co złego stało?

— Straszna rzecz, Luizo. Lekarze orzekli, że Fanni . . .

— Nie wierz im, drogi Pawle, nie wierz! Zaufaj memu doświadczeniu, znam się na tem.

Fanni musi zdobyć się na męstwo — oto wszystko. Ale do tego — ciągnęła, zdejmując kapelusz i nakładając rękawiczki — trzeba ją zachęcić, pobudzić i nawet przymusić w razie potrzeby. Chodźmy do niej.

Na ten raz pan Dombi naprawdę dał wiarę siostrze, jako kobiecie doświadczonej. Trochę się uspokoił i w milczeniu udał się za nią do pokoju chorej.

Położnica leżała na łożu, jak pierwej, tuląc ku sobie córeczkę. Dziewczynka jak wprzódy przylgnęła do matki, nie odejmując główki ani policzka od jej twarzy. Nie zwracała uwagi na otoczenie, nie odzywała się, nie szlochała.

— Stan jej pogarsza się bez tej dziewczynki — szepnął doktor panu Dombi. — Umyślnie zostawiliśmy ją przy niej.

Koło łoża nastała przejmująca cisza. Lekarze śledzili niknące życie z takiem współczuciem i beznadziejnością, że pani Czykk zrazu chciała odstąpić od swego zamiaru. Wnet jednak, zdobywszy się na odwagę, przysiadła do łoża i pocichu, jakby pragnęła obudzić śpiącą, zawołała:

— Fanni, Fanni!

Żadnej odpowiedzi! Uroczystą ciszę przerywał tylko głośny chód kieszonkowego zegarka pana Dombi i doktora Parkera Pepsa.

— Fanni, droga Fanni! — powtórzyła pani Czykk z nienaturalnym humorem — oto

pan Dombi, pragnąłby z tobą pomówić. Nie mogłabyś z nim porozmawiać? Trzebaby tu ułożyć twe dziecię, Fanni, twego syna, moja droga. Nie widziałaś go jeszcze? Nie można go ułożyć, póki się nie podniesiesz. No moja droga, zdobądź się na wysiłek . . . Nuże!

Pochyliła się nad łożem i słuchała, spółcześnie porozumiewająco zerkając ku świadkom i podniósłszy palec ku górze.

— Nuże, no! — powtórzyła. — Co mówisz, Fanni? Nie słyszałam.

Uparte milczenie! Ani słówka odpowiedzi! Zegarki pana Dombi i Pepsa biegły jakby na wyścigi.

— Cóżeś ty w samej rzeczy, miła Fanni — ciągnęła pani Czykk, zastępując żartobliwy ton surowym — pogniewam się na ciebie, jeżeli się nie ruszysz. Musisz uczynić wysiłek, choćby był bolesny, męczący. Wszak wiesz, Fanni, nic na tym świecie nie odbywa się lekko; nie powinniśmy tracić odwagi, gdy tak wiele od nas zależy. No, spróbój, porusz się, bo na seryo będę się na ciebie gniewała.

Bieg zegarków wśród głuchej ciszy stawał się szalonym: rzekłbyś uderzają na siebie i walczą.

— Fanni — ciągnęła Luiza, oglądając się z rosnącym niepokojem. — Spójrz na mnie chociaż! Otwórz oczy i okaż, że mnie słyszysz i rozumiesz. Dobrze? — Ach, mój Boże! No i co tu robić, panowie?

Rodzina Dombich.

(Dombi i syn.)

Lekarze spoglądali znacząco na siebie przez łoże. Akuszer schylił się i szepnął coś do ucha dziecka. Dziewczynka nie pojęła słów, spojrzała zamarłym wzrokiem na doktora, lecz nie zmieniła pozycyi.

Doktor powtórzył swe słowa.

— Mamo! — odezwała się dziewczynka.

Znajomy ulubiony głos rozniecił promień świadomości w gasnącej duszy. Chora rozwarła powieki i lekki cień uśmiechu zajaśniał na jej wargach.

— Mamo! — wołało dziecko z głośnym płaczem. — O, moja droga, ukochana Mamo!

Doktor zlekka usunął sploty włosów dziewczynki od twarzy i ust matki. Jakże one cicho tam leżały! Jak słabe było ust tych tchnienie!

I biedna matka, mocno ująwszy wątłą gałązkę, w jej objęciu spoczywającą, popłynęła w dal na zimne tajemnicze morze, które burzliwą falą piętrzy się naokół całego świata.

II. rozdział zaznajomi nas ze środkami, mającymi uprzedzić zdarzenia, jakieby się mogły trafić nawet w poważnych rodzinach.

— Ach, jakże się cieszę, że wszystko przebaczyłam tej biednej Fanni! Któżby mógł to

przewidzieć? Naprawdę, sam Pan Bóg dał mi to natchnienie! Teraz cokolwiekby się stało, zawsze to będzie dla mnie pociechą.

Tak mówiła pani Czykk, wróciwszy do salonu od modniarek, zajętych szyciem żałoby rodzinnej. Uwagę tę uczyniła dla nauki swego małżonka, pana Czykka, grubego, łysego dżentlmena o szerokiej twarzy i z rękami wiecznie w kieszeniach. Pan Czykk miał słabostkę: gwizdał i przyśpiewywał różne melodye wszędzie i zawsze; teraz w domu żałoby i smutku nie mógł się też powstrzymać od ulubionego nawyknienia.

— Nie martw się, Luizo — zauważył pan Czykk — znów zaczniesz spazmować. Tra-la-la! — Licho nadało, ciągle zapominam! Zaprawdę, jakże krótkie życie człowieka!

Pani Czykk spojrzała ze złością na męża i zrzędziła dalej.

— Mam nadzieję, że ten tragiczny wypadek dla wielu stanie się nauką, jak nieodzowną jest rzeczą czynić wysiłek, gdy od nas go wymagają. We wszystkiem bywa ziarno prawdy. Należy je umieć znaleźć. Sami będziemy winni, jeżeli nie skorzystamy z tej strasznej przygody.

Na tak piękne sentencye pan Czykk zgoła nie w porę zanucił mało przyzwoitą melodyę: „Żył sobie raz szewc ubogi“; wtem spostrzegł, przerwawszy, że, ma się rozumieć, nasza w tem tylko wina, jeśli tak smutne przygody nie pouczają nas zupełnie!

— Mógłbyś, jak sądzę, rozmawiać, nie gwiżdżąc swych ohydnych piosnek — krzywiąc się, dokuczała pani Czykk.

— Co robić, najdroższa — nałóg!

— Głupstwo! Co za nałóg. Rozumny człowiek wstydziłby się składać tego na nałóg. Gdybym np. przywykła spacerować po suficie, jak mucha, do góry nogami, pewnieby mię za to pochwalili?

Pan Czykk nie przeczył, że takie nawyknienie w istocie zasłużyłoby na pewien rozgłos.

— Cóż, Luizo, jak ci się podobał dzieciak? — pytał, żeby zmienić przedmiot rozmowy.

— Co za dzieciak? —Dziś w jadalni było ich całe stadko.

— Stadko dzieci? — mruczał pan Czykk, niespokojnie oglądając się.

— Niema o czem mówić — ciągnęła pani Czykk. Zmarła matka, trzeba znaleźć mamkę.

— Ach, o tem myślałaś! — Tra-la-la!... Takie to życie! Pewnie już znalazłaś mamkę?

— Jeszcze dotąd nie, a tymczasem dziecię...

— Do aniołków grona będzie zaliczone — kończył pan Czykk.

Gniewny wzrok szanownej małżonki uświadomił mu całą niewłaściwość tej uwagi, zastosowanej do Dombi. Żeby się poprawić, dodał:

— Czyby choć tymczasowo nie można było w czem pomódz biednej sierotce? Możeby go jako herbatką karmić lub czemś podobnem.

Jeżeli miał zamiar zakończyć rozmowę o tej kwestyi, to cel osiągnął.

Pani Czykk, ani słowa mężowi nie odpowiedziawszy, powstała z godnością, zbliżyła się do okna i z wielką uwagą spoglądała przez roletę na zajeżdżający ekwipaż. Pan Czykk również w milczeniu opuścił pokój, poddając się losowi, który okazał mu się tym razem nieprzychylnym. Nie zawsze atoli klęska bywała jego udziałem. Czasem i w jego domu bywało świętego Jana i wtedy srodze karcił panią Luizę. Wogóle była to zgodna, cudownie dobrana parka, jedno stworzenie warte drugiego. W chwili rozpoczęcia kłótni nigdy nie można było zgadnąć, kto odniesie zwycięstwo. Niekiedy pan Czykk gotów już był się poddać, wtem nagle zrywał się, chwytał za stołek, łomotał nim bez litości nad samemi uszami skonundowa nej małżonki i odnosił zwycięstwo. Ale czasem znów wygrana była po stronie pani Czykk, tak, że wogóle kłótnie nie miały decydującego charakteru, bywały jednak zazwyczaj pełne życia i temperamentu.

Zaledwie stanął ekwipaż, do pokoju pędem wbiegła bez tchu panna Toks.

— Luizo, droga Luizo — trzepała — czy miejsce jeszcze wolne?

— Jakże poczciwą jesteś, nieoceniona przyjaciółko! — odrzekła pani Luiza — wolne jeszcze, mój aniele.

— W takim razie spodziewam się, jestem pewna... Lecz zaczekaj, zaraz ich tu przywiodę.

Zbiegła po schodach, wysadziła ich z karety i wkrótce pojawiła się z powrotem. Niedarmo panna Toks mówiła o liczbie mnogiej. Przyprowadziła całe towarzystwo. Były to: dorodna, zażywna, rumiana, tęga młoda niewiasta z tłustem dzieckiem na rękach; za nią młoda kobieta nie tak tęga, lecz także rumiana i zażywna, niby oliwne jabłko; prowadziła ona dwóch chłopców, doskonale wyglądających o policzkach okrągłych; za nimi szedł chłopczyk wypasiony i tłusty. Nareszcie za całem gronem postępował gruby i okrągły jak jabłko mężczyzna z tłustym chłopcem na rękach. Postawił go na ziemię i rzekł chrapliwym głosem: trzymaj się brata, Dżonni.

— Droga Luizo — szczebiotała panna Toks — wiedząc o twym niepokoju i chcąc ci pomódz, udałam się do położniczego szpitala im. Królowej Karoliny i pytałam o mamkę dla bogatego domu. Powiedziano, że nie mają. Po tej odmowie — nie uwierzysz mi — czułam się pognębioną. Na szczęście — trzeba trafu — jakaś dama słysząc, o co chodzi, oświadczyła mi, że zna kobietę, bardzo dobrą pod każdym względem. Natychmiast z ową damą udałam się pod wskazanym adresem — i oto ich przywiozłam.

— Dobra, usłużna, droga pani — pochlebiała jej pani Luiza.

— Zaraz, zaraz, jeszcze nie wszystko — ciągnęła panna Toks. — Gdym weszła do domu, — jaki czysty pokój, moja droga, mogłabyś na podłodze jeść obiad — cała rodzina siedziała za stołem; a że żadna rekomendacya nie da się porównać z tem, co oczy własne widzą, postanowiłam ich przywieźć ze sobą, aby przedstawić panu Dombi. Oto dżentlemen — mówiła, wskazując grubego mężczyznę — ojciec rodziny. Proszę pana pofatygować się bliżej.

Rozrosły mężczyzna niezgrabnie postąpił i wyszczerzył w uśmiechu mocne zęby.

— A to jego żona — objaśniała panna Toks, zwracając się do młodej kobiety z dziecięciem. — Jak zdrowie pani, Polli?

— Dziękuję, chwała Bogu, doskonałe — odpowiedziała zagadnięta.

Panna Toks traktowała ich jak starych znajomych.

— Cieszy mię to! — A ta oto druga młoda kobieta — niezamężna siostra tamtej; mieszka razem i dozoruje dziatwę. Nazywa się Dżemima. Jak się masz, Dżemimo.

— Dobrze, dziękuję pani, odrzekła Dżemima.

— No to dzięki Bogu bardzom rada. Mam nadzieję, że zawsze będzie dobrze.

Pięcioro dzieci. Najmłodsze sześciotygodniowe. Ten śliczny chłopczyk z pryszczykiem na

nosie — najstarszy. Od czego u ciebie pryszczyk? Czy przypadkowo, czy dziedzicznie?

— Od żelazka — niewyraźnie mruknął mężczyzna.

— Przepraszam, panie, coś pan powiedział?

— Od żelazka, powtórzył ojciec rodziny.

A, tak, zapomniałam — tłomaczyła panna Toks. Właśnie od żelazka. Malec dotknął się gorącego żelazka, gdy matki nie było w domu. Masz pan racyę. Gdy byłam u was, powiedziałeś mi pan także, że pańskie rzemiosło....

— Palacz, proszę pani.

— Coo? Podpalacz? — powtórzyła panna Toks.

— Palacz, proszę pani, na parowozie.

— Ach, tak, palacz... mówiła panna Toks, nie bardzo widocznie rozumiejąc istotę tego zajęcia. — Jakże się ono panu podoba?

— Co, proszę pani?

— Pańskie rzemiosło.

— Wyborne zajęcie, proszę pani. Czasem tylko sadze dostają się tu — wskazał piersi — i od tego głos staje się chrapliwym. Od tego to i ja, proszę pani, mam chrypkę, nie zaś od jakiego paskudztwa.

Panna Toks widocznie tak mało zrozumiała te wyjaśnienia, że nie wiedziała, jak kontynuować rozmowę. Tymczasem pani Czykk drobiazgowo badała żonę palacza o dzieciach, o domowem pożyciu, o metryce ślubu i tak dalej. Młoda

kobieta z honorem wyszła z opałów tego egzaminu, a pani Czykk udała się do gabinetu brata z wiadomością, wziąwszy ze sobą dwóch najtłustszych i najczerwieńszych chłopców, jako świetne uzupełnienie rekomendacyi.

Pan Dombi od śmierci żony nie opuszczał swego gabinetu, pogrążony w głębokie rozmyślania o dzieciństwie, młodości, wychowaniu i losie swego syna. Ciężkie i zimne brzemię gniotło mu duszę; nie więcej zresztą bolał nad trudnością w wykarmieniu syna, niż nad własną stratą. Jakież to niebezpieczeństwa, jakie zawody czekają go choćby przy wstąpieniu w świat! Życie ledwie się zaczyna, — a oto trzeba szukać obcej, obojętnej kobiety, od której zależą pierwsze wrażenia, początkowy rozwój dziecka. Jak żałosne upokorzenie dla Dombi i Syna! Myśl, że najmitka będzie chwilowo zastępowała matkę, tak była niemiłą i gorzką dla dumnego i zazdrosnego serca, iż czuł wyraźne zadowolenie, ilekroć odrzucał propozycye rekomendowanych kandydatek. Lecz nadszedł czas, kiedy wypadło zaniechać walki między owemi dwoma uczuciami. Przed nim stały dorodne dzieci przyszłej mamki, Polli i Tudl, nienagannej pod żadnym względem, doskonale poleconej przez rodzoną siostrę i usłużną pannę Toks.

— Dzieci zupełnie zdrowe — rzekł pan Dombi — ale gdy pomyślę, że z czasem uzyskają jakgdyby przynależność do rodziny mego Pawła...

Weź ich Luizo! Niech wejdzie kobieta z mężem.

Za chwilę niezgrabna para stała przed oczami pana Dombi.

— Rozumiem — mówił, zwracając się w fotelu jak sprężyną nakręcona maszyna, nie jak człowiek ze krwi i kości — jesteście ubodzy i pragniecie zarobić pieniędzy, wychowując dziecię, mego syna, który tak wcześnie poniósł niczem nie nagrodzoną stratę. Ze swej strony rad was wspomogę. Ze wszystkiego wnosząc, nadajecie się dla mego syna. Lecz zanim wejdziecie w mój dom, musicie przyjąć parę warunków.

Przez cały czas waszego u mnie pobytu nazywać się będziecie „Ryczards“: zwykłe i bardzo przyzwoite nazwisko. Przyjmujecie ten warunek, naradźcie się?

Lecz szanowny małżonek tylko suszył zęby i wciąż do ust podnosił prawą rękę, od czego dłoń stała się mokrą. Pani Tudl trąciła go parę razy, lecz gdy to nie pomogło, grzecznie dygnęła i wyraziła przypuszczenie, że zapewne otrzyma dodatkowe wynagrodzenie, jeśli zmieni nazwisko.

— Rozumie się samo przez się — zapewnił pan Dombi. — Ale o tem pomówimy później. Teraz jeszcze jeden warunek: przez cały czas, odkąd za umówioną zapłatę zaczniesz pani karmić mego syna, pragnę, byś się jak najrzadziej widywała ze swoją rodziną. Potem zaś, gdy usługi okażą się zbędne i pieniężne rachunki wyrównane, powinny też ustać wszelkie sto-

sunki między nami. Czy pani śledzisz za tem, co mówię?

Pani Tudl nie zupełnie pojmowała, o co właściwie chodzi, a mąż jak poprzednio śmiał się, nie zwracając uwagi na rozmowę.

— Masz pani własne dzieci — ciągnął pan Dombi. — Do naszej kupieckiej umowy zgoła nie należy to, żebyś pani musiała przywiązać się do mego syna, lub żeby syn mój miał z czasem przywiązać się do niej. Ani tego oczekuję ani sobie życzę. Przeciwnie. Z odejściem układ nasz wygasa i pani możesz nie znać mego domu ani rodziny. Dziecko zapomni i pani — jeśli wola — możesz najzupełniej o niem zapomnieć.

Żywy rumieniec oblał i bez tego czerwone policzki pani Tudl. Pochyliła głowę i zapewniła, że zna swe położenie.

— Naturalnie, naturalnie — mówił pan Dombi — jestem przekonany, że pani doskonale znasz swoje stanowisko. To takie proste i zwyczajne. Kochana Luizo, ułóż się z tą panią co do zapłaty i powiedz, że może podjąć pieniądze, kiedy zechce. Teraz z panem — jak się pan nazywasz? — parę słów. Zatrzymany na progu, gdy żona wychodziła, Tudl zawrócił i znalazł się oko w oko z panem Dombi. Tudl był mężczyzną tęgim, barczystym, obrośniętym, w rozpiętym paltocie, z odciskami na palcach, z łbem kwadratowym, gęsto porosłym; miał czarne wąsy i bokobrody, jeszcze czarniej wyglądające

od dymu i kopcia. Był to jednem słowem kontrast pana Dombi, należącego do gatunku gładziutko ostrzyżonych i ogolonych kupców — kapitalistów, których głowa lśni się niby nowusieńka asygnacya banku i którzy wyglądają jakby skropieni złotym deszczem.

— Masz pan syna? — indagował pan Dombi.

— Czterech, panie! Czterech synów i córkę. Wszystko żyje.

— Dość trudno pewnie panu wszystko to utrzymywać?

— Nie łatwo, lecz byłoby jeszcze ciężej...

— Co mianowicie?

— Stracić ich, panie!

— Umiesz pan czytać? — pytał pan Dombi.

— Niezbyt biegle.

— A pisać?

— Kredą, panie.

— Czem innem?

— Kredą nieco bazgrzę, gdy mi wskazują litery.

— Pan masz, jak myślę, około trzydziestu dwóch — trzech lat?

— Mniej więcej tyle — odrzekł Tudl po namyśle.

— Czemu się pan nie nauczysz?

— Mam właśnie ten zamiar, panie. Jeden z moich chłopczyków wkrótce pójdzie do szkoły

i wtedy będziemy się razem uczyli — to jest on mi będzie pokazywał.

— To dobrze — powiedział pan Dombi z uwagą, lecz nie bardzo życzliwie patrząc na swego gościa, który tymczasem, rozdziawiwszy usta, oglądał pokój a zwłaszcza sufit. — Słyszałeś pan, co mówiłem pańskiej żonie.

— Polli słyszała, proszę pana — odrzekł Tudl, machnąwszy czapką przez ramię ku drzwiom z wyrazem zupełnego zaufania ku najdroższej połowie. — Wszystko będzie dobrze.

— A zatem pan zdajesz wszystko na żonę — ciągnął pan Dombi, zawiodłszy się w nadziei jaśniejszego wytłomaczenia warunków swych mężowi, jako głównej osobie w tej sprawie — niema co mi zatem więcej z panem rozprawiać.

— Właśnie to samo myślę, proszę pana. Polli wszystko słyszała, a ona ma głowę nie od parady.

— Nie będę więc pana dłużej zatrzymywał — rzekł pan Dombi. A gdzieś pan cały czas pracował?

— Zrazu pod ziemią, dopókim się nie ożenił. A teraz na wierzchu. A potem będę na maszynie, skoro ją ukończą.

Jak ostatnie źdźbło słomy przygniata ciężarem kark obładowanego wielbłąda, tak ta ostatnia odpowiedź o podziemnej pracy do reszty rozstroiła wyniosłą duszę pana Dombi.

Milcząc, wskazał drzwi mężowi przyszłej mamki swego syna — ten zaś wyszedł z widoczną ulgą. Wnet zamknąwszy się w komnacie, pan Dombi zaczął chodzić tam i nazad w gorzkiem zadumaniu. Pomimo jego niewzruszonej powagi i panowania nad sobą, łzy mu spływały z oczu i nieraz w silnem wzruszeniu powtarzał: „biedne, biedne dziecię“. Tego żalu i rozgoryczenia za nic w świecie nie pokazałby światu i ludziom.

Dość oryginalny rys dumy naszego bohatera polegał na tem, że w synu swym właściwie ubolewał nad sobą. W słowach żal mu było siebie, biednego wdowca, który musiał powierzyć syna żonie ordynarnego robotnika, całe życie pod ziemią trawiącego! A oto śmierć ani razu nie pukała do wrót tego chłopa i za stołem jego codzień czterech synów spożywało obiad.

Słowa powyższe jeszcze drżały na jego wargach, gdy w tem przyszło mu na myśl, że kobieta ta wystawiona była w jego domu na wielką pokusę. Własne jej dziecko było też chłopczykiem. A jeżeli ona zamieni mu syna? Choć myśl tę zaraz odrzucił, jako romantyczną i nieprawdopodobną — aczkolwiek możliwą — to jednak wyobraźnia dalej rysowała obrazy takiej zamiany. Co zrobić, jeżeli oszustwo wyjdzie na jaw, gdy dziecię odrośnie? Czy stanie mi siły po wielu latach pozbawić obłudnika swej

pieczołowitości, zaufania i tkliwej przyjaźni — wszystko to przenieść na rodzone dziecię, które może przez ten czas wyrośnie dla mnie obojętne i obce.

Zresztą niepokoje te i obawy wkrótce minęły. Niemniej przeto postanowił sobie pan Dombi czujnie śledzić mamkę, nie dając jej tego do poznania. Zrobiło mu się lżej na sercu i był teraz rad z tego, że zastrzegł sobie, iżby nie nastąpiło zbyt wielkie zbliżenie między mamką a synem.

Umowę pani Czykk z Ryczards przy pomocy panny Toks zawarła i mamka ceremonialnie niby zaszczytną odznakę otrzymała małego Dombi, oddawszy równocześnie śród łez i uścisnień własnego chłopca Dżemimie. Podano wino, aby się rozpogodzili smutni goście.

— Pozwoli pan kieliszek wina? — pytała panna Toks, gdy wszedł Tudl.

— Dziękuję pani — odrzekł palacz — czemu nie? Trzeba pić, gdy proszą.

— Panu przyjemnie zostawić żonę w tak szanownym domu, nieprawdaż?

— Wcale nie, proszę pani, byłoby mi o wiele przyjemniej zawieźć ją do domu.

Polli głośno zaczęła płakać. Pani Czykk instynktem kobiety odczuła, że żal nadmierny stać się może szkodliwym dla małego Dombi i natychmiast zaczęła perswadować.

— Niema czego się smucić, moja miła. Synek pani wyrośnie bez biedy i bez niedostatku pod dozorem ciotki Dżemmy, a panią tu czeka spokój i szczęście. Cóż robić? Bez troski niczego niema na świecie; trzeba być mężną. Czy wzięto już miarę na czarne ubranie dla pani Ryczards?

— Wzięto, proszę pani — łkając odpowiedziała Polli.

— Suknia będzie śliczna — ciągnęła pani Czykk — ta sama modniarka i dla mnie szyje. Materyał przedni.

— Będzie pani tak ładnie wyglądała, że mąż nie pozna. Nieprawda, panie?

— Nieprawda — ponuro przeczył Tudl — poznam ją wszędzie w każdej sukni.

Palacz stanowczo nie chciał okazać się uległym.

— Co do pożywienia, pani Ryczards — pocieszała pani Czykk — najlepsze potrawy do pani dyspozycyi. Sama pani będzie układała obiady i cokolwiek ci się zażąda — natychmiast dadzą.

— Niezawodnie! — podtrzymywała przyjaciółkę panna Toks. — Piwa też pić można podług woli. Czy nie tak, Luizo?

— Pewnie, pewnie — dodawała pani Czykk coprędzej. — Tylko z jarzynami trzeba będzie wstrzemięźliwie się obchodzić.

— A może także z wędlinami.

— Prócz jarzyn, marynat i wędlin może pani jeść wszystko, czego zapragnie, bez ograniczenia.

— A to też rozumie się, że choć przepada za swoim synem, nie będziesz miała jej tego za złe, Luizo.

— Pewnie, że nie — dobrotliwie zapewniła pani Czykk.

— Ale musi — ciągnęła panna Toks — całą swą uwagę, całą troskliwość poświęcić swemu małemu wychowankowi. Powinna to mieć za największe szczęście, że ten cherubinek, tak ściśle z najwyższemi sferami połączony, będzie rósł i rozkwitał na jej oczach. Nieprawdaż, Luizo?

— Bez wątpienia! — potwierdziła pani Czykk. — Widzisz, moja droga, ona już się zupełnie uspokoiła i myśli o tem, jakby wesoło i z uśmiechem pożegnać swoją siostrę Dżemimę dzieci i poczciwego męża. Czy nie tak, moja droga?

— Ależ tak, zawołała panna Toks — napewno chce się pożegnać!

— Biedna Polli z rozpaczą w duszy uściskała wszystkich członków swej rodziny a następnie chciała ukryć się w swym pokoju, żeby uniknąć bolesnego z dziećmi rozstania. To się atoli nie udało. Młodszy syn, odgadując zamiar matki, pochwycił ją za suknię i pobiegł wraz z nią, tymczasem starszy, przezywany w rodzi-

nie kotłem na cześć parowozu, zaczął tupać nogami, a za tym przykładem poszła cała rodzina.

Kilka pomarańcz i garść drobnych pieniędzy ukoiły małych Tudli i rodzina zwolna udała się do najętej karety u podjazdu, aby odjechać do domu. Dzieci pod opieką Dżemimy stojąc przy oknie, rzucały pomarańcze i pieniądze. Sam pan Tudl siadł na piętach, uważając ten rodzaj jazdy za najwygodniejszy.

III. Pan Dombi staje się — jako człowiek i ojciec — głową rodzinnego departamentu.

Gdy już minęły pogrzebowe ceremonie zmarłej ledi ku zupełnemu zadowoleniu grabarza i sąsiadów, nader wymagających pod każdym względem i gotowych do obrazy, gdy się cokolwiek z ceremoniału uroniło, różne osoby w gospodarstwie pana Dombi wstąpiły w koło swych zajęć. Mały ów światek, jak i wielki, niestety, celował w zdolności prędkiego zapomnienia o swych zmarłych. Gdy już kucharka oznajmiła, że pani ś. p. była cicha, gdy klucznica dodała, że taki to los wszystkich ludzi, gdy klucznik westchnął: mój Boże, ktoby to mógł pomyśleć, a pokojówka z lokajem przekonywali, że im się wszystko jakby snem wydaje — cała kwestya wyczerpała się doszczętnie i wszyscy

jednogłośnie uchwalili, że żałoba całkowicie się już zaczęła zużywać.

Co się tyczy Ryczards, zamkniętej na górze w charakterze honorowego więźnia, jutrzenka nowego życia, jak się zdawało, zimno i posępnie wschodziła. Ogromny dom pana Dombi wznosił się po ocienionej stronie ulicy modnej między portlendzkim placem a brajenstońskim skwerem. Był to narożny dom w dolnej części pełen piwnic i podziemi okratowanych, smutny dom z oficynami w głębi, mieszczącemi rząd pokoi, zwróconych na podwórze, żwirem wysypane, w którem tkwiły dwa suchotnicze drzewa ze szczerniałymi pniami i gałęźmi, z brudnymi liśćmi, które raczej skrzypiały, niż szemrały poruszone wiatrem. Blask letniego słońca zjawiał się na ulicy tylko poranną porą wraz z woziwodami, stróżami, handlarzami starzyzną, łataczami parasoli, kwiaciarkami i ulicznymi zegarmistrzami, którzy bytność swą oznajmiali brzękliwym głosem dzwonków.

Zaledwie słońce ginęło z ulicy, pojawiały się wędrowne orkiestry, kataryniarze z małpami, przekupnie białych myszy a czasem nawet jeża. O zmroku, gdy cała ta czereda ze zdobyczą targu znikała, wychodzili z wrot domowych lokaje, o ile państwo nie jedli w domu obiadu, i lampiarz wedle zwyczaju czynił daremne wysiłki oświetlenia ulicy gazem.

Ogromny to był i pusty dom pana Dombi zewnątrz i wewnątrz. Zaraz po pogrzebie kupiec kazał nałożyć pokrowce na meble — może chciał je dla syna zachować — i komnaty miały wygląd niezamieszkałych prócz tych, w których mieszkał gospodarz na dole. Śród próżnych sal pojawiały się tajemnicze figury krzeseł i stołów, zgromadzonych razem i osłoniętych wielkimi całunami. Na dzwonkach, sztorach, zwierciadłach, otulonych arkuszami gazet, widniały urywkowe wieści o śmierciach i zabójstwach. Każdy żyrandol, zawinięty w płótno, wydawał się potworną łzą, spadającą z oka sufitu. Od każdego komina tchnęła wilgoć i stęchlizna, jak z grobowca. Zmarła i pogrzebana ledi spoglądała z ram obrazu, jak straszne widmo w białym całunie. A tymczasem wiatr rozwiewał wciąż na pół zgniłe resztki słomy, nasłanej na ulicy w czasie choroby pani. Strzępy te jakiemś dziwacznem prawem przyciągania wciąż zbierały się u progu przeciwległego domu będącego do wynajęcia, który — rzekłbyś — naszeptywał stamtąd jakąś żałosną opowieść oknom pana Dombi.

Komnaty przeznaczone przez kupca do własnego użytku tuż przy sali — składały się z gabinetu, biblioteki i jadalni, na którą zamieniono niewielką oszkloną galeryę, oknami zwracającą się ku suchotniczym drzewom, zajętym najczęściej przez koty. Biblioteka służyła równocześnie za garderobę, tak że woń welinu, per-

gaminu, skóry i safianu mięszała się w niej z wonią szuwaksu i butów. Wszystkie trzy pokoje były ze sobą połączone. Rano, gdy pan Dombi spożywał swe śniadanie i wieczorem, gdy wrócił, pani Ryczards miała na znak dzwonka przybywać do oszklonego pokoju i ze swym małym pupilem przechadzać się po nim. Rzucając chwilami okiem na pana Dombi, który siadał w oddalonym kącie i w milczeniu spozierał na dziecię z poza ciemnych, ciężkich mebli — dom dziadów i pradziadów był staromodny i ponury — mamka przekonywała się coraz więcej, że gospodarz podobny jest do więźnia w cytadeli lub do jakiegoś widma, gościa ze świata duchów, pozbawionego mowy i nie rozumiejącego żywych ludzi.

Od paru tygodni mamka tak żyła i nosiła codzień małego Pawła. Niekiedy pozwalano jej wychodzić, lecz nie samej. Zwyczajnie przybywała po nią pani Czykk w towarzystwie panny Toks. Zapraszały, aby z dziecięciem zażyła przechadzki na świeżem powietrzu, co znaczyło, żeby ceremonialnie pospacerowała po chodniku krokiem procesyi pogrzebowej. Gdy raz właśnie po powrocie z takiego spaceru Ryczards usiadła w swoim pokoju z dziecięciem u okna, drzwi pocichutku otworzyły się i na progu stanęła czarnooka dziewczynka.

— Pewnie to panna Florentyna powróciła od ciotki — pomyślała Ryczards, która dotąd

nie znała córki pana Dombi. — Czem mogę służyć panience?

— To mój brat? — spytała dziewczynka, pokazując dziecię.

— Tak, moja duszko — odrzekła Ryczards — proszę go pocałować.

Lecz dziewczynka, nie ruszając się, z powagą spojrzała na mamkę i pytała:

— Co uczyniliście z moją mamą?

— Boże miłosierny! — zawołała Ryczards. — Jakie smutne pytanie! Co zrobiłam? Nic nie zrobiłam, panno Florentyno.

— Co oni zrobili z moją mamą? — powtórzyła Florcia.

— W życiu swem nie spotkałam nic podobnie wzruszającego — mówiła Ryczards, mimowoli stawiając się w położeniu zmarłej ledi i myśląc o własnej dziatwie. — Zbliż się, najdroższa i nie lękaj się mnie.

— Ja się pani nie lękam — odpowiedziało dziewczę, wchodząc do pokoju. — Ale muszę się dowiedzieć, co oni zrobili z moją mamą.

— Tę czarną sukienkę nosisz, kochanko, dla pamięci o matce.

— Ja pamiętam o mamie w każdej sukni — mówiło dziecko ze łzami w oczach.

— Ale taki to już obyczaj, żeby ubierać się w czarne suknie, gdy ktoś znika.

— Dokąd znika?

— Siądź tutaj — rzekła wzruszona kobieta — opowiem ci bajeczkę.

Z żywą wiarą, że otrzyma na swe pytanie odpowiedź, zdjęła Florcia kapelusz, usiadła na ławce u nóg piastunki i utkwiła w niej oczy.

— Była sobie — opowiadała Ryczards — pewna ledi, bardzo dobra ledi i miała małą córeczkę, a ta córeczka nadzwyczaj ją kochała.

— Bardzo dobra ledi i maleńka córeczka tkliwie ją kochała — powtórzyła Florcia.

— I podobało się Panu Bogu, żeby dobra ledi zasłabła i umarła. Dziecko drgnęło.

— I umarła dobra ledi i nikt jej więcej nie ujrzy. I pochowali dobrą ledi w ziemi, gdzie rosną drzewa.

— W zimnej ziemi! — przemówiła dziewczynka z dreszczem w całem ciele.

— Nie, nie, w ciepłej ziemi, gdzie brzydkie nasionka przekształcają się w prześliczne kwiatki, i w trawkę, i w kłosy i nie wiem już, w co jeszcze, gdzie dobre duszyczki zamieniają się w jasne aniołki i ulatują do nieba! Dziecko, które przed chwilą pochyliło główkę, podniosło ją i uważnie wpatrywało się w mówiącą.

— No, właśnie.... wieczny jej odpoczynek! mówiła Polli, mocno wzruszona badawczym wzrokiem, chęcią pocieszenia dziecka i małą wiarą we własny sukces.

— Otóż skoro już dobra ledi umarła, gdziekolwiekby ją położyli, odeszła ona do Boga!

I modli się ta dobra ledi — ciągnęła do głębi rozrzewniona Polli, — żeby Pan Bóg nauczył maleńką córeczkę wierzyć, że ona szczęśliwa w niebie i po dawnemu kocha swe dziecię, — żeby jej wpoił nadzieję na całe życie, że i ona — ta maleńka córeczka zobaczy ją kiedyś w niebie i już nigdy, nigdy się nie rozłączy.

— To była moja mama! — zawołała dziewczynka i padła w objęcia piastunki.

— I serduszko tego dziecka — mówiła Polli, tuląc Florcię do serca — serduszko tej małej córeczki wezbrało taką tkliwością, taką wiarą, że słysząc o tem od obcej kobiety, nie umiejącej pięknie opowiadać, lecz takiej, która była biedną matką i tyle — znalazła dziewczynka w jej słowach ukojenie, przestała odczuwać swe sieroctwo, zalała się łzami, pokochała ową kobietę, przylgnęła do dziecięcia na jej kolanach śpiącego i wtedy, wtedy... ciągnęła Polli, pieszcząc włosy dziewczynki i oblewając je łzami, wtedy, moje, drogie, biedne dziecię....

— He! panna Flor! Cóż to panienka nie wie, jak gniewać się będzie ojczulek! — zabrzmiał od drzwi głośny, przenikliwy krzyk i wnet potem wbiegła nizka, cienka, z nosem zadartym czternastoletnia dziewczyna, której czarne oczy iskrzyły się i latały, jak jaskółki przed burzą. — Wszak panna ma najsurowszy zakaz przychodzić tu i niepokoić mamkę!

— Ona mi wcale nie przeszkadza — odrzekła zdziwiona Polli — ja bardzo lubię dzieci.

— Nie o to chodzi, nie o to chodzi, pani Ryczards — broniła się czarnooka napastnica z tak jadowitem spojrzeniem, jakby chciała połknąć swą ofiarę — bardzo przepraszam. Ja na przykład bardzo lubię bułeczki, a nie dają mi ich do herbaty.

— Nie o to też chodzi — powtórzyła Polli.

— A o cóż, podług ciebie, dobra moja pani Ryczards? Nie zaszkodziłoby pani doskonale zapamiętać, że do niej należy opieka nad panem Pawłem, mnie zaś powierzono dozór nad panną Florą.

— Czy tedy mamy się z sobą kłócić?

— Nie, wcale nie, niewzrównana moja pani Ryczards — najzupełniej nie — trajkotała dziewczyna. — Wcale nie pragnę kłótni. Panna Flora przy mnie na zawsze, pan Paweł przy pani chwilowo.

Mała gorączka wyrażała się zwięźle i mocno; bez tchu strzelając sentencyami, o ile myśl je na język niosła.

— Panna Florentyna dopiero co wróciła do domu, nieprawdaż? — pytała piastunka.

— Właśnie, pani Ryczards, dopiero co wróciła. I zaledwie powróciła do domu, już znalazła sposobność zbrukać żałobną suknię, którą pani Ryczards nosi po mamie.

Zaledwie słów tych domówiła gorączka, której właściwie było na imię Zuzanna Nipper, odciągnęła dziewczynkę od jej nowej przyjaciółki takim silnym i krętym rzutem, jak gdyby ząb wyrywała. Lecz czyniła to wszystko nie tyle ze złości, ile z żarliwej chęci spełnienia obowiązku dozorczyni.

— Teraz, gdy panna Flora wróciła do domu — rzekła Polli z dobrotliwym uśmiechem spoglądając na rumianą twarzyczkę dziecka — ona postara się być szczęśliwą i dzisiaj zobaczy się ze swym drogim ojcem.

— Cooo? Co pani powiedziała? — zawołała Zuzia Nipper — zobaczy się ze swym ojcem? Oto — nowina! Chciałabym wiedzieć, jak to się z nim zobaczy!

— A czemu nie? — pytała Polli.

— A dla tego nie..... ach, jaka pani dziwna, pani Ryczards! Ojciec teraz ma kogo widywać, a i przedtem, gdy nikogo nie miał, panna Flora nie była mu bardzo miłą, bo — widzi pani, dziewczynka w tym domu nic nie znaczy, nic zgoła.

Dziewczynka szybko spojrzała na mówiącą, jakgdyby rozumiała i czuła to, co mówią.

— Zadziwia mię pani! — rzekła Polli. Czyżby pan Dombi dotychczas się z nią nie widział.

— Wcale dotąd nie widział się — przerwała Zuzanna. — A i dawniej nie widywał jej po kilka miesięcy i gdyby spotkał ją na ulicy, nie poznałby. O czem tu mówić? Gdyby jutro spotkał na ulicy, nie odgadłby, że to jego córka.

Tak to, tak — pani Ryczards. A co do mnie — ciągnęła, śmiejąc się gorączka — to pan Dombi nie wie nawet o mojem istnieniu.

— Biedactwo! — westchnęła pani Ryczards, myśląc o maleńkiej Florci.

— Tak, droga moja Ryczards — ciągnęła Zuzanna. — Nasz pan to prawdziwy wielki mogoł, który od nas żyje za siódmą rzeką, za siódmą górą. No — do widzenia, pani Ryczards. A panienka niech idzie ze mną i niech pamięta, żeby zachowywać się dobrze, nie jak niegrzeczna głupiutka dziewczyna, która wszystkim wiesza się na szyi.

Nie bacząc jednak na surowe upomnienie, nie bacząc nawet na niebezpieczeństwo zwichnięcia ręki, jeśli Zuzanna porwie ją jak wprzódy, maleńka Florcia wymknęła się swej dozorczyni i tkliwie ucałowała mamkę.

— Żegnam cię — mówiła — żegnam, moja najlepsza. Wkrótce znów do pani przyjdę, albo ty przyjdź do mnie. Zuzanna pozwoli nam się widywać. Prawda, Zuzanno?

Zuzanna była właściwie dobra dziewczyna, tylko że należała do tego rodzaju wychowawców młodzieży, którzy myślą, że trzeba dziatwę wciąż potrącać i podrzucać, jak brzęczącą monetę, żeby zachowała blask swój pierwotny. Skoro Florentyna zwróciła ku niej błagalny wzrok, Zuzanna splotła swe krótkie ręce, pokiwała

głową a jej czarne oczy zaświeciły łagodnym blaskiem.

— Nie warto nawet o to prosić, panno Floro. Panienka wie, że nie mogę jej odmówić. Pomówimy z piastunką, jakby to urządzić. Jabym rada pojechać do swej rodziny, a nie wiem, jak wyrwać się z Londynu; jakby to dobrze było, gdyby pani Ryczards zgodziła się na ten czas zaopiekować się panienką. Polli chętnie przystała.

— W domu tym nigdy wesoło nie bywa — więc też nie byłoby mądrze, gdybyśmy własnymi kaprysami powiększały nudę. Gdyby jakiej Toks lub jakiej Czykk podobało się dla żartu wybić mi dwa przednie zęby, byłabym naiwną, żebym podstawiła całą szczękę.

Polli nie zakwestyonowała tej sentencyi.

— Stąd wynika, że powinnyśmy żyć zgodnie, dopóki pani opiekujesz się Pawełkiem, byleby nie mącić ustanowionego tu ładu. Hej, panno Floro? Panienka dotąd nie ubrała się! Niechże panienka raz już wraca do siebie. To mówiąc, orączka porwała Florcię i wybiegła z pokoju.

Na obliczu i w ruchach biednej sierotki było tyle smutku i cierpliwej rezygnacyi, że Polli odczuła głęboką litość po jej odejściu. Serce nieszczęśliwego dziecka pałało gorącą chęcią umiłowania, a nie miało kogo kochać. Duszę jego przenikała bolesna tęsknota — a nikt nie dzielił jej i nikt nie starał się ulżyć

jej bólów. Wszystko to doskonale zrozumiało serce macierzyńskie Ryczards. Czuła ona teraz pomiędzy sobą a bezdomną dziewczynką mocny związek zaufania, dla obu niezbędnego. Florcia ze swej strony instynktem wyczuła współczucie tak niespodzianie znalezione u obcej kobiety. Wbrew wysokiemu mniemaniu palacza o małżonce Polli, podobnie jak on, nie miała pojęcia o praktyce życia. Był to prosty niekunsztowny typ kobiecej natury, która na ogół bywa szlachetniejszą, wznioślej odczuwa, dłużej w sercu pielęgnuje tkliwość, współczucie, poświęcenie i wierność, niźli gruba natura męska. Może nawet pomimo braku wykształcenia potrafiłaby oschłą duszę pana Dombi ożywić z czasem promieniem świadomości zła i dobra, a promień ten później nie olśniłby go na kształt jaskrawej błyskawicy.

Lecz nie odstępujmy od rzeczy. Polli wówczas o tem tylko rozmyślała, jakby się zaprzyjaźnić z ruchliwą Zuzanną i tak pokierować sprawami, żeby się widywać z Florcią legalnie, na mocy zezwolenia. Sposobność wkrótce się trafiła.

Jak zwykle mamka na znak dzwonka zeszła do oszklonego pokoju i spacerowała tam i nazad z dzieckiem na rękach, gdy nagle ku wielkiemu jej zdumieniu i przestrachowi pan Dombi wyszedł ze swej fortecy i stanął przed nią.

— Dobry wieczór, Ryczards.

Był to i teraz ten sam surowy, ponury, ciężki dżentlmen, jakim go poznała w pierwszej chwili. Utkwił w mamce swego syna wzrok zimny i martwy, a biedna kobieta równocześnie ruchem bezwiednym dygnęła i opuściła oczy.

— Czy pan Paweł zdrów, Ryczards?

— Zupełnie zdrów, proszę pana, — i rośnie.

— To widoczne — zauważył pan Dombi — ze skupieniem przyglądając się drobnej twarzyczce dziecka. — Spodziewam się, że pani otrzymujesz wszystko, jak należy?

— Bardzo dziękuję, proszę pana, jestem zupełnie zadowolona.

Wnet po tej odpowiedzi na jej obliczu pojawiło się tak wyraźne wahanie się, że pan Dombi, już zmierzający do swego pokoju, zawrócił i utkwił w niej wzrok pytający.

— Ja myślę, proszę pana, że dziecina stałaby się żywszą i weselszą, gdyby w około niej igrały inne dzieci — ośmieliła się Polli.

— Kiedyś pani nastała — odrzekł, brwi ściągnąwszy, pan Dombi — mówiłem pani — przypominam sobie — żeby dzieci jej nie pojawiały się w moim domu. Możesz pani kontynuować swą przechadzkę.

To rzekłszy, znikł w swym pokoju, a Polli miała sposobność przekonać się, że wcale jej nie pojął i że niewinnie naraziła się na niełaskę.

Nazajutrz wieczorem, gdy zeszła z góry, pan Dombi przechadzał się po oszklonej kom-

nacie. Stropiona tem niezwykłem zdarzeniem, stanęła u drzwi, wahając się: iść, czy wrócić? Dombi kiwnął, żeby weszła.

— Jeżeli pani sądzisz, że towarzystwo nieodzowne dla mego syna — mówił, jak gdyby pół minuty minęło od ostatniej rozmowy — to gdzie jest panna Flora?

— Nikt nie byłby lepszym od panny Flory — gorąco wstawiła się Polli — ale słyszałam od jej dozorczyni, że nie...

Pan Dombi zadzwonił i milcząc chodził po pokoju do pojawienia się sługi.

— Polecić, żeby pannę Florę przyprowadzono do Ryczards, ile razy zechce, żeby chodziła z nią na przechadzkę, bawiła się u niej w pokoju i tak dalej. Polecić, żeby dzieci były razem, ile razy Ryczards zażąda.

Żelazo było gorące i Ryczards gorliwie zaczęła kuć je. Śmiało kończyła dobre dzieło, choć serce jej drżało przed panem Dombi.

— Pannie Florze — mówiła — nie szkodziłoby od czasu do czasu przyjść i tutaj, do tego pokoju, żeby się nauczyła kochać braciszka.

Skoro sługa odszedł wypełniać polecenie pana, mamka udała, że piastuje dziecko, lecz zauważyła, jak zmieniło się oblicze pana Dombi — i zbladła. On z pośpiechem skierował się ku drzwiom, jak gdyby chciał odwołać swe rozkazy i tylko wstyd mu bronił.

Nie myliła się. Ostatni raz widział odtrącone dziecię w żałosnych objęciach umierającej matki a scena ta była dlań objawieniem i wyrzutem zarazem. Choć wszystkie myśli synowi wyłącznie poświęcał i losowi jego świetnemu, nie mógł wygładzić z pamięci tej uderzającej sceny. Nie mógł zapomnieć, że w tem przedśmiertnem pożegnaniu matki z córką — on żadnego nie miał udziału. Przed jego oczami były dwie śliczne istoty, mocno splecione wzajemnym uściskiem, a on stał obok niby widz obcy, któremu odmówiono uczestnictwa w cudownym akcie głębokiego umiłowania i bezgranicznej tkliwości.

Obrazy te z ich smutnymi odcieniami wbrew woli tłoczyły się do hardej duszy i żadna siła nie mogła usunąć odeń owych wspomnień, a dawną obojętność do małej Florci zmieniała w jakiś dziwny niepokój. Prawie czuł, że ona nad nim czuwa, nie ufa mu, jak gdyby posiadała klucz od tajemnicy, o której on sam nie wiedział. Zdawało mu się wreszcie, że w niej jest wrodzona świadomość tej niemoralnie brzmiącej struny jego duszy i że ona może nakazać tej strunie zadźwięczeć.

Stosunek jego do córki od dnia jej przyjścia na świat miał ujemny charakter. Nigdy nie czuł ku niej odrazy, lecz nigdy o niej nie myślał. Dawniej nie była dlań stanowczo niemiła; teraz czuł się wobec niej skrępowanym

i tracił równowagę duchową. Pragnąłby wcale o niej nie myśleć, lecz nie wiedział, jak to zrobić. A może bał się — któż odgadnie tajnie ludzkiego serca — żeby jej z czasem nie musiał znienawidzieć.

Skoro mała Florcia nieśmiało weszła do zwierciadlanej sali, pan Dombi przestał chodzić i spojrzał na swą córkę. Gdyby był spojrzał na nią z większą uwagą i okiem ojca, wyczytałby w jej jasnem spojrzeniu różnorakie uczucia niezdecydowania, nadziei i lęku. Ujrzałby w nich gorącą chęć uściskania go i zawołania: „ojcze, spróbuj mnie pokochać! Nikogo nie mam prócz ciebie!“ A zarazem wyczytałby obawę odtrącenia, lęk okazania się natrętną i obrażenia ojca, wielką potrzebę zachęty i ukojenia, ujrzałby nareszcie w tych jasnych oczach, z jakim trwożnym niepokojem młode serduszko szukało naturalnej przystani dla swej tkliwości i przytłaczającego je bólu.

Ale on zobaczył tylko to, że stanęła w niepewności u drzwi i zwróciła się ku niemu. Nic więcej nie dostrzegł pan Dombi.

— Wejdź — odezwał się. Wejdź, czegoż się boisz?

Weszła i obejrzawszy się wokoło, stanęła nieopodal drzwi, mocno składając rączki.

— Podejdź bliżej, Florentyno — zimno rzekł ojciec. Wszak wiesz, kto jestem?

— Wiem, ojcze.

— Czy masz mi co do powiedzenia?

Florcia podniosła ku niemu łez pełne oczy, a łzy jej zamieniły się w sople na policzkach, gdy spotkała surowe jego oczy. Pochyliła główkę i wyciągnęła drżącą rączkę.

Pan Dombi niedbale ujął rączkę dziewczynki i w milczeniu stał parę minut ze spuszczoną głową. Tak jak i ona nie wiedział, co czynić i o czem rozmawiać.

— Bądź grzeczną dziewczynką — rzekł wreszcie, trzepiąc ją lekko po głowie i rzucając na nią spojrzenie niepewne. Idź do Ryczards — idź!

Florcia postała przez chwilkę jeszcze, jakby ciągle żywiła chęć rzucenia się w ramiona ojca w nadziei, że ją uściśnie. Podniosła wzrok ku niemu. Panu Dombi wydało się, że oczy te patrzą na niego tak, jak patrzyły pamiętnej nocy na doktora. Instynktowo puścił jej rączkę i odwrócił się.

Łatwo zrozumieć, że Florcia powierzchownością i zachowaniem się wywarła niekorzystne wrażenie na panu Dombi. Nie tylko w duszy, lecz we wszystkich jej ruchach okazywał się przymus, przy czem traciła naturalną żywość i wdzięk. Polli wciąż z nadzieją obserwowała tę scenę i według własnych uczuć oceniając pana Dombi, liczyła niemało na żałobny ubiór Florci. „Czyżby to nie było srogością, gdyby

całe swe przywiązanie oddał synowi, gdy drugie oto dziecię ma przed oczami?“

Jak tylko można najdłużej trzymała ją przed oczami ojca i tak zabiegała, że Pawełek w istocie stał się weselszym. A kiedy już czas był rozstać się, chciała wysłać Florcię do pokoju ojca, by się pożegnała; lecz dziewczątko cofnęło się lękliwie, a gdy piastunka nagliła, podniosła rączki ku oczom, jakby wstydząc się swego poniżenia. „O, nie, nie! On mnie nie pragnie, nie pragnie!“ Ten spór zwrócił uwagę pana Dombi, który w swoim gabinecie popijał wino. — A co tam? — spytał.

— Panna Flora — mówiła Ryczards — chce się z panem pożegnać, lecz boi się fatygować.

— No, dobrze, dobrze! Niech sobie idzie — może się nie widzieć ze mną.

Wysłuchawszy tej odpowiedzi Florcia szybko opuściła pokój, zanim się mamka spostrzegła. Bądź co bądź poczciwa Polli rada była powodzeniu swej dyplomacyi i zaraz o wszystkiem powiadomiła Gorączkę. Wbrew oczekiwaniu Zuzanna dość zimno przyjęła do wiadomości dowód przyjaźni i wcale nie była zachwycona tem, że odtąd każdej chwili mogą się widywać.

— Myślałam, że zrobię tem pani przyjemność — mówiła Polli z odcieniem wymówki.

— Ależ mi to bardzo przyjemne, pani Ryczards, ślicznie dziękuję — odwzajemniła się

Zuzanna — prostując się, jakby kto nową fiżbinę wstawił w jej gorset.

— Tego nie widać — zauważyła Polli.

— Ja tu nie służę chwilowo — odcięła Zuzanna — mnie nie uchodzi mówić, co ślina na język przyniesie. Sąsiedni dom może i ładny, zapewne nawet ładniejszy od tego; lecz nie mam najmniejszej chęci porzucać miejsca i iść tam. Tak jest, pani Ryczards!

IV. Pojawiają się nowe osoby.

Kantor Dombi i Syn leżał w City, w ruchliwej handlowej części Londynu, gdzie słychać było dzwony świątyń, o ile ich nie głuszył hałas ulicy. Obok atoli znajdowały się kąty wcale romantyczne: Gog i Magog, dwa znamienite posągi miejskie, odległe o dziesięć minut pieszej drogi, giełda królewska jeszcze bliżej, a wspaniałym jej sąsiadem bank angielski, w którego podziemiach spoczywały, jak zmarli w sarkofagach, stosy złota i srebra.

Na rogu wznosił się bogaty dom Towarzystwa Indyjskiego, która to nazwa przypominała drogie kamienie i tkaniny, tygrysy, słonie, drzewa palmowe, wachlarze, palankiny i ciemnych strojnych książąt, z powagą siedzących na dywanach. Widać tu było afisze okrętów, płynących z żaglami rozwiniętymi do różnych

części świata; magazyny z mnóstwem towarów, którymiby można w krótkim czasie największy okręt napełnić — tu wreszcie na drzwiach sklepów z przyrządami żeglarskimi wystawiono małych miczmanów z drzewa w starych mundurach, jak gdyby dla dozoru nad jadącymi powozami.

Twórcą i właścicielem jednej z tych rzeźb — którąby można nazwać najbardziej drewnianą — tej, która wypukło wyskakiwała z tła, poważnie prawą nogę naprzód wysunąwszy, ubrana w trzewiki ze sprzączkami, w kaftan z wylotami i przy prawem oku trzymała nieproporcyonalnie wielką w stosunku do postaci maszynę — jedynym twórcą i właścicielem tego miczmana, nad wyraz z niego dumnym, był sędziwy jegomość w peruce, który zaczął płacić komorne, podatki wiele lat przed przyjściem na świat najstarszego z żywych dziś miczmanów — z krwi i kości. A przecież w angielskiej flocie niemało miczmanów wcale poważnego wieku. Sklep owego starego dżentlmena pełen był chronometrów, barometrów, teleskopów, kompasów, sekstantów i wszelkich instrumentów, nieodzownych dla kierowania okrętem.

Miedziane i szklanne rzeczy w surowym porządku rozłożono na półkach i pakach, tak że niewtajemniczeni nie mogliby odgadnąć ich użytku ani napowrót ułożyć, gdyby im zechciało się je wyjąć i rozebrać. Każdy prze-

dmiot zamykał się w futerale z drzewa różanego tak szczelnie, że najmniejsza wypukłość dokładnie przylegała do wklęsłości i wszystko to dla ochrony od zepsucia i nieładu przy kołysaniu się okrętu. Ażeby oszczędzić miejsca i ściślej ułożyć przyrządy, użyto niezwykłych środków; mnóstwo przedmiotów niezbędnych dla żeglugi kryło się w każdem pudle, a sklep i przyrządy miały wygląd tak zwarty i tak podobne były do pływającego futerału tylko bez wody morskiej, jakby czekały na to, aby się puścić na daleką bezludną wyspę.

Szczegóły życia szanownego właściciela instrumentów morskich, który chlubił się drewnianym miczmanem, wzmacniały tę opinię. Rozległe koło znajomych tworzyli żeglarze, zjadający u niego suchary okrętowe i wędliny. Marynaty podawały się w naczyniach z napisem: handel prowizyą okrętową, a napoje podawano w nizkich z krótkiemi szyjkami karafkach, używanych na morzu. Na ścianach w symetrycznym porządku wisiały widoki okrętów z alfabetycznym spisem ich części składowych; komin zdobiły rzadkie muszle, mech i rośliny morskie; niewielki kantor z tyłu sklepu otrzymywał światło niby kajuta od szyby w górze.

Gospodarz, kapitan tego pływającego futerału, mieszkał samiuteńki ze swym krewnym Walterem, czternastoletnim chłopcem, który jakby dla uzupełnienia tej charakterystyki po-

dobny był do miczmana. Sam zaś Salomon Hils lub, jak go zwano krótko, staruszek Sol — wcale nie miał wyglądu morskiego wilka. Był to człowiek powolny, milczący, ponury i wcale nie był podobny do korsarza w swej gładkiej i gęstej peruce. Czerwone oczka migały niby dwa miniaturowe słońca z poza mgły — a spojrzenie ich tak było mętne, jak gdyby przez dwa lub trzy dni z rzędu wciąż patrzył przez silne szkła, a potem naraz, odjąwszy je, wszystkie przedmioty ujrzał w zielonem świetle. Nigdy w niczem nie zmieniał swego stroju. Bardzo rzadko zastępował swój kawowy garnitur z jasnymi guzikami na inny także kawowy. Szyję otaczał wysoki stojący kołnierzyk, oczy zdobiły złote okulary, a w kieszeni spoczywał ogromny chronometr i starzec tak wierzył dokładności jego wskazań, że byłby posądził o spisek wszystkie ścienne i kieszonkowe zegary w mieście, a nawet samo słońce rychlej, niżby zwątpił o swym drogocennym chronometrze. Tak długie lata przeżył w swym sklepie i kantorze za drewnianym miczmanem; sypiał stale na strychu, zdala od mieszkań, gdzie chwilami rozkosznie gwizdał wiatr i szumiała burza, gdy tymczasem mieszkańcy dołu nie mieli pojęcia o pogodzie.

Poznajemy Salomona Hilsa w dniu jesiennym o pół do szóstej po południu w chwili, gdy staruszek wydobył z kieszonki swój nieskazitelny

chronometr. Ulice pustoszały, tłumy przechodniów rozpłynęły się i zanosiło się na całonocną szarugę. Wszystkie barometry w sklepie opadły, a krople dżdżu już kapały na lakierowany kapelusz drewnianego miczmana.

— Gdzie też przepada Walter? — mówił Salomon Hils — ponownie z uwagą badając chronometr. Od pół godziny gotów obiad, jego zaś jak niema, tak niema.

Zrobiwszy pół obrotu na kantorowym fotelu, pan Hils przechylił się do okna i spojrzał przez szpary między instrumentami, czy nie idzie kuzyn. Lecz nie było go na ulicy. Koło sklepu szli spóźnieni przechodnie pod mokrymi parasolami, dwaj chłopcy, rozlepiacz afiszów leniwie wlókł się w swej klejem obrudzonej bluzie i przystanąwszy przede drzwiami kreślił palcem imię swe na miedzianej desce, na której błyszczało nazwisko Hilsa.

— Gdybym nie wiedział, że mnie kocha i bez mej zgody nie pójdzie służyć na żadnym statku, niepokoiłbym się o niego — mruczał pan Hils, pukając palcami o szkła paru barometrów. — Wszystkie barometry spadły! Co za szaruga na dworze! Ba — ciągnął, zdmuchując pył ze szkła kompasu — ta skazówka z taką samą siłą nachyla się ku temu pokojowi, jak Walter ku swemu zajęciu. Jak też to zgodził się kierunek pokoju! Prosto na północ! Z dokładnością do $^1/_{20}$ stopnia.

— Wuju Sol!

— A, to ty, mój drogi! — zawołał kupiec instrumentów żeglarskich, zwracając się z krzesłem.

Do pokoju wbiegł wesoły, bystrooki, kędzierzawy chłopiec z twarzą zarumienioną od szybkiego biegu.

— No, wujaszku, cóżeś czynił bezemnie? Obiad gotów? Bardzo jestem głodny.

— Com robił? — dobrodusznie mówił Salomon — czyż to nie mam co robić, gdy niema takiej psoty, jak jegomość? Obiad od pół godziny gotów, a mnie też jeść się chce.

— Chodźmyż, wujaszku — zawołał chłopiec. Niech żyje admirał!

— Tfu, zgiń, przepadnij! — przeczył Hils. — Chciałeś pewnie powiedzieć: lordmajor!

— Wcale nie! Niech żyje admirał! Niech żyje admirał! Naprzód! Marsz!

Równocześnie peruka i jej pan znalazły się w tylnym pokoju. Wujaszek Sol i bratanek gorliwie zabrali się do łososia, mając w perspektywie pieczyste.

— Niech żyje lordmajor, kochany Walu! Na co nam admirałowie. Twoim admirałem obecnie jest lordmajor.

— A niech go tam! — mówił chłopiec energicznie trzęsąc głową. Lepszy rycerz. Tylko patrzeć, jak miecz swój wyciągnie.

— Co tam miecz jego! Spójrz tylko Walu na komin.

— A któż to na gwoździu zawiesił moją srebrną czarkę? — pytał młodzieniec.

— Ja — odrzekł starzec. Teraz niepotrzebna. Dziś pić będziemy szklankami, Walterze, jak ludzie stateczni, jak obywatele. Wszakże od dzisiaj wstąpiliśmy na szeroką drogę życia.

— Doskonale, wuju! Za twoje zdrowie pić będę, ile zdołam i z każdego naczynia. Niech żyje wujaszek Sol i...

— Lordmajor! dokończył stary.

— Niech żyje lordmajor, szeryf, radcowie i cała rada miejska! zawołał chłopiec.

Wuj z wielkiem ukontentowaniem kiwał głową.

— No, teraz opowiadaj o swym domu handlowym — zachęcał.

— E, wuju, o tem niema co wiele prawić. Kantor ciemny i posępny; w pokoju, gdzie siedzę, wysoki kominek, żelazna kasa, kilka map, kalendarz, pulpity, krzesła, kałamarz, księgi, kosze i moc pajęczyny, tak że jedna gęsta siatka pajęcza z siną muchą wisi wprost nad moją głową.

— I nic więcej?

— Nic prócz starej klatki — nie wiem, jak się tam dostała — i prócz kosza do węgli.

— A księgi rachunkowe i czekowe, a księgi dłużne i portfel wekslowy i inne dokumenty kupieckie handlowego domu?

— O, tego dobrego, ja myślę, znajdzie się dużo, ale to wszystko kryje się w pokojach pana Karkera, pana Morfina lub też pana Dombi.

— Czy pan Dombi był dziś w kantorze?

— Był. Nieraz wchodził i wychodził.

— Z tobą, rozumie się, nie rozmawiał?

— Przeciwnie. Przechodząc koło mnie — taki dumny i wyniosły — rzekł: „a, ty jesteś synem pana Hilsa, mechanika przyrządów żeglarskich?“

— Kuzynem, panie — odrzekłem. „No, właśnie, ja też mówię — kuzynem.“ A naprawdę, wuju, nazwał mię twym synem, nie krewnym.

— Pomyliłeś się, mój drogi — i koniec. A zresztą niewielka szkoda.

— Naturalnie, że niewielka. Tylko to niemiłe, że taki zimny i pyszny. Potem pan Dombi przypomniał, żeś mnie polecał mu do jego kantoru, że powinienem być pilny i punktualny — i wyszedł. Nie bardzo mu się chyba podobałem.

— Chciałeś zapewne powiedzieć, że on się tobie nie bardzo podobał?

— Może być, — wuju — ale nie myślałem o tem.

Po obiedzie Salomon odzyskał humor i spoglądał na chłopca. Gdy już sprzątnięto ze stołu — potrawy przynoszono ze sąsiedniej restauracyi — udał się z chłopcem do piwnicy i poszukawszy w różnych zakątkach, powrócił ze starą, zapleśniałą flaszką, okrytą kurzem i piaskiem.

— Co czynisz, wuju! Wszak to twoja ulubiona madera! Są jej tylko dwie butelki.

Stary Sol kiwnął głową na znak, że wie, co czyni i z uroczystą powagą wyciągnął korek. Potem nalał dwie szklanki i postawił butelkę na stole wraz z trzecią szklanką.

— Drugą butelkę, Walu, wypijemy, gdy już zrobisz karyerę t. z. gdy staniesz się porządnym, szanowanym, szczęśliwym człowiekiem, gdy przewodnia gwiazda nowego dziś przez ciebie zaczętego życia — Boże, wysłuchaj mej prośby — zaprowadzi cię równą, gładką drogą do celu. Błogosławię cię z głębi serca.

Mgła, wciąż zasłaniająca oczy starca, jakgdyby osunęła mu się na gardło; głos stał się drżącym i ręka trzęsła się, gdy trącał się z młodzieńcem. Pokosztował wina i wnet ciężkie brzemię spadło z ramion, a jasny uśmiech zaigrał na wargach.

— Kochany wuju — mówił wzruszony chłopiec, uśmiechając się przez łzy — jestem ci niezmiernie wdzięczny za zaszczyt... i tak dalej i tak dalej. Pozwól i mnie teraz wznieść

toast. Vivat, pan Salomon Hils! Niech żyje milion razy! Hura!

Znowu trącili szklankami. Walter pił oględnie, umoczył wargi i wzniósłszy szklankę, z miną znawcy oglądał płyn pod światło. Parę minut stary w milczeniu spoglądał na bratanka, a gdy oczy ich się spotkały, ciągnął myśl swoją:

— Widzisz, Walu — jam się zrósł ze swem zajęciem. Tak już doń przywykłem, że żyć bez niego nie mogę. A tymczasem interesy idą źle, bardzo źle. Gdy jeszcze były w użyciu te mundury — ukazał drewnianego miczmana — można było i warto było trudnić się tym interesem! A teraz... rywalizacya, nowe wynalazki, mody... Świat mnie prześcignął. Nie wiem, gdzie podzieli się moi odbiorcy, a i sam, Bóg wie, gdzie jestem.

— Dosyć, wujaszku, nie myśl o tem.

— Odkąd wróciłeś z pensyi tj. od dni dziesięciu — jeden gość zajrzał do mego sklepu.

— Dwaj, wujaszku. Czyż nie pamiętasz? Najpierw przyszedł jakiś pan z prośbą o zmianę gwinei...

— No, tak i nikt więcej.

— Jakto, wuju! A zapomniałeś o kobiecie, która pytała, jak się idzie do Ternpejk?

— Prawda, zapomniałem. Zatem dwoje.

— Ale żadne nic nie kupiło!

— Rozumie się, że nie.

— Nawet zdaje się niczego nie żądali.

— Pewnie, gdyż kupiliby sobie w innym sklepie.

— Zawsze jednak przychodziło dwoje ludzi, a ty mówisz, że jeden gość.

— E, mój Walterze! — mówił starzec po chwilowem milczeniu. — Wszakżeśmy nie dzicy na odludnej wyspie Robinzona Kruzoe. Cóż stąd, że jeden zmienił u nas pieniądze a druga spytała o drogę. Czy to nasyci? Naprawdę, życie nas prześcignęło i brak siły za niem podążać. Nie to, co dawniej: i mistrze nie ci, i uczniowie inni, i interesa gorsze, i towary również. Moje przyrządy wyszły z mody, a ja jestem stary kupiec w starym sklepie. Na co się komu przydam? Nawet ulica nasza zmieniła się. Wszystko nie tak, jak było. Tak to! czas mnie wyprzedził i nie pora go ścigać. Wrzawa życia już mię straszy.

Walter chciał odpowiedzieć, lecz wuj go wstrzymał.

— Oto dlaczego radbym cię co rychlej wprowadzić do świata interesów, jam już nie działacz, raczej cień działacza: umrę i cień zniknie. Liche to dziedzictwo. Dobrze jeszcze, żem na twą korzyść mógł wyzyskać resztkę mych dawnych stósunków. Sąsiedzi myślą, żem bogaczem. Pragnąłbym dla twego dobra, żeby to było prawdą. W każdym razie, wstąpiwszy do handlowego domu Dombi, doskonałą

masz przed sobą drogę. Bądź czynny, dziecko moje, pracuj, idź naprzód — a Bóg ci pobłogosławi!

— Ze wszystkich sił będę się starał ziścić twe nadzieje, drogi wuju i nie zapomnę rad — z powagą odrzekł młodzian.

— Wiem i o tem nie wątpię. No, a co się tyczy żeglarstwa, to ładne w marzeniach, w istocie na nic. Pewnie, patrząc wciąż na te przyrządy, zżyłeś się z myślą o morzu, ale to głupstwo, mój przyjacielu, stanowcze głupstwo!

Jednakże Salomon Hils, mówiąc o morzu, zacierał ręce z ukrytem ukontentowaniem i patrzył z nieopisaną rozkoszą na swe morskie instrumenty.

— Oto na przykład — wino. Bóg wie, ile razy spacerowało do Indyi tam i nazad, a nawet świat wokół okrążyło, widziało noce jak węgiel czarne, słyszało wiatrów świst i ryki burzy morskiej...

— Pioruny, błyskawice, deszcz, grad, straszliwe huragany! — żywo kończył chłopiec.

— Tak — winko to przebyło różne koleje. Wyobraź sobie, jak skrzypią i trzeszczą maszty okrętowe, jak wyje wicher w linach...

— Jak majtkowie pędzą i wspinają się na reje, jak usiłują wzmocnić żagle, a okręt jak szalony mknie i podskakuje...

— Wszystko to widziała stara beczka z tą szacowną maderą. Gdy *Piękna Salli* odbijała...

— Na Bałtyk w noc ponurą! Pamiętam, pamiętam! Zginęła o północy czternastego lutego 1749 roku!

— Właśnie! Na okręcie było pięćset beczek tego wina — i cała załoga z wyjątkiem pierwszego masztowego, pierwszego porucznika, dwóch majtków i jednej damy, ratującej się łódką — rzuciła się do beczek, rozbiła je, upiła się na śmierć winem i śród uroczystego śpiewu *Rule Britannia* razem z okrętem, wściekle klnąc i krzycząc — poszła na dno.

— A pamiętasz, wuju, jak to straszliwy wicher przypędził „Jerzego II." do wybrzeży Kornwału na parę godzin przed zachodem słońca czternastego marca 1701 roku? Na statku było 200 koni. Przerażone huraganem zerwały się z uwięzi, pędziły pod pokładem, kopały i deptały się, rżały, skowytały i sprawiły taki przerażający hałas, że załoga myślała, jakoby tysiąc czartów owładło statkiem. Najlepsi żeglarze utraciwszy przytomność, zginęli w morzu i dwoje ledwie ocalało świadków zdarzenia.

— A pamiętasz, kiedy *Polifem*...

— Kupiecki wschodnio-indyjski okręt Onersa, Wiggsa i Co. o 350 tonach, kapitan Dżon Broun z Deptfortu? — wołał Walter.

— Ten sam. Gdy na nim czwartego dnia żeglugi koło Jamajki wybuchły płomienie...

— Na okręcie wówczas byli dwaj bracia — przerwał młodzieniec żywo i z ogniem. — W jednem okrętowem czółnie, po brzegi napchanem ludźmi, wolne było jedno miejsce i żaden z braci nie chciał zeń korzystać, aż starszy wrzucił w czółno młodszego przemocą. Wówczas młodszy zawołał: „Edwardzie! Pomyśl o swej narzeczonej! Jam jeszcze chłopiec i nikt w domu nie czeka na mnie. Zajmuj co prędzej moje miejsce!“. To mówiąc, rzucił się w morze.

Walter pod wpływem opowieści zerwał się z krzesła a jego płonące oczy i silny rumieniec przypomniały Salomonowi to, co mu wyszło z głowy. Zamiast ciągnąć ulubioną gawędę, zakaszlał sucho i rzekł;

— Pomówmy o czem innem, Walterze.

Chodziło o to, że namiętne upodobanie w cudownych i niezwykłych wypadkach, rozwinięte w Salomonie samą naturą jego zajęcia, udzieliło się i kuzynowi. Nadaremnie usiłował nadać inny kierunek jego skłonności. Nie pomogły żadne środki, a przeszkody jeszcze rozpalały namiętność. Tak wszystkie książki i baśnie, jakie piszą się i opowiadają dziatwie, aby ją do ziemi przywiązać, wywierają zgoła inny wpływ i nieodwołalnie porywają ją ku odmętom morza.

Tymczasem zjawiła się nowa osoba. Był to mężczyzna w granatowym płaszczu z czar-

nemi, gęstemi brwiami; zamiast prawej ręki sterczał z płaszcza kikut a w lewej ręce tkwiła gruba pałka, pełna szyszek i narośli, jak jego nos. Szyję zdobiła ogromna czarna, jedwabna chustka, a wysoki kołnierzyk koszuli był tak gruby i wielki, że wydawał się żaglem. Był to właśnie gość, na którego oczekiwała trzecia szklanka, o czem doskonale wiedział. Powiesił na gwoździu za drzwiami swój płaszcz i twardy włochaty filcowy kapelusz, od którego na czole pojawiła się czerwonawa pręga, jakby od szczypców żelaznych, wziął krzesło, przybliżył do stołu i usiadł naprost szklanki. Gościa tego zwano kapitanem. Twarz ogorzała i surowa wyjaśniła się, gdy uściskiem dłoni witał wuja i młodzieńca; nie był widocznie gadatliwy, wyrażając lakonicznie swe myśli.

— No, cóż? — zapytał.

— Wszystko dobrze — odrzekł Salomon, podsuwając wino.

Gość wzniósł butelkę i starannie zbadawszy, ozwał się:

— Ta?

— Ta sama.

Wtedy kapitan napełnił szklankę i pogwizdując melodyę, rozmyślał o niezwyczajnem święcie.

— Walterze — mówił, gładząc kikutem rzadkie włosy i wskazując Salomona. — Naśladuj go, kochaj, szanuj i bądź posłuszny. Znajdź

odpowiednie miejsce w Piśmie św. i połóż zakładkę.

Tak był rad ze swego powiedzenia, że powtórzył je.

— Nigdy nie byłem w kłopocie, ilekroć chodziło o wskazania w życiu. Nie traciłem słów, jak inni.

Przypomniał sobie, że w tej chwili zbyt szafował słowami. Zamyślił się i milczał, dopóki stary Sol ze świecą nie wyszedł do sklepu. Wtedy ozwał się bez wstępu do Waltera:

— Zdaje mi się, że on mógłby zrobić zegarek, gdyby zechciał.

— Niezawodnie. Wcale o tem nie wątpię, kapitanie.

— I jakby chodził! — mówił gość, kreśląc kikutem fantazyjne figury. — Bierz licho, jakby chodził!

Parę minut rozmyślał nad doskonałością idealnego zegarka i patrzył w milczeniu na młodzieńca, jak gdyby twarz jego była cyferblatem.

— Tak, on nadziany wiedzą różnego rodzaju. Spójrz, czego tu brak. Ziemia, powietrze, woda — wszystko mu ulega. Czy zechcesz wznieść się ku obłokom balonem, czy pogrążyć się na dno morskie jako nurek — wszystko tu znajdziesz. Zechciej dostać i zważyć gwiazdę polarną — i w tem ci dopomoże.

Szanowny kapitan żywił głęboki szacunek dla żeglarskich przyborów, a filozofia jego nie widziała różnicy pomiędzy wynalazkiem a sprzedażą tych przedmiotów.

— Ach — mówił wzdychając — dobrze to rozumieć te sztuki, dobrze i nie rozumieć. Nie wiem, co lepiej. Przyjemnie tu siedzieć i zdawać sobie sprawę, że mogą cię zważyć, wymierzyć, namagnetyzować, naelektryzować, na . . . . licho wie, co jeszcze — a nie rozumieć, jak?

Przedziwna madera rozwiązała język kapitana i mowę tę pouczającą wygłosił z doskonałą swadą. Ale — zdawało się — szanowny wilk morski nie mógł wytłómaczyć, jakim sposobem nareszcie wyraził to, co tkwiło w głębi głowy od lat dziesięciu, ile razy w niedzielę spożywał obiad w tym sklepie. Zadumał się znowu i umilkł.

Słuchaj, Ned — zawołał Salomon Hils — czy nie należałoby wypróżnić tej buteleczki, zanim do grogu się weźmiemy?

— Zgoda — odrzekł kapitan. — A cóż kuzynek?

— Dziękuję, wuju, nie mogę więcej.

— Wypijesz. Wypijemy wszyscy na powodzenie handlowego domu Waltera. Kto wie? Ser Ryszard Wittington poślubił córkę swego pana.

— Przyjmij to do wiadomości, Walterze — rzekł uśmiechając się kapitan.

— Chociaż pan Dombi nie ma córki...

— Ma, ma, wuju, zawołał młodzieniec, rumieniąc się i śmiejąc.

— Ma? A naprawdę, przypominam sobie, że ma.

— O, wiem napewno. Słyszałem o tem dziś w kantorze. Podobno ojciec nie lubi jej. O tem tylko marzy, żeby syna coprędzej zrobić spólnikiem, choć jeszcze z pieluch nie wyrósł. Oblicza bilans, myśli o synu i rozkoszuje się swymi okrętami. Z zachwytem myśli, że wszystkie te skarby należą do niego i syna. Tak mówią. A zresztą nie wiem.

— Ehe! jużeś się wszystkiego o niej dowiedział.

— Tak znowu nie. Ale cóż zrobię, kiedy słyszałem.

— Boję się, żeby ten synek nie stanął nam na przeszkodzie.

— Być może — dodał kapitan.

— Bądź co bądź — pijmy za jego zdrowie. Niech żyją Dombi i Syn.

— Doskonale wuju. Ale toast trzeba nieco zmienić. Mówisz, że wszystkiego dowiedziałem się o córce swego pana i z góry mnie z nią łączysz, a zatem... niech żyją Dombi, Syn i córka!

V. Chrzciny Pawła.

Robotnicza krew Tudli stała się pożyteczną małemu dżentlmenowi. Szlachetny syn pana Dombi w oczach rósł i nabierał siły. Panna Toks coraz więcej przywiązywała się do Pawła, a jej ubóstwienie tak działało na pana Dombi, że począł ją cenić, jako niewiastę bogato uposażoną od natury i przy spotkaniu kłaniał się jej ze szczególnym respektem. Przed siostrą przyznał się nawet do swej sympatyi i nieraz powtarzał: Luizo, powiedz pannie Toks, że jestem jej wdzięczny. To niezwykłe uznanie wywierało wielki wpływ na ledi, która umiała je ocenić.

Miss Toks często zapewniała Czykk, że nic nie da się porównać z zapałem jej uczestnictwa w sprawie rozwoju miłego dziecka, a bezstronny widz mógł zauważyć, że czyny jej godziły się ze słowami. Z nieopisaną rozkoszą przyglądała się obiadom młodego dżentlmena, jakby nasycanie go zależało w równej mierze od niej i od mamki. Z takim samym entuzyazmem przypatrywała się ceremoniałowi kąpieli i ubierania, a część lekarska — dozór nad zdrowiem dziecka całkowicie był w jej zarządzie. Raz w przystępie wstydliwości musiała ukryć się za szafą w chwili, gdy pan Dombi wszedł do dziecinnego pokoju zobaczyć, jak syn jego w krótkiej koszulinie przed snem

dokazywał w objęciach swej mamki. Lecz panna Toks nie wytrzymała i wśród wylewu tkliwego zachwytu zawołała: „Jaki on luby, panie Dombi! Istny amorek!“ — i w tej chwili opamiętawszy się, mało nie zemdlała za drzwiami ze wstydu i pomieszania.

— Luizo — rzekł raz pan Dombi do swej siostry — myślę, że z okazyi chrzcin Pawła trzebaby twej przyjaciółce dać jakiś prezent. Od początku bierze żywy udział w wychowaniu chłopca i doskonale spełnia swą rolę — a to w naszym świecie nie często się trafia. Radbym ją czemś wyróżnić.

U pana Dombi znaczyło to, że panna Toks nie tylko rozumiała swe położenie, lecz i względem niego zachowywała się, jak należało.

— Kochany Pawle — odrzekła siostra — okazujesz się zupełnie sprawiedliwym względem miss Toks, czego można się było spodziewać po twej znanej przenikliwości. Jeżeli w języku angielskim są trzy słowa, dla których ona najżywszy piastuje szacunek, to są słowa : Dombi i Syn!

— Wierzę. To przynosi zaszczyt szanownej pannie Toks.

— I każdy prezent, drogi Pawle, wszystko, cokolwiekbyś jej raczył ofiarować, przyjmie ona ze czcią od ciebie, jak świętość. Lecz wiem, czem mógłbyś ją najwięcej uszczęśliwić.... Tak, toby jej nader pochlebiało, gdybyś zechciał...

— Cóż takiego?

— Rozumiem, że chrzestni rodzice nieodzowni w świecie dla związków i protekcyi....

— Nie pojmuję, dlaczego mieliby nieodzowni być dla mego syna — sucho wtrącił Dombi.

— Co prawda — to prawda, drogi Pawle. Jesteś niezmiennie wierny swym zasadom. Nie mogłam oczekiwać od ciebie nic innego. Może też nie będziesz przeciwny, żeby panna Toks stała się chrzestną matką naszego amorka lub choćby ją zastąpiła w czasie chrzcin. Niema mowy, ona uzna to za największe szczęście....

— Luizo! — mówił pan Dombi po chwilowem milczeniu — trudno się nie zgodzić...

— Naturalnie — zawołała pani Czykk, uprzedzając odmowę — nie powątpiewałam o tem.

Pan Dombi niecierpliwie spojrzał na siostrę.

— Nie przecz, drogi Pawle! — mnie to szkodzi, rozstraja mnie. Jeszcze nie odzyskałam spokoju od czasu zgonu naszej biednej Fanni.

Pan Dombi z pod oka spojrzał na chustkę, którą siostra trzymała przy oczach i dodał:

— Trudno się nie zgodzić, mówię...

— A ja mówię — przerwała znowu pani Czykk — że nie wątpiłam o tem.

— Mój Boże, Luizo! — zawołał pan Dombi.

— Nie, drogi Pawle — ciągnęła z godnością, podczas gdy do oczu napływały jej łzy — pozwól mi skończyć. Brak mi tej siły przekonywania, rozumu, wymowy, jakie posiadasz. Wiem to doskonale i tem gorzej dla mnie. Ale jeśli chcesz posłuchać ostatnich słów moich, a ostatnie słowa powinny być święte, Pawle, to powiem, żem nigdy nie wątpiła o tem.

Pan Dombi niecierpliwie postąpił ku oknu i wrócił nazad.

— Trudno się nie zgodzić, Luizo, że są osoby, które miałyby w tym wypadku więcej praw, niż panna Toks. Ale to głupstwo: nic mi do prawa. Handlowy dom pod firmą *Dombi i Syn* będzie trwał sam przez się bez obcej pomocy. Nie potrzebuję żadnej podpory. Jestem ponad tłumem. Dość, że dzieciństwo i młodość Pawła upłyną szczęśliwie bez straty czasu, a on przysposobi się do zaszczytnego wstąpienia na swą drogę. Potem może, gdy uzna za potrzebne, wybrać sobie potężnych przyjaciół, żeby podtrzymać albo nawet podnieść kredyt handlowego domu. Do tej pory ja sam będę dlań wszystkiem, a nie chcę, żeby kto stawał między nami. Jestem gotów wyrazić uznanie twej przyjaciółce — i godzę się na projekt. Resztę świadków uzupełnię ja z twoim mężem.

W tej mowie, wygłoszonej z niezwykłą, prawdziwie wielmożną wspaniałością, pan Dombi zamknął swoją najgłębszą myśl tajemną. Nie-

wysłowiona nieufność ku każdemu, kto go mógł odgrodzić od syna, dumna obawa rywala w sercu syna, srogi cios tak świeżo zadany jego władzy wszechmocnej i strach przed myślą o nowym sroższym możliwym ciosie — oto, czego było pełne to serce. Nie miał w swem życiu przyjaciela; zimna, odstręczająca natura nie szukała powierników. A gdy teraz z taką przemocą zlała się jak w topiel w nami ętną ojcowską miłość i dumę, lodowaty jej potok zamiast odtajać pod dobroczynnymi promieniami tego uczucia i swobodnie toczyć jasne fale, stopniał tylko na moment, ażeby ściąć się w twardą jak kamień masę. Tak samo brak znaczenia panny Toks sprawił, że stała się chrzestną matką Pawełka. Pan Dombi zarządził, żeby akt uroczysty odbył się bez zwłoki. Siostra po tem świetnem zwycięstwie udała się do drogiej przyjaciółki z dobrą nowiną, a pan Dombi pozostał w bibliotece.

W pokoju dziecinnym panowały straszne nudy. Siedziały tam i gawędziły pani Czykk i panna Toks, niecierpliwiła się Zuzanna Nipper, którą tak drażniła ich obecność, że za drzwiami razwraz czyniła miny, żeby dać wyraz swemu niezadowoleniu. Jak wędrowni rycerze dawnych czasów wyrzynali imiona ukochanych kobiet w pustyniach, lasach i na niedostępnych skałach, gdzie nikt ich nie czytał, tak panna Zuzanna Nipper kręciła noskiem ku komodom, pokazy-

wała język szafom i zawracała oczami ku talerzom, zrzędząc na każdym kroku.

Tymczasem przyjaciółki, nie widząc nic z tego, bacznie śledziły scenę rozbierania, karmienia i układania do snu Pawełka. Po ukończeniu tych ceremonii, siadły do herbaty przy kominku i dopiero teraz, obejrzawszy się w około, przypomniały Florcię, która dzięki domaganiu się Polli od niejakiego czasu spała w jednym pokoju z bratem.

— Jakże ona mocno śpi! — rzekła panna Toks.

— Wiesz przecież, moja droga, że wiele bawi się z Pawełkiem. Zmęczyła się.

— To dziwne dziewczę.

— Wykapana matka — ciągnęła panna Toks przyciszonym głosem.

— Biedactwo. O, mój Boże!

Słowa te, sama o tem nie wiedząc, wypowiedziała ze szczerem współczuciem.

— Florentyna nigdy, nigdy nie będzie Dombi, choćby tysiąc lat żyła.

Panna Toks wzniosła oczy i duch jej widocznie w skupieniu walczył z ogarniającym go bólem.

— Ogromnie mnie martwi jej przyszłość — mówiła pani Czykk z wyrazem pokory i dobroci. — Nie mogę bez zgrozy pomyśleć, co się z nią stanie, gdy wyrośnie. Biedactwo! Jakie miejsce zajmie w świecie? W opinii ojca nie stoi wy-

soko, ale nie może być inaczej. W niej niema nic z Dombich.

Mina panny Toks mówiła, że niema co przeciwstawić takiemu argumentowi.

— Ten dzieciak — to czysta Fanni. Niezdolna do żadnego wysiłku, zaręczam. Do żadnego! Nigdy nie dostanie się do serca ojcowskiego, nigdy się koło niego nie obwinie, jak...

— Jak bluszcz?

— Jak bluszcz — potwierdziła pani Czykk. Ona nigdy nie rzuci się i nie przylgnie do objęć ojcowskich, jak...

— Jak trwożliwa łania?

— Jak łania trwożliwa! Nigdy! Biedna Fanni. A jednak lubiłam ją.

— Nie rozstrajaj się, moja droga. Uspokój się, tak jesteś uczuciowa!

— Wszyscy mamy braki — mówiła pani Czykk, wylewając łzy — wszyscy mamy swoje wady. Bardzo dobrze widziałam jej błędy, lecz nigdy poznać tego po sobie nie dałam. Broń Boże. Bardzo ją lubiłam.

Nieboszczka pani Dombi miała swe braki i ułomności — niestety, któż ich nie ma! — lecz była ona aniołem niewieściej dobroci i rozumu w porównaniu z panią Czykk, z tą próżną, nadętą babą, która oto z taką zarozumiałością przechwalała się domniemaną opieką, jak przy każdej okazyi niegdyś okazywała swej bratowej

wyniosłą łaskawość swą i wyższość. Piękne jest okazywanie wyrozumiałości, gdy wypływa ono z czystego serca, wstrętne, gdy jest maską złego i dumnego charakteru! Pani Czykk jeszcze w rozczuleniu tarła suche oczy i kiwała głową, kiedy piastunka ośmieliła się zauważyć, że panna Florcia ocknęła się i siedzi w łóżeczku. W istocie obudziła się, a na rzęsach jej wisiały łzy. Lecz prócz Polli nikt łez tych nie dostrzegł, nikt sierotce nie szepnął ani słówka pociechy, nikt nie słyszał, jak biło się i kołatało to serduszko.

— Nianiu — mówiła dziewczynka — pójdę do braciszka, pozwól mi położyć się koło niego.

— Dla czego, duszko?

— Zdaje mi się, że on mnie lubi. Puść mnie do niego, proszę cię, nianiu!

Pani Czykk zwróciła się do dziewczynki z macierzyńskiemi przestrogami, jak to wstyd dobremu dziecku kaprysić, lecz Florcia, nie odrywając przelęknionych oczu od mamki, nalegała z płaczem, żeby ją puszczono do brata.

— Nie obudzę go. Położę tylko rękę na nim i usnę. Ach, pozwólcie mi być z nim razem. On mnie lubi.

Ryczards, milcząc, wzięła dziecko na ręce przeniosła do łóżeczka brata. Dziewczynka

przysunęła się do brata, ujęła go za szyjkę, zamknęła spłakane oczy i uciszyła się.

— Biedne maleństwo! — odezwała się panna Toks — pewnie coś się jej przyśniło. To zdarzenie przerwało rozmowę. Pani Czykk znużyła się rozważaniem swoich wyniosłych zasad moralnych. Przyjaciółki dopiły herbaty i posłały służącą po dorożkę. Najęcie dorożki dla panny Toks było dziełem ważnem i ona przystępowała doń z przygotowaniami systematycznemi.

— Weź pióro i kałamarz ze sobą i zanotuj uważnie numer. A nie zapomnij w dorożce przewrócić poduszkę. Zwykle nocami bywa wilgotna. Zabierz też kartkę i szylinga. Powiedz, żeby wiózł podług tego adresu i że więcej jak szylinga nie dostanie. Nie zapomnij.

— Nie zapomnę — zapewniła sługa.

— Jeszcze jedno. Powiedz dorożkarzowi tak, niby niechcący, że ledi, którą wiezie — to niebylekto, że ma znakomitego wuja, wpływowego i surowego pana, który do więzienia wtrąci każdego, jeśliby obraził jego krewną.

— Możesz nawet tak sobie od niechcenia opowiedzieć, że już raz zuchwałemu brutalowi, który niedawno umarł, taką dał nauczkę, że przez całe życie pamiętał.

— Słucham pani.

— Teraz więc dobranoc miłemu, maluchnemu, najmilszemu synkowi chrzestnemu —

czuliła się, posyłając słodkie całusy — a ty, kochana Luizo — daj mi słowo, że napijesz się na noc odwaru z czarnych jagód i uspokoisz się.

Czarnooka Zuzanna Nipper zaciskała wargi z niecierpliwością; lecz gdy już z dziecinnego pokoju wyszły, wybuchła.

— Ogarnia mię szewska pasya na te czupiradła!

— A ona jeszcze mówi, że aniołkowi temu coś się przyśniło — dodała Polli.

— Czupiradła, niech was licho porwie! — krzyczała Gorączka, z ironicznym dygiem przysiadając naprost drzwi, którędy wyszły przedmioty jej gniewu.

— W niej niema nic z Dombich! To i chwała Bogu, że niema!

— Nie zbudź dzieci, Zuzanno — ostrzegła Polli.

— Stokrotnie dziękuję, pani Ryczards — zawołała Zuzanna, korzystając z okazyi wynurzenia swego gniewu. — Jak mulatka i niewolnica powinnam ze czcią słuchać pańskich rozkazów. Czy nie raczy mi pani jeszcze jakiej uwagi uczynić? Mów pani, nie ceremoniuj się ze swą pokorną sługą.

— I poco pani prawisz te niedorzeczności?

— Jakto niedorzeczności? Skądże to pani pochodzi? Czyż to pani nie wiesz, że pani, ako gość chwilowy, możesz poniewierać mnie

wedle woli. Skądkolwiekbyś pani jednak pochodziła, powinnaś pani wiedzieć, że dawać polecenie i wykonywać je — dwie różne rzeczy. Pani naprzykład możesz mi nakazać rzucić się głową na dół z piątego piętra, a ja naprzykład ocalając swą szyję — mogę jej nie usłuchać. Tak to rzecz ma się.

— Com ja pani zawiniła? Miotasz się pani na mnie za to, że krzywdzą pannę Florcię. Masz pani bardzo dobre serce; ale przecież nie jam zawiniła, moja droga.

— Tak, dobrze pani tak mówić, kiedy za chłopczykiem biegają niby za książątkiem, kiedy go kochają i pieszczą; cobyś pani powiedziała, gdyby nim poniewierali, jak tą śliczną, miłą sierotą, o której te dwie czarownice rozmawiały, niby o straconej dla życia! Przeklęte! Ale co tam. Nie kaprysić, panno Florciu! Spać, psotnico! Albo zawołam kominiarza i każę mu ciebie zjeść. Spać.

Słowom tym towarzyszył straszny pomruk, jak gdyby już w istocie szedł kominiarz, gotów nakaz ten spełnić. Zuzanna uciszała swą wychowanicę, okrywając główkę jej kołdrą i klepiąc po kołdrze dłonią. Następnie złożyła ręce, siadła pod kominkiem i nie mówiąc ani słowa, spędziła resztę wieczoru.

W pokoju dziecinnym utrzymywano, że Pawełek zaczyna rozumieć i spostrzegać. Z tem wszystkiem wcale nie zauważył, że czynią się

przygotowania do chrztu jego, że najstaranniej przyrządzają paradny strój dla niego i dla świty. Nawet w decydującym dniu nie okazał, że rozumie uroczystość odrzędu; przeciwnie w stanowczym momencie podobało mu się zasnąć snem sprawiedliwego, a potem, gdy go obudzili i zaczęli przyodziewać, wyraził wielkie nieukontentowanie. Pochmurny dzień jesienny i silny wschodni wiatr godził się wybornie z całą uroczystością i z chłodną miną pana Dombi.

Stojąc, przyjmował on gości w bibliotece a sam tak był oziębły, jak pogoda. Gdy zbliżał się do okna, zaglądał do ogródka i na drzewa, gdzie suche i pożółkłe liście osypywały się z szelestem jak gdyby od tego spojrzenia. Ciemne i zimne komnaty przyoblekały się w żałobę. Księgi ustawione rzędami, jak żołnierze w szeregu, stały nieruchomo w swych posępnych mundurach — a jeżeli jak żołnierze miały jaką myśl, to chyba o tej jesiennej mroźnej pogodzie. Szafa oszklona, na klucz mocno zamknięta, nie dopuszczała nawet myśli dotknięcia się paradnych okładek. Na szafie ponuro wznosił się bronzowy biust Wiliama Pitta, nie ożywiony ani kropelką podobieństwa — i jak maur zaczarowany strzegł skarbu. Na narożach stały dwie pyłem okryte urny, z jakiegoś starożytnego grobowca wyjęte, głosząc znikomość spraw tego świata; a zwierciadło wprawione

Dr. Blimber z uczniami swymi na przechadzce.

(Dombi i syn.)

w ścianę nad kominkiem, odbijając zarazem pana Dombi i jego portret — rzekłbyś — pogrążyło się w jakieś malancholii pełne zadumanie. Okopcona zimna druciana krata przed kominkiem bardzo podobna wydawała się do pana Dombi w granatowym do góry zapiętym fraku z białym na szyi krawatem i modnych butach skrzypiących; stroju dopełniał nieodzowny złoty łańcuch, wystający z pod fraka. Lecz to osobliwe pokrewieństwo kratki i pana Dombi stawało się dopuszczalne w nieobecności krewnych pana i pani Czykk, którzy oto stawili się przy tej okazyi osobiście.

— Drogi Pawle — wdzięcznie szepnęła pani Czykk — dzień dzisiejszy będzie początkiem wielu wesołych dni.

— Dzięki, Luizo — odrzekł niewesoło pan Dombi — jak się masz, panie Janie?

— Jak się pan miewasz? - pytał nawzajem Czykk.

Wyciągnął rękę tak wolno, jak gdyby lękał się porażenia elektrycznego.

Pan Dombi dotknął ręki ostrożnie, jakby dotykał ryby lub morskiej rośliny, albo rzeczy kleistej i mokrej.

— Czy nie trzebaby kazać, Luizo, rozniecić ognia?

— Ach, nie, mój drogi — odrzekła słodko pani Czykk, kurcząc się od zimna, jak nieszczęście. — Mnie wszystko jedno.

— A panu nie zimno, panie Janie?

Pan Czykk, który już włożył obie ręce w kieszenie i szykował się zagwizdać jedną z ulubionych aryi, przerwał i zapewnił, że mu jest dobrze. Poczem zanucił początek melodyi, gdy zjawił się sługa z oznajmieniem panny Toks.

Urocza dziewica na tę uroczystość wystroiła się w lekką suknię z gazy, ozdobiwszy czoło, sploty, szyję wszystkimi przepychami swej toalety. Oblicze jej a zwłaszcza nosek sine były od zimna.

— Jak zdrowie, panno Toks? — pytał Dombi.

Panna Toks, dygając, przykucnęła na swojej pysznej gazie i stała się podobną do zsuniętych binokli.

— Nigdy tego dnia nie zapomnę — brzęczała tkliwie. — O, nigdy! Droga Luizo, prawie nie śmiem wierzyć swemu szczęściu!

Gdyby panna Toks ośmieliła się dać wiarę własnym uczuciom, przekonałaby się, że dzień zimny. Trudno się było z tem zgodzić. Z pierwszej sposobności skorzystała, aby przywrócić przez chłód wstrzymany obieg krwi w końcu nosa i zaczęła trzeć go chusteczką, bojąc się zapewne, aby zbyt nizka temperatura źle nie oddziałała na dziecię, gdy zacznie je całować.

Zjawił się wreszcie i młodzieniec na rękach Polli uroczyście wniesiony. Z tyłu szła Florcia

pod strażą Zuzanny Nipper, zamykającej pochód. Wprawdzie orszak, przybyły z dziecinnego pokoju, zdjął na ten raz żałobę; nie mniej wesołością nie celował. Może młodzieniec przeląkł się sinego nosa swej chrzestnej matki, gdyż zaczął płakać i przez to przeszkodził panu Czykk ośmielić dobrem słowem Florcię, do której już zbliżał się z tą myślą. Pan Czykk nie bardzo lubił ród Dombich może dla tego, że zbyt ścisłe stosunki łączyły go z pewną osobą, która kiedyś miała zaszczyt tak się nazywać; lecz małą Florcię bardzo lubił i nie krył swej sympatyi. Więc i teraz chciał zbliżyć się do sierotki, lecz najdroższa połowica wstrzymała małżonka, zaledwie rozległ się krzyk dziecka.

— Czegóż gapisz się, Florciu? Utul braciszka.

Temperatura jeszcze się oziębiła, gdy pan Dombi zwrócił zimne spojrzenie na córkę, która klaszcząc w rączki i stając na paluszki, wabiła ku sobie braciszka. Dziecię usłyszało znany głos, spojrzało w dół i zamilkło. Florcia ukryła się za panią Ryczards — dziecko zaś ją śledziło; wyjrzała z wesołym krzykiem — zaczęło skakać i śmiać się radośnie. Wreszcie gdy siostra doń podbiegła, Pawełek w głos się roześmiał i zagłębił rączkę w jej włosy, podczas gdy go obsypywała pocałunkami.

Czy to było miłe panu Dombi? Żadnym ruchem nie dał wyrazu swemu zadowoleniu.

Zresztą zewnętrzne objawy uczuć nie leżały w jego naturze.

Gdyby promień słońca przedarł się do pokoju i oświecił igraszki dzieci, także nie rozchmurzyłby twarzy. Była ona tak nieruchoma i zimna, że ostatni ciepły promyk zagasł w źrenicach Florci, gdy przypadkowo spotkała się z oczami ojca.

Dzień był szary, chmurny, prawdziwie jesienny, a w ciszy opadały liście z drzew.

— Pan Jan — rzekł Dombi — weźmie pod rękę siostrę; ja pójdę z panną Toks. Ryczards niech idzie naprzód z panem Pawłem, lecz ostrożnie.

W karecie pana Dombi zajęli miejsce: Dombi i syn, pani Czykk, Ryczards i Florcia; w karetce pana Czykk jechała Zuzanna Nipper i pan Jan. Zuzanna wciąż patrzyła w okno, aby się uwolnić od widoku szerokiego oblicza dżentlmena, a ilekroć coś zadźwięczało, zdawało się jej, że to pieniądze, bo pan Jan chce ją uczcić podarunkiem.

W drodze do świątyni pan Dombi klasnął raz w dłonie dla zabawy syna i panna Toks z entuzyazmem przyjęła ten dowód czułości ojcowskiej. Nic więcej nie uczynił ani się odezwał pan Dombi, a wesoły orszak różnił się od pogrzebowego pochodu tylko inną barwą pojazdu i koni.

U drzwi świątyni spotkał karetę stróż jej ze złowieszczą twarzą. Panna Toks ze czcią podała rękę przy wysiadaniu panu Dombi i weszła na stopnie kościoła. Tam właśnie inna odbywała się ceremonia, a panna Toks dosłyszała jeszcze pytanie: „Masz wolną a nieprzymuszoną wolę... tego oto małżonka pojąć?“ i odpowiedź „Tak“.

— Prędzej wnoście dziecię, bo zimno — naglił dozorca kościelny.

— „Do grobu?“ — mógłby spytać Pawełek z Hamletem — taki chłód i wilgoć tchnęła od kościoła. Wielka nawa katedry, straszne rzędy próżnych ław, posępne galerye, wznoszące się pod sklepienie i ginące w mroku olbrzymiego organu, zapylone chodniki i zimna posadzka kamienna, puste krzesła na przodzie i wilgoć w ukrytych kątach, gdzie stał katafalk, nosze, łopaty, wszelkie sznury, gdzie unosiła się woń dziwna i mogilne światło. Na takiej arenie miał się spełnić obrzęd święty.

— Teraz u nas ślub, lecz wnet się ukończy. Nie pozwolą państwo do zakrystyi? — To mówiąc, dozorca zlekka skłonił się panu Dombi, dając do poznania, że zna go od pogrzebu małżonki i spodziewa się, że szanowny dżentlmen miał się odtąd pomyślnie.

Twarze państwa młodych wcale nie wyrażały gorącego zachwytu nasyconych uczuć, a cała ślubna procesya wygląd miała smutny. Panna

młoda była już stara, pan młody za młody; jakiś podtatusiały dandys o jednem oku prawdziwem, drugiem sztucznem — prowadził pannę młodą. Cały orszak drżał z zimna. W zakrystyi płonął ogień i stary pisarz coś sprawdzał w księdze, wodząc palcem po wielkich stronach foliantu, zapisanego nazwiskami nieboszczyków. Nad kominkiem wisiał plan kościelnych podziemi i pan Czykk, odczytując głośno rejestr osób zmarłych, wygłosił imię Fanni.

W parę minut zjawił się dozorca — nizki, chudy staruszek, mocno sapiący. Ukłonił się z szacunkiem i oznajmił, że można zacząć ceremonię. Trzeba było zaczekać jeszcze, zanim podpisywali się świadkowie weselni, a tymczasem ponury starosta przechadzał się i wciąż pokaszliwał czy to wskutek choroby czy też żeby przypomnieć o sobie państwu młodym, opuszczającym kościół. Wnet przyszedł zakrystyan, jedyny wesoły człowiek w całym kościele: przyniósł wiadro wody ciepłej i oznajmił, że należało dobrze zagrzać wodę, choć sprawa nie była w takie zimnisko łatwa. Nareszcie pojawił się i sam pastor, uprzejmy młody człowiek z uśmiechniętą twarzą; lecz postać ta musiała przerażać małe dzieci przypomnieniem bajecznych straszydeł, zawsze osłoniętych białym całunem — a szaty szanownego pastora kościoła anglikańskiego bardzo były do całunu podobne. W istocie na sam widok jego Pawełek w niebogłosy

zaczął płakać i dopóty nie przestał, aż go wynieśli. Nawet i potem w czasie całego trwania obrzędu rozlegał się w kościele krzyk dziecka raz głośno, to znów ciszej, co tak dalece rozstroiło czułe damy, że pani Czykk wciąż posyłała dozorcę do mamki z poleceniami, a panna Toks zapomniała otworzyć książkę do nabożeństwa, gdzie należało i dawała księdzu niewłaściwe odpowiedzi. Pan Dombi nie zmienił swej dżentlmeńskiej obojętnej miny i w kościele od tego powiało jeszcze większym chłodem, a przy czytaniu modlitw widać było oddech pastora.

Gdy już wszystko skończono, pan Dombi wziął miss Toks pod rękę i zaprowadził do zakrystyi, gdzie objaśnił pastorowi, że miałby za szczęście prosić go do siebie na ucztę, gdyby nie opłakane gospodarstwo jego domu. Po podpisaniu metryk, zapłaceniu za chrzest — towarzystwo znów zajęło miejsca w karetach i ruszyło z powrotem.

W domu spotkał je Wiliam Pitt, który najwyraźniej odwracał się od zimnych dań, odpowiednich raczej dla stypy, niż dla wesołych chrzcin. Po powrocie panna Toks ofiarowała chrześniakowi srebrną czarkę, a pan Czykk łyżkę, nóż i widelec w osobnym futerale. Ze swej strony pan Dombi dał pannie Toks bransoletę, którą ona przyjęła z wylewem głębokich uczuć wdzięczności.

— Panie Janie — ozwał się Dombi — siadamy do stołu? Co tam koło pana?

— Zimna wołowina — odrzekł pan Czykk, rozcierając zdrętwiałe ręce. — A koło pana?

— Zimna cielęcina. A oto zimna zwierzyna, szynka, raki, sałata. Panno Toks — proszę uprzejmie! Proszę szampana!

Potrawy były tak zimne, że na samo wejrzenie w zębach zaczynało ćmić. Szampan chyba nawet zamarzł, a panna Toks, dotknąwszy wargami, mało nie krzyknęła.

Nastrój oddziałał nawet na panią Czykk. Już nie schlebiała bratu, nie gadała z przyjaciółką, myśląc tylko o tem, jakby poskromić zaczynający się ból zębów.

— Piję zdrowie Pawełka — odezwał się nareszcie po długiem milczeniu pan Czykk.

— Dajże mu Boże wszystkie swoje łaski — pisnęła miss Toks.

— Panie Janie — rzekł z powagą pan Dombi — syn mój podziękowałby, gdyby rozumiał, jaki mu czynią zaszczyt. W przyszłości, mam nadzieję, potrafi ułożyć swe stosunki do krewnych i przyjaciół i zrozumie, jakie obowiązki nakłada życie na każdego obywatela.

Było to wygłoszone tak, że dalsze uwagi absolutnie zdawały się nie na miejscu, więc też pan Czykk znowu pogrążył się w milczeniu.

Pan Dombi polecił zawołać panią Ryczards. Zjawiła się wnet sama, gdyż dziecię spało mocno

po trwożnym dniu. Pan Dombi podał jej szklankę wina i zwrócił się z przemową.

— W ciągu sześciu miesięcy, spędzonych w moim domu, spełniałaś pani sumiennie swe obowiązki względem mego ukochanego syna. Pragnąc godnie wynagrodzić panią w chwili pomyślnie dokonanego obrzędu, przemyślałem, jakby to najodpowiedniej zrobić i radziłem się z drogą siostrą, panią...

— Czykk — przerwał dżentlmen, noszący to nazwisko.

— O, nie przerywaj pan, na miłość Boską! — błagała panna Toks.

— Chciałem oznajmić pani — ciągnął pan Dombi, rzuciwszy surowe spojrzenie na pana Czykk — żem się przy tem obmyślaniu kierował pierwszą rozmową z mężem jej, od którego dowiedziałem się, w jak smutnych warunkach żyje jej rodzina i w jak głębokiem nieuctwie rdzewieją jej dzieci.

Ryczards mocno zmieszała się tymi zarzutami.

— Nie podzielam wprawdzie mniemania zuchwałych literatów, głoszących niedorzeczną myśl powszechnego wykształcenia. Lecz uważam za potrzebne, aby sfera niższa była praw swych świadoma. To też uznaję potrzebę szkół. Mając prawo wybierać kandydata do zakładu, znanego pod nazwą „Dobroczynny tokarz“, gdzie dzieci nie tylko się wychowują stosownie

do swego stanu, lecz dostają utrzymanie, poleciłem na wakujące miejsce starszego syna pani — który dziś już przyjęty w poczet wychowanków. Liczba syna pani zdaje mi się 147. Luizo — oddaj ją.

— 147 — rzekła pani Czykk. Mundur mają taki: ciepła kurtka i czapka granatowa z żółtą wypustką, czerwone wełniane pończochy i wązkie skórzane spodnie.

— No, Ryczards — mówiła panna Toks — winszuję. Dobroczynny tokarz! Jak się pani podoba?

— Wdzięczna jestem niewymownie panu, nigdy nie zapomnę dobrodziejstwa. Daj Boże panu w zdrowiu żyć długo.

W tym momencie Kocieł — takie przezwisko miał syn palacza — w uniformie wychowańca tokarza tak wyraźnie zjawił się w wyobraźni matki, że nie mogła łez wstrzymać.

— Cieszę się, że pani tak żywo radość swą odczuwa.

Chwała Bogu, że na świecie są jeszcze wdzięczne serca.

Ryczards kłaniała się i dziękowała za łaski, lecz nie znajdując sposobu pozbycia się pomieszania na myśl o drogocennych skórzanych spodniach syna, zaczęła się cofać ku drzwiom i była bardzo rada, gdy wymknęła się z pokoju. Temperatura, która w czasie pobytu mamki nieco się podniosła, spadła po jej wyjściu i ziąb

zaczął znów srodze dokuczać. Pan Czykk dwukrotnie zaczął pogwizdywać, lecz zamiast wesołej piosenki dawał się słyszeć marsz pogrzebowy. Nareszcie towarzystwo, niewstrzymywane przez gospodarza, rozjechało się do domów.

Ryczards przy całem przywiązaniu do swego pupila nie mogła zapomnieć o swym pierworodnym. Czuła, że to nie licuje z wdzięcznością. Lecz biednej matce zdawało się, że znaczek ołowiany i 147 numer były w ścisłym związku z chrzcinami. Nieraz też zaczynała mówić o uniformie, a zwłaszcza o skórzanych spodniach, wciąż błąkających się po jej wyobraźni.

— Bóg wie, ilebym dała, gdyby choć okiem rzucić na biedne dziecię, zanim się przyzwyczai do uniformu.

— Więc cóż — rezolutnie dorzucała Nipper — od pani tylko zależy widzieć go.

— Pan Dombi nie pozwoli.

— Dzieciństwo! Czemu nie ma pozwolić?

— Myślę, że pani za nic nie zgodziłaby się prosić go.

— To się wie. Ale w tem rzecz: nasze dozorczynie zapewniały, że jutro nie przyjdą. Wie pani co? Weźmiemy pannę Florcię i urządzimy taki spacer, o jakim nie śniło się wszystkim Czykkom i Toksom.

Zrazu Polli odmówiła kategorycznie; stopniowo jednak myśl jej godziła się z zuchwałem przedsięwzięciem. Nakoniec przekonawszy się, że raz jeden dom opuścić — to jeszcze niewielka bieda, uznała myśl Zuzanny za dobrą. Zaledwie to się stało, Pawełek zaczął płakać, jakby w przeczuciu, że to się niedobrze skończy.

— Co to dziecku? — pytała Zuzanna.

— Zdaje się, że przeziąbł — mówiła Polli, spacerując po pokoju i uciszając płaczące dziecko.

Dzień był chłodny, prawdziwy jesienny dzień. Kiedy niańka wyglądała chwilami w zalane szyby, na dworze gwizdał przejmujący wiatr, pożółkłe liście z szelestem sypały się z suchotniczych drzewek — i robiło się jej straszno, a serce ściskało się kurczowo i mocno tuliła do piersi zanoszące się od płaczu niemowlę.

VI. Druga strata Pawła.

Gorzkie dumy rojem obsiadły biedną Polli, gdy nazajutrz rankiem rozważyła niebezpieczeństwo zuchwałego zamiaru. Nieszczęsna matka już zdecydowała się z trwogą i drżeniem stanąć przed groźnem okiem pana Dombi i błagać o pozwolenie zobaczenia 147 numeru; lecz

czarnobrewa towarzyszka nawet słuchać nie chciała o takim rzeczy obrocie. Co robić? Taka była natura Zuzanny Nipper, że musiała tak zrobić, jak sobie uplanowała. Była wprawdzie dotąd nieczułą na obce troski i niepowodzenia, ale znieść nie mogła, gdy jej się w czem sprzeciwiano. To też tak energicznie dowodziła konieczności postąpienia wbrew przepisom, że zaledwie pan Dombi wyszedł za próg domu, już lekkomyślny syn jego biegł w kierunku ogrodów Staggsa. Ogrody owe leżały w okolicy kemdeńskiego miasta. Tu kierowały się obie niańki. Ryczards niosła na rękach Pawła, a Zuzanna prowadziła Florcię, chwilami poszturchując ją, co uważała za pożyteczne dla zdrowia wychowanicy.

Około tego czasu jakby cios trzęsienia ziemi wstrząsnął i zburzył tę dzielnicę, a ślady ogromnego ciosu widniały co krok. Domy się zachwiały i po części runęły, a gruzy okrywały ulice i zaułki. Powstały głębokie jamy i przepadliny; ówdzie ukształtowały się pagórki z gliny i piasku. Tu obalone wozy leżały u podnóża niezwykłego pagórka; ówdzie w jakiejś potwornej kałuży mokły i rdzewiały sztaby żelaza. Zjawiły się jakieś mosty zbyteczne, jakieś uliczki, któremi nikt nie chodził, jakieś tymczasowe domostwa i zagrody z grubych kłód i bali; babilońskie wieże kominów z oberwanymi końcami, szkielety karczem, złomy ścian i kolumn,

place, zawalone wapnem, cegłą i piaskiem rusztowania, olbrzymie kształty kranów, trójkąty, wagi. Słowem — chaos straszny, jak dzikie marzenie, kipiące strugi i ogniste języki, nieodzowne załączniki trzęsień ziemi, ze złością wgryzały się w różne punkty sceneryi. Bełkotliwy ukrop syczał i burzył się wśród rozwalonych ścian, skąd jak z krateru z jaskrawym połyskiem i grzmotem wybuchał żrący płomień.

Wszystko się tu zmąciło, wszystko żyło nie wedle prawa, zwyczaju, ładu. Nieskończona dotąd kolej żelazna ze środka tego bezładu wysuwała swe pasma szyn, jako nowy potężny zwiastun cywilizacyi i ludzkiego rozumu. Sąsiedni mieszkańcy z powątpiewaniem spoglądali na te przygotowania. Dwaj odważni spekulanci umyślili zabudować kilka ulic i jeden już dźwignął domy, lecz musiał wstrzymać się w rozpędzie śród błota i popiołu. Drugi założył hotel pod „Herbem drogi żelaznej“; miał tu raczyć winem robotników i majstrów. Szynk zatytułował się szumnie „Domem na przełęczy robót ziemnych“, a masarz wywiesił ogromny szyld: „Wiktuały Drogi Żelaznej“. Pojawiły się domy zajezdne. Lecz wszystko to nie wzmocniło zaufania dla nowego środka komunikacyi. Wzdłuż toru pasły się krowy i świnie; mieściły się chlewy, obory; cuchnącem rozlewiskiem zatruwały powietrze gnojówki,

budowały się groble, ogrody, fabryki, zaśmiecały ulice małżowiny ostryg, skorupy rakowe, ułamki szkła i porcelany, zwiędłe liście kapusty. Nic się nie poprawiło wskutek nowej drogi i gdyby spusztoszona i brózdami poryta ziemia miała zazdrości godny dar śmiechu, wyśmiałaby całe przedsiębiorstwo z pogardą wraz z akcyonaryuszami.

Wymienione ogrody Staggsa ze szczególnem szyderstwem zwracały się ku nowemu torowi. Był to nieduży rząd domów, otoczonych błotem, ze staremi wrotami, z poza których widniały obręcze beczek, strzępy żagli, liny, kotły blaszane z dnem wybitem i rdzą zżarte żelazne kraty. Tu ogrodnicy Staggsa sadzili fasolę, hodowali kury, gęsi, króliki, ze starych łodzi sztukowali altanki, suszyli bieliznę...

Mniemano, że ogrody Staggsa otrzymały nazwę od niejakiego pana, który tu wybudował domek dla swej przyjemności. Inni sądzili, że nazwa pochodziła od stada jeleni *(stags)*, które niegdyś pasły się na swobodzie w gęstwinach leśnych. Bądź co bądź cała dzielnica uważała sady za święty gaj niewiędnący.

Do tej ostoi pod bożą opieką będącej, nawet z imienia nieznanej panu Dombi, los zapędził panią Ryczards z Pawełkiem.

— Oto dom mój Zuzanno! — rzekła Polli, pokazując jedną z lepianek. A u bramy stoi siostra Dżemima z mojem dzieckiem na

rękach. Polli na widok siostry pędem biedz zaczęła, zmieniła w oka mgnieniu szlachetnego pupila na swego syna ku niewysłowionemu zdziwieniu młodej kobiety, której wydało się, że mały Dombi spadł jej z obłoków.

— Jakto? Ty, Polli? Ach, jakżeś mię przestraszyła! Ktoby to pomyślał! Chodźże, chodź. Dzieci poszaleją z radości, gdy cię ujrzą. Jak wyładniałaś, Polli!

Dzieci w istocie podniosły ogromną wrzawę, rzuciły się ku matce, pociągnęły ją do nizkiego stołu, gdzie rozsiadła się, otoczona różową dziatwą, jak pyszna jabłoń, okryta smacznemi oliwkami, które wszystkie dojrzały i jednego gatunku. Zresztą Polli nie mniej od dzieci czuła się rozradowaną i dopiero gdy z sił opadła, kiedy jej włosy rozpłynęły się naokół rumianej twarzy i suknia nowa doszczętnie się zwinęła, — zamęt się uciszył i szanowna rodzina opamiętała się. Ale i wtedy jeszcze młodszy Tudl, gospodarujący na jej kolanach, objął rękami jej szyję, podczas gdy drugi starszy z tyłu wgramolił się na krzesło i czynił rozpaczliwe próby ucałowania matki w szyję.

— Popatrzcie — no, zemną przyszła taka ładna miledi. Jaka skromna, cicha, piękna panienka, prawda?

Ten zwrot do Florci, która u drzwi się ukrywszy, pilnie przyglądała się rzewnej scenie, zwrócił na nią uwagę małych Tudli. Równo-

cześnie odbyło się formalne zaprezentowanie panny Nipper, która już niepokoiła się, że o niej zapomniano.

— Ach, kochana Zuzanno, proszę, chodź pani, posiedź chwilę. Oto moja siostra Dżemima. Przedstawiam ci, siostro; nie wiem, cobym poczęła, gdyby nie uprzejmość panny Zuzanny. Bez niej nie byłoby mnie tutaj. Zuzanna poważnie i ceremonialnie skłoniła się i siadła na brzegu krzesła

— Bardzo mi miło poznać panią — ciągnęła Dżemima. W życiu nie witałam nikogo z taką przyjemnością, jak panią.

Zuzanna uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Bądź pani łaskawa zdjąć kapelusz, panno Nipper. Tu, jak pani uważa, ubogo, ale pani o nas nie będzie źle się wyrażała.

Czarnooka dziewczynka tak udobruchała się tem życzliwem przyjęciem, że wzięła na kolana maleńką Tudl, która do niej podbiegła.

— A gdzie biedak nasz Kocioł? — pytała Polli. Wszak dla tego tu przyszłam, żeby zobaczyć, jak on w nowym swym stroju wygląda.

— Jaka szkoda! — rzekła Dżemima. Będzie zmartwiony, gdy się dowie, że matka tu była. Teraz on w szkole, Polli.

— Już chodzi?

— Już. Wczoraj poszedł po raz pierwszy. Biedaczysko lęka się cokolwiek opuścić z tego,

czego tam uczą. Lecz dziś tam jakieś półświęto i po południu lekcyi niema. Gdybyś tak się trochę zatrzymała, Polli. Niebawem wróci. Panna Nipper będzie tak łaskawą, że nie będzie nagliła o prędki powrót.

— O, naturalnie, pani Tudl! Dla pani wszystko gotowam zrobić.

— Jakże on teraz wygląda? — dopytywała Polli. Biedactwo!

— Ale on teraz chłopiec, aż miło! Nie to, co przedtem.

— Boże miłosierny! Ależ u niego spodeńki muszą być przykrótkie!

— Krótkie, siostrzyczko, osobliwie z tyłu; ale codzień się wyciągają i da Bóg z czasem wyciągną się pod miarę.

Wątła nadzieja! Lecz wesoły ton, w jakim ją wyrażono, nadawał jej wartość w oczach matki. Za chwilę Polli już o wiele spokojniej pytała:

— A gdzież ojciec, droga Dżemimo?

— Niema i jego. Jaka szkoda. Dziś zabrał obiad ze sobą i nie wróci aż ku wieczorowi. Zawsze o tobie, Polli, rozmawia ze mną i dziećmi. Jaka to dobra dusza, na całym świecie trudno znaleźć takiego człowieka!

— Dziękuję ci, Dżemimo — prostodusznie mówiła Polli, rozradowana opinią siostry o mężu i smutna, że go niema. — Dziękuję ci, moja droga.

— Niema za co, Polli — odpowiedziała, całując ją Dżemima. — To samo mówię o tobie i oczywiście nie zmyślam.

Choć nie było palacza i najstarszego chłopca, wizyta nie minęła bez skutku. Siostry gawędziły o sprawach domowych, a czarnooki gość, zwiedziwszy wszystkie kąty mieszkania, oglądnąwszy meble, zegar, komody, komin, szafę, a osobliwie parę kociąt aksamitnych, malowniczo stojących na kominku, opowiadał teraz Dżemimie z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co było mu wiadomo o panu Dombi, o jego planach, charakterze, krewnych. Następnie Zuzanna najdokładniej wyliczyła wszystkie zasoby swej garderoby, opisała swych krewnych i przyjaciół. Nareszcie ze smakiem wychyliła dużą szklankę porteru i zaprzysięgła gorąco dozgonną przyjaźń.

Florcia też nie straciła okazyi zaznajomienia się. Zbadawszy grzyby i inne rzadkości sławnego ogrodu pod przewodnictwem małych Tudli, postanowiła wraz z nimi wybudować groblę poprzez zieloną kałużę w jednym kącie ogrodu. Już zaczęto pracę przygotowawczą, gdy cały projekt spełzł na niczem z przyczyny niewczesnego wmieszania się Zuzanny. Odszukawszy swą pupilkę, czarnooka opiekunka najpierw poczęstowała kuksańcem, a potem wycierając i myjąc ręce i twarz prawiła kazanie, jak nieprzystojnie dla grzecznej dziewczynki dopu-

szczać się głupstw, które mogą do grobu wepchnąć czcigodnego rodzica, jeśli tylko, uchowaj Boże, dowie się o tem. Wogóle Zuzanna zgodnie ze swym wychowawczym systemem obeszła się surowo nawet pomimo łagodzącego działania właśnie spożytego napoju.

Nareszcie wizyta skończyła się. Polli odebrała małego Dombi, zwróciwszy swego syna i goście zbierali się do powrotu.

Najpierw atoli trzeba było oddalić małych Tudli, aby nie były świadkami sceny pożegnalnej. Wysłano ich tedy do sklepiku po pierniki za trzy grosze. Wtedy kobiety pożegnały się i odeszły. Dżemima wołała za niemi, że gdyby cokolwiek zboczyły ku City i szły główną ulicą, to spotkałyby z pewnością Kotła.

— A jak pani myśli, Zuzanno? Nie możnaby nieco nałożyć drogi?

— Czemu nie. Rozumie się, że można.

— Ale musimy nadążyć ku obiadowi koniecznie do domu.

Lecz napój uczynił towarzyszkę nieczułą na te uwagi i cała kompania kierowała się ku City.

Życie biednego Kotła dzięki uniformowi od wczoraj stało się nieznośne. Ulicznicy nie mogli znieść kostyumu Dobroczynnego Tokarza i każdy włóczęga uważał za punkt honoru na widok bezbronnego chłopca rzucać się na niego i zrobić mu jakąś przykrość. Podobny on był do

żyda średniowiecznego więcej, niż do niewinnego dziecięcia XIX. wieku. Strącano go do rynsztoków, do kanałów, przyciskano do słupów, obryzgiwano błotem, zarzucano kamieniami, a kto go po raz pierwszy spotkał, miał za przyjemność zerwać mu żółtą czapeczkę i patrzeć jak nią wiatr pomiata. Nogi jego bywały niewyczerpanym przedmiotem szyderstwa. Dziś po drodze do szkoły znów go sponiewierano, a nauczyciel jeszcze go za to surowo ukarał. Ten szanowny stary pedagog dostał miejsce w zakładzie Dobroczynnego Tokarza dla tego, że nic nie umiał, do niczego się nie nadawał, a zwłaszcza dla tego, że żywe chłopaki mogli dla jego sękacza żywić szacunek należyty. Biedny Kocioł w powrotnej drodze musiał tedy wybierać puste ulice i głuche zaułki, żeby uniknąć swych dręczycieli. Nie mógł atoli ominąć głównej drogi i zaledwie wszedł na szeroką ulicę, zły los odrazu zetknął go z gromadą oberwańców, którzy pod wodzą dzikiego rzeźniczego chłopca dawno szukali zabawy. Dobroczynny tokarz stał się dla zgrai pożądaną gratką: rozległ się ogłuszający krzyk i zewsząd opadnięto go zaciekle.

Polli w tej samej chwili, beznadziejnie oglądając się na wszystkie strony, gotowa już powrócić na prostą drogę do domu, stała się nagle świadkiem wstrętnego widowiska. Biedna matka wydała przejmujący jęk i w mgnieniu

oka oddawszy niemowlę Zuzannie, rzuciła się na pomoc nieszczęsnemu synowi. Bieda atoli nigdy sama nie przechodzi. Zdumioną Zuzannę Nipper i jej dwoje pupilów odciągnięto niemal z pod kół przejeżdżającego pojazdu i jeszcze nie zdołały wrócić do przytomności, gdy zewsząd rozległy się wrzaski rozpaczliwe: szalony byk! szalony byk!

Był to dzień targowy. Skręt stał się niezmierny. Tłum miotał się tam i sam, wrzeszczał i tłoczył się nawzajem. Wozy się spotykały, nawet wywracały; wściekły byk pędził dalej i dalej; między chłopcami wrzała zajadła bójka; piastunka co moment mogła być na kęsy rozszarpana. W obec tych okropności Florcia zaczęła krzyczeć bez pamięci i rzuciła się do ucieczki. Biegła długo, głośno krzycząc i wołając głośno Zuzanny; wreszcie straciła siłę, stanęła i z przerażeniem spostrzegła, że piastunka została w tłumie. Była samiuteńka.

— Zuzanno! Zuzanno! — wołała blizka obłędu. — Boże mój, Boże! Gdzież oni?

— Jakto, gdzie oni? — zrzędzącym głosem zasyczała starucha jakaś, kulejąc i podskakując z przeciwległego zaułka. — Czemużeś od nich uciekła?

— Zlękłam się i sama nie wiedziałam, co robię. Myślałam, że oni za mną idą. Ach, gdzież oni?

— Chodźmy, ja ci ich pokażę.

Była to wstrętna baba z oczami krwią nabiegłemi, z czkawką i drganiem warg w bezzębnych ustach. Zwisały z niej łachmany a na rękach miała jakieś strzępy skórzane. Widocznie dopędzała Florcię, bo ciężko dyszała, a krtań i szyja i twarz drgały i kurczyły się niemile. Florcia zlękła się i ze drżeniem zaczęła oglądać się o ratunek. Ale miejsce było puste — na całym zaułku ani żywej duszy prócz staruchy.

— Nie masz się czego lękać — syczała baba, mocno trzymając za rękę. — Chodź ze mną.

— Ja... ja pani nie znam. Jak się pani nazywa?

— Nazywam się Braun. Zowią mnie dobrą babcią Braun.

— A ona czy stąd daleko?

— Zuzanna bliziutko, a inni prawie koło niej.

— Nikt nie zraniony?

— Nikt. Wszyscy cali.

Florcia rozpłakała się z radości i dobrowolnie poszła za babą, choć, ukradkiem rzucając na nią okiem, dziwiła się strasznej postaci dobrej babci i mimowoli zapytywała się w duchu: jakby też wyglądała zła babcia, jeżeli wogóle istnieje na świecie.

Przez jakiś czas szły przez miejsca bezludne i głuche, przez podwórza cegielni i garncarni. Wreszcie stara skręciła w ciemny i wązki

zaułek pełen błota i głębokich na drodze wyżłobień. Zatrzymała się przed ohydną norą ze szczelinami i pęknięciami ze wszystkich stron, zamkniętą na mocny zamek. Wyjęła klucz z kieszeni, otworzyła drzwi, wepchnęła dziecko do tylnej komórki, gdzie na podłodze walały się szmaty i łachmany, kupy kości i przesianego szutru czy gruzu. Ściany i podłoga czerniły się od sadzy i w całej komórce nie było zgoła sprzętów. Dziewczyna tak się przeraziła, że mało nie zemdlała.

— Cóżeś tak wytrzeszczyła ślepie? — mruknęła dobra babcia, trącając ją w bok. — Nie bój się, nie zaduszę ciebie. Siadaj na szmaty.

Florcia usłuchała i błagalnie podniosła złożone rączki.

— Wcaleś mi nie potrzebna i nie zatrzymam ciebie dłużej nad godzinę. Rozumiesz? Uważaj tylko, żebyś mnie nie rozgniewała. Jeżeli nie rozgniewasz, puszczę cię calusienką, a jeżeli... to pamiętaj, zaduszę cię jak kociaka. Odemnie nigdzie nie uciekniesz. Mogę zadusić cię zawsze i wszędzie, choćbyś u siebie w łóżku spała. Teraz mów. Ktoś ty? Mów wszystko, co wiesz. No — prędko!

Groźby i obietnice baby, lęk przed urażeniem jej, niezwykłe u dziecka przywyknienie do panowania nad sobą, do udawania spokoju i tłumienia w sobie uczuć strachu i nadziei,

wszystko sprawiło, że Florcia wykonała groźny rozkaz i opowiedziała swoje dzieje wedle najlepszej wiedzy. Stara z uwagą wysłuchała do końca.

— Więc nazywasz się Dombi?

— Tak, babciu.

— Słuchaj zatem, panno Dombi — syczała dobra babcia — potrzebne mi twoje ubranie, twój kapelusz, dwie twoje spódniczki; możesz się bez tego obejść. No, rozbieraj się.

Florcia utkwiła oczęta w okropnej babie i z szybkością zaczęła drżącemi rączkami spełniać jej rozkaz. Gdy się już pozbyła ubrań, stara uważnie je obejrzała i widocznie rada była z ich stanu i ceny materyału.

— Hm! — bełkotała stara czarownica, skierowawszy straszne oczy na bladą twarzyczkę swej ofiary. — Nic więcej niema na tobie prócz trzewików. — Dawaj tu trzewiki.

Florcia prędko zdjęła trzewiki w nadziei, że dogodzi babie. Ta zaczęła szukać w kupie łachmanów i po chwili wyciągnęła stamtąd zabłocone jakieś ubranko, starą podartą salopkę z łatami i tysiącem dziur po bokach, jakąś startą obrzydliwą szmatkę zamiast kapelusza, wyciągniętą pewnie z pomyj lub kupy nawozu. Kazała Florci w to się ubrać i biedne dziewczę w nadziei uwolnienia zaczęło z pośpiechem się ubierać.

Nakładając plugawą czapkę, podobną raczej do zużytego siodła, niż do stroju na kobiecą głowę, Florcia w popłochu splątała swe pyszne włosy i nie mogła ułożyć czapki na główce. Braun porwała wielkie nożyce i nagle ze zdumieniem patrząc na swą ofiarę, zawołała:

— Czemuś nie dała mi spokoju, głupia dziewczyno!

— Niech mi pani przebaczy. Nie wiem, czem zawiniłam! — błagała Florcia.

— Ja ci tu zaraz pokażę! — zawyła stara, burząc z przyjemnością sploty biednego dziecka. — Inna na mojem miejscu głowęby ci urwała zaraz.

Florcia uspokoiła się, widząc, że starej potrzebne są włosy, nie głowa. Z dobrocią zwróciła na nią oczy i nie broniła się.

— Gdyby nie pamięć o mej dziewczynie, która tak samo jak ty pyszniła się swemi włosami, nie zostawiłabym ani pasemka na twej łepetynie. Ale daleko dziewczyna moja, daleko za morzami! U! u!

Ten jęk wcale niemelodyjny, lecz pełen tęsknoty odbił się echem w sercu Florci, która tem silniej przelękła się potwornej staruchy. To ocaliło jej warkocze. Machnąwszy parę razy wielkiemi nożycami nad głową, stara kazała jej dobrze ukryć włosy pod czapą i nie wystawiać na pokusę. Odniósłszy nad sobą tak trudne zwycięztwo, siadła na kupie kości,

zapaliła krótką czarną fajeczkę i wargi jej zapykały tak, jak gdyby miała połknąć cybuch.

Skończywszy palić fajkę, rozkazała Florci nieść za sobą skórkę króliczą, aby nadać jej pozór zwykłej swej towarzyszki i obiecała wyprowadzić na prostą drogę, gdzie może się dopytywać o swych przyjaciół. Równocześnie stara, klnąc groźnie i strasząc okropną zemstą, najsurowiej zakazała ofierze swej dowiadywać się o dom ojca, który mógł być w pobliżu. Musiała pytać o kantor w City. Wszystkie te polecenia uzupełniała zapewnieniem, że strzedz jej będą czujne oczy i żaden ruch nie ukryje się.

Florcia wszystko obiecała wykonać dokładnie.

Nareszcie poprowadziła zmienioną i obdartą dziewczynę przez labirynt ciasnych uliczek i zaułków, z których dostała się na puste ogromne podwórze z przechodnią bramą, skąd słychać było turkot pojazdów.

Wskazawszy bramę na pożegnanie, porwała dzieweczkę za włosy, jak gdyby z żalu za niemi i głuchym harknęła głosem:

— No, teraz wiesz, co robić! Postój tu parę godzin, a potem szukaj kantoru ojca. Ale pamiętaj, ani mrumru! Bo cię jak szczenię zaduszę!

Florcia uczuła, jakby góra spadła jej z ramion, gdy została sama. Wierna rozkazom, stanęła w kątku podwórza a spojrzawszy do-

strzegła, że starucha wciąż stoi u płota, wygraża pięścią i przypomina swe nakazy. Florcia potem kilka razy się oglądała, lecz stara znikła, jakby się w ziemię zapadła. Zwolna poczęła Florcia przyglądać się i przysłuchiwać rozgwarowi ulicy, czekając niecierpliwie uderzeń zegara. Nareszcie zaczął bić trzecią. Florcia obejrzała się naokoło, postąpiła krokiem, lecz stanęła, bojąc się urazić pośpiechem wszechmocnych szpiegów starej czarownicy; przekonawszy się, że nikt jej nie śledzi, pospiesznie, jak tylko pozwalały wielkie dziurawe trzewiki, wybiegła za bramę, mocno trzymając w ręce skórkę króliczą. O kantorze ojca wiedziała tylko tyle, że należał do Dombi i Syna i że był znamienity w City. Mogła więc tylko pytać, jak trafić do Dombi i Syna w City, a że zwracała się z pytami do dzieci, bojąc się dorosłych, nie otrzymała dobrej informacyi. Rozpytując potem o City, dotarła zwolna do tej wielkiej części miasta, rządzonej przez lorda majora.

Zmęczona drogą, ściskiem, ogłuszona gwarem i turkotem, bojąc się o brata i zgubione piastunki, z trwogą w sercu o to, co się stało, a zwłaszcza znękana myślą o chwili, gdy stanie przed rozgniewanym ojcem w tej wstrętnej koszuli, Florcia nieraz zatrzymywała się z płaczem, czyniąc wylewem łez gorzką ulgę sercu. Ale tłum naówczas albo zgoła nie zwracał uwagi na żebraczkę w łachmanach, albo obojętnie

mijał w przeświadczeniu, że tak ją nauczyli wyłudzać jałmużnę u przechodniów. Wziąwszy na pomoc całą przytomność ducha, całą moc charakteru, zahartowanego przedwczesnem doświadczeniem i niedolą, Florcia, opadając z sił, szła we wskazanym kierunku, jeden cel mając na myśli.

Nareszcie wieczorem po długiem kluczeniu udało się jej z szumnej ulicy, zawalonej wozami i pojazdami, dostać się do przystani, gdzie pełno było worków, pak, beczek, tłomoków.... Tu koło wagi i drewnianego domku na kółkach ujrzała grubego jegomościa z piórem za uchem i rękami w kieszeniach. Stał, gwiżdżąc i spoglądając na blizkie maszty i łodzie, jak gdyby kończyła się dzienna jego praca.

— Wynoś się, wynoś się, moja droga! Nic tu po tobie — rzekł grubas, przypadkowo obróciwszy się ku niej.

— Proszę pana, czy to City?

— No tak, City. Wiesz to lepiej odemnie. Wynoś się, nic tu niema dla ciebie.

— Nic mi też nie potrzeba — lękliwie dodało dziewczę — chciałam tylko spytać pana, którędy droga do Dombi i Syna?

Grubas widocznie poruszył się na to pytanie. Spojrzał uważniej i rzekł:

— A na co ci Dombi i Syn?

— Muszę wiedzieć, gdzie ich biuro.

Grubas spojrzał jeszcze pilniej, widocznie zaambarasowany potarł kark tak, że kapelusz w tył się potoczył i krzyknął:

— Józef!

— Jestem, odrzekł wezwany.

— Gdzie ten sprytny malec, co dogląda towarów Dombi?

— Dopiero wyszedł drugą bramą.

— Wołaj go na chwilę.

Józef pobiegł i krzyczał głośno, a za chwilę powrócił z ładnym i wesołym czternastoletnim chłopcem.

— Pan zdaje się służy u Dombi?

— Tak, panie Klark.

— A spójrzno pan na nią.

Idąc za ruchem pana Klarka, chłopiec zbliżył się do dziewczynki, nie pojmując, co ma z nią począć. Florcia słyszała rozmowę i zrozumiała, że tu nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo i jej przygody zbliżają się ku końcowi. Spojrzawszy na ładnego i uśmiechniętego chłopca, doznała takiej pociechy, tak się ożywiła, że pobiegła ku niemu, gubiąc wstrętny trzewik po drodze i obiema rączkami porwała go za rękę:

— Zabłąkałam się! — zawołała. — Zabłąkałam się dziś rano, daleko stąd, ach, bardzo daleko! Wzięli mi moje ubranie — a teraz na mnie cudze ubranie, a nazywam się Florcia Dombi i jestem jedyną siostrą mego braciszka

— i o, drogi panie, ratuj mnie, ocal — z płaczem kończyła.

W tej chwili ohydny kapelusz spadł z jej główki a gęste sploty bezładnie rozsypały się po twarzyczce ku zdumieniu młodego Waltera, kuzyna Salomona Hilsa, mistrza żeglarskich instrumentów.

Pan Klark zdumiał się i zauważył, że nigdy nie zdarzyło mu się być świadkiem takiej historyi. Walter podniósł trzewiki, zgrabnie wsunął je na nóżkę panienki, niby książe z bajki, podał prawą rękę Florci, zawiesił na lewej skórkę króliczą — i nowy Herkules — przekonał się, że smok leży u stóp jego bez życia.

— Proszę nie płakać, panno Dombi — mówił z uniesieniem. — Bardzo się cieszę, że byłem w tej chwili na przystani. Jesteś pani teraz tak bezpieczna, jakgdyby cię broniła cała rota uzbrojonych żeglarzy na okręcie.

— Nie będę już płakała; teraz płaczę z radości.

Z radości płacze — myślał Walter — a jam tej radości przyczyną. — Chodźmy, panno Dombi. Otóż zgubiłaś drugi trzewik. Włóż raczej moje, panno Dombi!

— Nie, nie, nie, niech się pan nie trudzi — broniła się Florcia, gdy z pośpiechem zaczął zdejmować. — Dobrze mi i w tych, naprawdę dobrze.

— No, tak. Moje byłyby także zbyt wielkie na panią. Jak też mogłem nawet pomyśleć coś podobnego. Chodźmy, miss Dombi. Co to za drab skrzywdził panią? Chciałbym go dostać w swe ręce.

I poszli pod ręce, nie zwracając wcale uwagi na przechodniów, którzy z podziwem oglądali cudaczną parę. Walter był uszczęśliwiony i w oczach iskrzyła mu się bezgraniczna duma.

Zapadał zmrok. Niebo okryło się chmurami i deszcz zaczął kapać. Ale szczęśliwa para o nic nie dbała i szła wciąż. Tak byli zajęci przygodami chwil ostatnich, które Florcia z niewinną szczerością młodego wieku opowiadała, a Walter słuchał ze skupioną uwagą, wyobrażając sobie, że spacerują pod drzewami na bezludnej wyspie pod równikiem, zdala od błotnistej ulicy nad Tamizą.

— Czy jeszcze daleko? — spytała wreszcie Florcia, patrząc na Waltera.

— Ach, prawda! Dokąd to zaszliśmy! Aha, wiem już. Ale teraz biuro zamknięte, panno Dombi. Tam nikogo niema. Pan Dombi dawno odszedł. Trzeba nam iść do domu pani — albo... wie pani co? Chodźmy lepiej do mego wuja. To stąd bliziutko. Tam się pani przebierze, odpocznie i pojedzie karetą do domu. Czy tak nie lepiej?

— Ja też myślę, czy tak nie lepiej? A pan jak myśli?

Gdy stanęli w zadumaniu na ulicy, przeszedł koło nich jakiś mężczyzna, który uważnie obejrzał Waltera, jakby go poznawał, lecz minął, nic nie rzekłszy.

— A to zdaje się pan Karker z naszego biura, młodszy Karker. Hej, panie Karker.

— Więc to Walter Hey? zawołał przechodzień. — Skąd to wziąłeś pan tak dziwnego towarzysza?

Stał w świetle i wysłuchał uważnie spiesznych objaśnień Waltera, a postać jego dziwny tworzyła kontrast z młodością naszych znajomych. Nie był stary, lecz włosy miał siwe, grzbiet pochylony jak gdyby pod brzemieniem niedoli i zamyślone smutne czoło, okryte zmarszczkami. Osłabł ogień w oczach, głos w krtani, siły ducha, zadręczonego troskami. Ubrany był przyzwoicie w czarny strój, a odeń cała postać jeszcze wydawała się smętniejszą.

Tymczasem zaś spoglądał na zaniepokojoną twarz Waltera z niezwykłem współczuciem i w oczach zaświeciło się niewysłowione uczucie, choć starał się je ukryć.

— Cóż mi pan poradzisz, panie Karker? — spytał Walter. — Pan mi zawsze udzielasz dobrych rad, gdy się rozruszasz, choć rzadko się to zdarza.

— Plan nie jest zły.

— Panie Karker! Urządzimy tak. Pan pójdzie do pana Dombi i zaniesie mu dobrą

nowinę, a my będziemy oczekiwali u mego wuja. Tak będzie dobrze. Idź pan.

— Ja mam iść! — bronił się Karker.

— Naturalnie! Czemużby nie?

Zamiast odpowiedzi Karker mocno uścisnął rękę chłopca i zalecając pośpiech, poszedł swoją drogą.

— Co za dziwak! Teraz, panno Dombi, nic nam nie pozostaje, jak co prędzej iść do wuja. A panience mówił kiedy pan Dombi cokolwiek o młodszym Karkerze?

— Nie, ojciec rozmawia ze mną bardzo rzadko.

— Ach, tak! Tem gorzej dla niego, myślał Walter. Potem zaczął w myśli szukać nowego przedmiotu rozmowy, a gdy Florcia w tej chwili znów zgubiła trzewik, podjął się nieść ją na rękach. Dziewczynka bez względu na znużenie z uśmiechem uchyliła tę propozycyę, a że byli już w pobliżu drewnianego miczmana, Walter mówił o strasznych przygodach na morzu, podczas których mniejsi od niego chłopcy ratowali dziewczęta starsze od Florci. Wśród tych zajmujących opowieści przyszli do drzwi mistrza instrumentów żeglarskich.

— Hej, wuju! Wuju Sol! — zawołał Walter, pędem wbiegając do sklepu i bez tchu i związku zaczynając opowiadać. — Zadziwiająca, niezwykła przygoda! Córka pana Dombi zabłąkała się na ulicach, jakaś stara wiedźma

ograbiła ją od stóp do głowy, znalazłem ją, przywiodłem do ciebie, spójrzno tutaj! Hej, wuju Sol!

— Moce niebieskie! — wołał wuj Sol, odbiegając w najwyższem poruszeniu od swych ulubionych przyrządów. Czy to możliwe? Uważajno....

— Niema co uważać, skoro mówię, że tak. Przysuńmy do kominka kanapę, postaw talerze na stole, wuju Sol i daj co do zjedzenia. Ona głodna.

Zrzuć swoją ohydną szubkę, panno Florciu, siadaj przed kominkiem, ot tak, połóż nóżki na kratce, ach jakież one mokre! Tak, wujaszku Sol, dziwna przygoda. Uf, jakże się zgrzałem.

Salomon Hils spocił się niemniej od bratanka, gdy zaczął się krzątać koło niespodzianego gościa. Gładził Florcię po główce, obcierał jej nóżki swą chustką od nosa, ogrzaną przy kominku, sposobił dla niej obiad, zapraszał do jedzenia, picia, a równocześnie śledził oczami za Walterem, który jak waryat miotał się z kąta w kąt, krzyczał, stukał, dwadzieścia czynności zaczynał i nie kończył żadnej.

— Ot, co powiem, wuju! — mówił, biorąc świecę. Zaczekaj chwilę, ja polecę na górę, zmienię kurtkę i marsz! Takie to są dziwy! Nieprawdaż?

Walter wrócił, a znużona Florcia tymczasem usnęła przy kominku. Salomon Hils zamknął

pokój, zasłonił kominek, żeby ogień nie obudził śpiącej.

— Doskonale, wuju. Teraz idę. Muszę tylko zabrać ze sobą kawałek chleba. Bardzom głodny. Uważaj, nie obudź jej, wuju!

— Nie obudzę. Bardzo ładna dziewczynka.

— Pewnie. W życiu nie widziałem takiej twarzyczki. No — ale czas w drogę.

— Czas, czas. Idź.

— Wuju! — wołał z poza drzwi.

— Jeszcześ tu?

— Jakże ona?

— Nic, śpi. Ruszaj.

— No, chwała Bogu. Teraz idę.

— Teraz już pewnie pójdzie, myślał Hils.

— Hej, wuju Sol!

— Jakto, czy jeszcześ nie wyszedł?

— Oto, co mi przyszło na myśl. Spotkaliśmy na ulicy Karkera młodszego, dziwak, Boże uchowaj! „Bądź zdrów — mówi — czas do domu". — Oglądam się, idzie za nami; myśmy już doszli do sklepu, a on wciąż szedł za nami, niby kamerdyner lub wierny pies. Taki dziwak. A jak tam ona teraz?

— Zupełnie spokojna i szczęśliwa. Idźże nareszcie.

— Już pójdę, pójdę.

Nakoniec w istocie poszedł.

Salomon Hils, utraciwszy apetyt, usiadł z drugiej strony kominka i czuwając nad śpiącą,

począł budować wspaniałe zamki powietrzne, przezierając przez zamierzchłe szkła magiczne swoich instrumentów. W peruce i kawowej swej kamizeli bardzo był podobny do tajemniczego czarownika, który kazał czarami swymi uśpić się królewnie.

Walter tymczasem pędził do domu pana Dombi, wysuwając co chwila głowę z dorożki i nagląc woźnicę do pospiechu. Gdy konie stanęły, wyskoczył z najętego pojazdu i zameldowawszy się, wprost pobiegł do biblioteki, gdzie w tej chwili panowało babilońskie pomięszanie języków, gdyż na ogólną naradę zeszli się pan Dombi, jego siostra, panna Toks, Ryczards i Zuzanna Nipper.

— Przepraszam szanownego pana — rzekł Walter, szybko wbiegając do pokoju — miło mi panu oznajmić, że żadnej biedy niema. Panna Dombi znalazła się.

Kiedy pan Dombi wyniośle obrócił się w swym ogromnym fotelu ku przybyłemu, postać jego tworzyła zupełny kontrast z tym żywym, zadyszanym chłopcem, który całkowicie ogarnięty być zachwytem i ożywieniem.

— Mówiłem ci, Luizo, że się z pewnością znajdzie. Kazać służbie, żeby zaniechała poszukiwań. Chłopca znam. Jest to młody Hay z biura. Proszę opowiedzieć, jak znalazła się moja córka. Wiem, jak zaginęła.

Tu pan Dombi wyniośle spojrzał na Polli.

— Ale jak się odnalazła i kto odszukał? To teraz wiedzieć trzeba.

— Zdaje mi się — skromnie odrzekł Walter — że ja znalazłem pannę Dombi. Nie to, żebym mógł się pochlubić, że ją w samej rzeczy odnalazłem, lecz miałem szczęście być tym...

— Co chcesz pan powiedzieć? Proszę mówić jaśniej i ściślej.

Lecz Walter nie mógł się na to zdobyć. Jako tako wytłomaczył stan rzeczy i wyjaśnił, dla czego panna Dombi pozostała u wuja.

— Słyszysz — zwrócił się Dombi do Zuzanny. — Weź wszystko, co potrzeba, idź z tym młodzieńcem i przywieź pannę Florcię do domu. A pan, szanowny panie, jutro otrzymasz nagrodę.

— Zbyt jesteś pan łaskaw — rzekł Walter. Zapewniam pana, że nie myślałem wcale o nagrodzie.

— Jesteś pan jeszcze zbyt młody, Walterze Hey. Niema potrzeby dowiadywać się, o czem pan myślałeś lub o czem nie myślałeś. — Zachowałeś się pan dobrze i dosyć. Skromność tu nie na miejscu. Luizo, każ mu dać wina.

Oczy pana Dombi prawie nieprzychylnie szły za Walterem, gdy ten opuszczał pokój w towarzystwie panny Czykk i niema się co łudzić — duchowe jego oczy wyrażały jeszcze większą nieprzychylność, gdy do usług skory chłopiec jechał do wuja z Zuzanną Nipper.

Tymczasem Florcia wypoczęła, zjadła obiad i najściślej zaprzyjaźniła się z wujem Salomonem, z którym najszczerzej gawędziła o wszystkiem. Tę ożywioną gawędę przerwała czarnooka niańka. Nic nie mówiąc, żadnego nie uczyniwszy wyrzutu, uścisnęła swą pupilę, szczęśliwa widocznie ze znalezienia jej.

Zamieniwszy sklep w damski buduar, najstaranniej ubrała Florcię i za kilka minut gościnni gospodarze ujrzeli przed sobą prawdziwą pannę Dombi.

— Dobranoc — rzekła Florcia, zwrócona do Salomona. Byłeś pan dla mnie bardzo dobry.

Staruszek uszczęśliwiony ucałował czule małego swego gościa.

— Dobranoc, Walterze! — mówiła Florcia. Bądź zdrów.

— Żegnam, odpowiedział Walter, podając jej obie ręce.

— Nigdy ciebie nie zapomnę — ciągnęła Florcia — nigdy, nigdy! Bądź zdrów, Walterze.

I w niewinności wdzięcznego serca dziewczynka nastawiła mu policzek. Walter pochylił głowę i wnet znów ją podniósł. Twarz mu płonęła, z lękliwem zawstydzeniem spojrzał na wuja.

— Cóż, Walterze? No, dobranoc, Walterze! Bądź zdrów, Walterze! Dajże mi rękę, Walterze! Oto tak, bądź zdrów, żegnam cię.

Jeszcze raz pożegnała go, gdy Zuzanna już umieściła ją w powozie i konie ruszyły, a ona wciąż ku niemu się zwracała z pozdrowieniami.

Walter z ganku wesoło jej odpowiadał, goniąc okiem oddalający się powóz, gdy drewniany miczman za nim też, zdawało się, słał pożegnalne pozdrowienia drogiemu gościowi, na nic innego nie zwracając uwagi. Wkrótce Florcia przybyła do domu ojcowskiego i weszła do biblioteki, gdzie znów panowało babilońskie zmięszanie języków. Powóz miał czekać „dla pani Ryczards“ — tajemniczo szeptała pokojówka do przechodzącej Zuzanny.

Powrót dziecka zbłąkanego wywarł małe wrażenie na rodzicu. Pan Dombi nigdy nie lubił córki, a teraz obojętnie pocałował ją w czoło i upomniał, żeby na przyszłość nie ośmieliła się opuszczać domu z niewierną służbą. Pani Czykk na chwilę przerwała swe utyskiwania na zepsucie natury ludzkiej, która nie umie kroczyć drogą cnoty, a choćby drogą Dobroczynnego Tokarza i przywitała kuzynkę, jak przystało prawdziwej Dombi. Panna Toks nastroiła uczucia swe na ten sam ton. Jedna Ryczards ulżyła sercu wesołymi okrzykami i łzami i uściskała dziewczynkę.

— Ach, Ryczards — z westchnieniem cedziła pani Czykk — niewdzięczność czerstwego serca nigdy się dobrze nie kończy. Co pani

teraz pocznie? Nie byłoby tych nieprzyjemności, gdyby pani przyzwoicie się zachowała w stosunku do niemowlęcia, które teraz z łaski pani straci mamkę.

— Biedne, biedne dziecię! — jęczała żałośnie panna Toks.

— Gdybym ja na miejscu pani okazała się tak niewdzięczną, zdawałoby mi się, że ubiór Dobroczynnego Tokarza zadusi syna mego, a wychowanie go popsuje.

Pani Czykk nie podejrzewała nawet, jaka zabójcza prawda z ust jej wychodzi. Uniform już porządnie zaczął dusić nieszczęsnego Tudla, a wychowanie na razie ograniczyło się do uderzeń kijami z jednej, a jękami z drugiej strony.

— Luizo — rzekł pan Dombi — niema przyczyny kontynuować tych uwag. Kobieta otrzymała pieniądze i opuszcza służbę. Ryczards — opuszczasz pani ten dom, gdyż ośmieliłaś się wyjść z moim synem do takiej nory i do takiego towarzystwa, o którem pomyśleć się nie da bez drżenia. Co się tyczy przygody z Florcią, uważam ją poniekąd za szczęśliwą i dobrą, bez niej bowiem nigdybym się nie dowiedział o winie pani, podczas gdy teraz samaś pani wszystko zeznała. Luiza, druga niańka, jak myślę może zostać, gdyż zbyt młoda i zniewolona kuszącym przykładem mamki. Bądź łaskawa polecić, aby dorożkę zapłacono do Ogrodów Staggsa — dodał z miną pogardy pełną.

Gdy biedna Polli szła ku drzwiom, Florcia chwyciła ją za suknię i zaczęła szlochać rozpaczliwie, błagając dobrą niańkę aby nie opuszczała domu. Co za cios dla dumnego ojca! Widzieć, jak własne dziecko, własna krew i ciało, którego niepodobna się wyprzeć, wiesza się w jego obecności na szyi obcej i wzgardzonej kobiety — to się chyba równa uderzeniu sztyletem w serce albo utkwieniu ostrej strzały w rozdartej piersi!

Wprawdzie nic mu do tego, kogo kocha lub nienawidzi córka. Lecz chłód śmiertelny owiał go na myśl, że to samo stać się z czasem mogło i z jego synem.

Tej zaś nocy syn jego wrzeszczał na wszystkie tony. Nie dziw. Utracił drugą matkę, a właściwie pierwszą matkę, która z miłością witała jutrzenkę jego życia. Straszliwa strata dla sieroty. Ten sam cios pozbawił siostry najlepszej przyjaciółki i Florcia gorzko szlochała do północy.

VII. Rzut oka na mieszkanie i serdeczne upodobania panny Toks.

Miss Toks żyła w małym domku, od niepamiętnych czasów ukrytym na zachodniej stronie miasta w cieniu, za rogiem wielkiej modnej ulicy, skąd z góry patrzyły nań wspaniałe

gmachy. Mieszkanie leżało gdzieś jakby w podwórzu, na którem z pośród kamieni bruku wybijała się zielona trawka i zielony mech. To puste ustronie miało nazwę *Książęcej Łąki*, a na owej książęcej Łące paradowała *Książęca kaplica*, a w tej kaplicy książęcej co niedzielę gromadziło się ze dwudziestu słuchaczów i słuchaczek.

Tutaj obok ku zgorszeniu dusz pobożnych znajdowała się restauracya z szyldem *Herb księżny*, do której czasami wstępowali lokaje w pysznych liberyach. W ogrodzeniu przed drzwiami restauracyi, nie wiedzieć dla kogo, stał fotel dla paralityków, a na poręczach ogrodzenia w pogodę wisiały cynowe kufle, których niekiedy bywało wedle liczby panny Toks po czterdzieści ośm.

Stał tu jeszcze jeden dom prywatny, nadto jakieś wielkie wrota z głowami lwów, wiecznie zamknięte. Było to zapewne wejście do jakiejś ujeżdżalni, czego dowodziła woń koni na całym zaułku. Okna sypialni panny Toks zwracały się wprost ku stajniom, gdzie woźnice nieustannie z hałasem gospodarowali. Tutaj furmani wieszali i suszyli swe kurtki, kamizelki i inne składowe części garderoby furmańskiej.

Właściciel drugiego domu na Łące książęcej był wysłużonym klucznikiem, ożenionym z klucznicą. U tej szczęśliwej pary najmował mieszkanie umeblowane kawaler - dżentlmen,

tęgi, z obliczem jak piwonia mężczyzna — w randze majora, a wedle mów panny Toks — istny Mars Dzielny żołnierz i urocza dziewica posyłali sobie nawzajem gazety i ta platoniczna uprzejmość praktykowała się za pośrednictwem czarnego sługi majora.

Podwórze i schody u panny Toks były bardzo małe i w ogóle w całej Anglii może nie było tak nieczysto utrzymanego domku, lecz za to — mawiała panna Toks — jakie położenie! Zimową porą światło z trudnością tu dochodziło, słońce nie zaglądało nawet wiosną a ruchu śladu nie było. Z tem wszystkiem — mawiała panna Toks — pomyślcie o położeniu! To samo powtarzał wypukłooki major. Wszędzie i zawsze, gdziekolwiek był, nawet w klubie lubił rozmowę kierować na znakomitości, które żyły przy bliskiej modnej ulicy, żeby tylko zaznaczyć, że to sąsiedzi.

Ponury domek panny Toks był jej własnością, a dostał jej się od śp. oryginału z portretu wiszącego na honorowem miejscu nad kominkiem. Większa część umeblowania należała do epoki głów pudrowanych i harcapów. Szczególną tu uwagę zwracała maszynka do nagrzewania talerzy i spinet z winietą mistrza, otoczoną girlandą groszku wonnego. Major Bagstok, we wieku już schyłkowym, czuł się dumnym z uprzejmości panny Toks i łechtał swą ambicyę wyobrażeniem, jakoby to była

dama górnej sfery. O tem nieraz wzmianki czynił w klubie, dając sobie dziwaczne epitety, mające dowodzić dowcipu. Nazywał się starym, sędziwym, staruszkiem, starcem — a równocześnie przekręcał własne imię Józefa.

— Józef Bagstok, panie — mówił, wymachując laską — wart tuzina takich, jak pan. Gdyby wśród was było więcej z gatunku Bagstoków, byłoby niezgorzej. — Stary Józio mądry, panie; prędko miałby żonkę, gdyby zechciał. Lecz u Józwy serce kamienne, pierś stalowa. Nie zwiedziesz go, panie; oho: stary Józefek dyabelnie chytry! Po tej deklaracyi ze stalowej piersi rozlegały się syczące jakieś brzmienia, czerwone oblicze stawało się purpurowem a oczy — zdawało się z orbit wyskoczą.

Bez względu na te pochwały dla własnej osoby major był egoistą. Organ trawienia rozwinął się u niego o wiele silniej, niż serce. Nawet mu się w głowie nie mogło pomieścić, żeby ktoś mógł go lekceważyć, a tembardziej, żeby mogła go lekceważyć panna Toks, która — bez wątpienia — musiała się zachwycać mężnym wojakiem.

Tymczasem panna Toks jak gdyby zapominała o synu Marsa. Zaczęła go zaniedbywać wkrótce po znalezieniu rodziny Tudli. Trwała w swej niepamięci po chrzcinach, i rosło to zapomnienie jakby na procencie składanym. Coś innego pochłaniało jej zajęcie.

— Dzień dobry pani — rzekł major w kilka tygodni po opisanych wypadkach, spotkawszy się z miss Toks na Książęcej Łące.

— Dzień dobry panu — zimno odrzekła panna Toks.

— Józef Bagstok dawno nie miał szczęścia witać pani u okna. Jest w rozpaczy. Słońce jego skryło się za chmury.

Panna Toks z lekka pochyliła głowę.

— Słoneczko Józia było pewnie za miastem?

— Kto za miastem? Ja? Nie, nie opuszczałam miasta. Byłam bardzo zajęta. Cały wolny czas poświęcałam serdecznym przyjaciołom. I teraz nie mam chwili wolnej. Do widzenia.

Już panna Toks drobnymi czarującymi krokami znikła z Książęcej Łąki, major zaś stał ciągle na jednem miejscu, utkwiwszy wyłupiaste oczy w znikającem bóstwie, a twarz mu posiniała straszliwie. Mruczał jakieś słowa, lecz już nie komplementy.

— Niech licho weźmie! Sześć miesięcy temu kobieta lubiła ziemię, po której stąpa Józef Bagstok, a teraz? . . . Co to ma znaczyć?

Po pewnym namyśle stwierdził major, że to podstęp, sieci, pułapka dla pojmania męża, że panna Toks dołki pod nim kopie. Ale nie złapie starego Józwy. On ma kamienne serce, stalową pierś. Stary Józio piekielnie chytry. Nie pani go podejść!

Lecz ani tego ani dalszych dni panna Toks nie zwracała uwagi na majora. Dawniej niby niechcący zerkała ze swego okienka i rumieniąc się, odwzajemniała ukłony majora. Teraz — niestety! — najmniejszej nadziei nie czyniła miłośnikowi odpalonemu i wcale nie troszczyła się, czy patrzy czy nie patrzy. W jej domku widocznie zaszły zmiany. Major zauważył, że mieszkanko przybrało odświętny wygląd. W jednym pokoju zjawiła się nowa klatka z prętami złoconymi dla starego kanarka; kominek i stoły ozdobiły się ornamentami z różnobarwnego papieru; na oknach pojawiły się wazoniki z kwiatami, a sama panna Toks zaczęła brzdąkać na fortepianie, na którym obok girlandy groszku wonnego leżała otwarta księga nut, przepisana własnoręcznie przez panią domu. Na domiar zmian, panna Toks od pewnego czasu zaczęła przywdziewać żałobę z wielką starannością. To dało majorowi do myślenia, że sąsiadka otrzymała spadek i stała się niedostępną.

Nazajutrz po tej decyzyi major przy śniadaniu ujrzał straszne i dziwne zjawisko w bawialni panny Toks tak, że na pewną chwilę skamieniał z podziwu. Wnet porwał się, chwycił binokle i ze skupioną uwagą począł obserwować.

— Dziecko! dziecko! — zawołał, odejmując binokle — tysiąc przeciwko jednemu, że to dziecko!

Nie mógł się uspokoić. Gwizdał, wytrzeszczał oczy, zjawisko się nie zmieniło. Dzień po dniu zjawiało się dziecko po trzy, cztery razy tygodniowo. Major gwizdał, sapał, podglądał. Na wszystko inne był obojętny, jak obojętną stała się panna Toks względem niego. Mógł zczernieć, zbieleć, zżółknąć, zsinieć — nic jej to nie obchodziło. Podziwu było godne, jak wytrwale chodziła z Książęcej Łąki po dziecko i niańkę, jak spacerowała, wracała do domu i śledziła wszystkie jej ruchy. Sama nawet karmiła i niańczyła dziecię, a nieraz chłodziła jego porywy młodzieńcze swoją grą na fortepianie. Równocześnie namiętnie lubiła patrzeć na bransoletę albo na księżyc z okienka swego pokoju. Na cokolwiekby spoglądała, na majora nawet okiem nie rzuciła. A biedny major gwizdał, sapał, oczy wytrzeszczał, podglądał, szpiegował i nie był w stanie wysnuć żadnego racyonalnego wniosku.

— No, moja droga, z pewnością owładniesz sercem brata. Winszuję! — mówiła raz pani Czykk.

Panna Toks zbladła.

— Dziecinka codzień staje się podobniejsza do ojca.

Miss Toks zamiast odpowiedzi wzięła na ręce Pawełka i ucałowała go z takim zapałem, że pomięła czepeczek.

— Czy choć cokolwiek podobny do matki, z którą nie zdążyłaś mnie zaznajomić?

— Wcale nie.

— Myślę, że była ładna.

— O, tak, biedna Fanni była wcale interesująca. Ale nie było w niej nic wzniosłego, nic nakazującego uległość, jakby to przystało żonie mego brata, a przytem mało miała mocy ducha, siły charakteru, niezbędnej dla żony takiego męża.

Panna Toks głęboko westchnęła.

— Zresztą była miła i bardzo uprzejma, a przytem dobra, ach, jak dobra była biedna Fanni.

— Aniołeczku ty mój! duszko — zawołała panna Toks, całując Pawełka. Istny portrecik swego ojczulka.

Gdyby major wiedział, ile nadziei, pragnień, planów unosiło się nad tą młodocianą główeczką; gdyby widział, jak powstawały i bujały w swych różnorodnych postaciach nad zmiętym czepkiem Pawełka... Zresztą — cóż? Oczyby mu wystąpiły z orbit. Ale rozpoznałby przynajmniej w chaotycznym tłumie tych rojeń promyki, oświetlające duszę miss Toks i zrozumiałby, jaka moc niezwalczona wlecze tę kobietę ku handlowej firmie Dombi i Syn. Jeżeliby sam młodzieniec o północy ocknął się ze snu i ujrzał, jakie to tajemniczych dum widma snują po zasłonkach jego kolebki, przeląkłby się nie bez przyczyny. Ale spał niewinny młodzieniec.

Spał snem cichym i mocnym, nie wiedząc nic o marzeniach panny Toks, o zdumieniu majora, o przedwczesnym smutku siostry, o ważnych planach i zamysłach ojca, nawet nie podejrzewając istnienia na ziemi jakiegoś Dombi i Syna.

VIII. Dalsze sukcesy Pawła; rozwój jego i charakter.

Z czasem sny Pawła uległy zmianie. Światło weń przenikało, rojenia się wyjaśniały. Przedmioty i wrażenia niepoliczonym tłumem zaroiły się wokół, zamąciły jego spokój — a tak dziedzic znakomitego domu wstąpił w okres dziecinny i stał się mówiącym, chodzącym i podziwiającym — Dombim.

Po niełasce i haniebnem wypędzeniu Ryczards departament dziecinny w gospodarczem ministeryum pana Dombi przeszedł w ręce komitetu, złożonego głównie z pani Czykk i panny Toks. Osoby te z taką gorliwością zaczęły pełnić swój obowiązek, że major Bagstok miał codzień sposobność przekonywania się o swej dymisyi, a pan Czykk, uwolniony z pod dozoru domowego, rzucił w się odmęt wielkiego świata, obiadował w klubach i kawiarniach, ćmił fajkę na przekór surowemu zakazowi swej małżonki, uczęszczał do teatrów, słowem podług

słów pani Czykk — bezwstydnie rozluźnił wszelkie węzły moralnych zobowiązań.

Z tem wszystkiem Pawełek pomimo czujnej opieki i macierzyńskiego pielęgnowania rozwijał się wątle. Po wypędzeniu mamki stał się smutny, sechł, wątlał, jakby długo poszukiwał straconej matki, nienasycony zgoła czułościami dozorczyń. Z biedą wielką przebrnął najtrudniejsze stopnie po drodze do wieku młodzieńczego; lecz i dalsza droga okazywała się dlań niebezpieczną, jak dla dżokeja na wyścigach, gdy co chwila grozi mu złamanie karku podczas skoków przez płoty i rowy. Każdy nowo wycinający się ząbek był dlań straszną zastawą, każdy pryszczyk w czasie odry murem, który należało przeskakiwać wśród niebezpieczeństwa. Bezsilny jeździec — obalał się przy każdym napadzie kokluszu, a dziecinne niemoce, dla innych podobne do starć naskórka, jego rozdzierały niby tygrysie pazury.

Zaziębienie w czasie chrzcin dotknęło zdaje się najczulszej strony jego organizmu i pod zimnym dachem ojcowskiego domu nie mógł przyjść do siebie. Był to w ogóle chłopczyk nieszczęśliwy, co nieraz powtarzała pani Wikkem. Pani Wikkem była żoną kelnera, co się równa wdowieństwu po pierwszym mężu, a że nie miała dzieci ani rodziny, przyjęto ją chętnie do usług w domu pana Dombi, gdzie wnet po odstawieniu Pawełka od piersi została jego niańką.

Pani Wikkem była pokorną kobietą o bladej twarzy, z oczami zawsze wzniesionemi ku niebu, z głową zawsze pochyloną ku ziemi. Nastroiła się przedziwnie na wiekuisty ton współczucia i utyskiwań: wciąż żaliła się na własny gorzki los, na niedolę bliźnych — i z rozrzewniającą wdzięcznością przyjmowała wyrazy współczucia, jakie jej wypowiadano. W ogóle natura obdarzyła tę kobietę dziwną władzą widzenia rzeczy w ponurem świetle, a władzę tę z zapałem kształciła.

Prawie nie trzeba dodawać, że pan Dombi zupełnie nie znał nadzwyczajnych uzdolnień nowej niańki. Jakże mógł je znać? Nie było żywej duszy w domu, któraby ośmieliła się choć słówko pisnąć o jakichś niewygodach w stósunku do Pawełka. Pan Dombi postanowił, że dziecko koniecznie powinno przebyć wszystkie dziecinne niedomagania i słabości, a im prędzej tego dokona, tem lepiej. Gdyby mógł wykupić syna i natomiast innego nająć, jak to się zdarza przy poborze rekrutów, skorzystałby z tego, szczodrze nagradzając. A że nie mógł, ograniczał się od czasu do czasu dumnem zdumieniem na widok nieodwołalnych nakazów przyrody i pocieszał się myślą, że oto pomyślnie przebyty znowu jeden milowy słup na trudnej drodze życia, a wielki kres podróży zbliża się i zbliża. Głównem uczuciem duszy jego, do ogromnych rozmiarów wyrastającem

w miarę rozwoju Pawełka, było niecierpliwe oczekiwanie tej chwili upragnionej, kiedy we formie uroczystej spełnią się jego świetne nadzieje.

Niektórzy filozofowie utrzymują, że egoizm bywa źródłem najszlachetniejszych uczuć. Młody syn pana Dombi od początku stał się dlań tak cennym, jak cząstka własnej jego wielkości, albo, co na jedno wychodzi, wielkości Dombi i Syna, a fundamentu tego ojcowskiego przywiązania nie godzi się chyba nazywać wzniosłym. A przecież lubił syna, o ile mógł kogo lubić. Jeśli był w tem lodowatem sercu jaki ulubiony kącik, należał on do syna. Oto dla czego spieszno mu było przebiedz czem prędzej pierwsze kartki jego dziejów i z pośpiechem wyglądał w daleką przyszłość. Oto dla czego także przy całem przywiązaniu mało albo i wcale nie dbał o dziecko, licząc na to, że dziecię stanie się mężczyzną, dla którego codzień nowe tworzył plany, jakby miał przed sobą przedstawiciela handlowego domu w pełni sił i piękności.

Tak doszedł Paweł do lat pięciu. Był to ładny chłopczyk; lecz blada chuda twarzyczka powleczona była chorobliwem zamyśleniem tak, że pani Wikkem, spoglądając nań, znacząco kiwała głową i wzdychała z głębi serca. Niektóre wskazówki pozwalały nieomylnie wnosić, że będzie to usposobienie dumne i nakazujące; zaczynał już rozumieć swe znaczenie i jakby

pojmował, że wszystko i wszyscy są wyłącznie na to, aby jemu było dobrze. Chwilami smutek znikał i chłopiec bawił się, jak inne dzieci; lecz za to innym razem pogrążony w myślach siedział na swym miniaturowym foteliku jak stuletni starzec, znękany rozgwarem świata. Zdawało się, że dokazywał w pokoju dziecinnym z Florcią lub biczykiem popędzał miss Toks, która mu za konika służyła; lecz potem nagle ogarniała go ponura nuda i skarżył się na zmęczenie. A najczęściej ta niechęć do wszystkiego spadała nań wieczorem po obiedzie, kiedy wedle zwyczaju maleńkie fotele przetaczano do bawialni, gdzie siadywał z ojcem przy kominku. Była to najdziwniejsza para, jaką kiedy oblewał blask ognia z kominka.

Pan Dombi, nie zmieniając dostojnej miny, z namaszczeniem wpatrywał się w ogień; a mały jego wizerunek wpijał się w czerwone płomyki ze skupioną uwagą mędrca. Pan Dombi obmyślał w głębi ducha złożone plany i zamiary świeckie; a mały jego wizerunek pielęgnował w duchu jakieś dzikie rojenia, niedojrzałe i chaotyczne pomysły. Pan Dombi nieruchomo trzymał głowę sztywnie i wysoko skutkiem dumy i krochmalnego tęgo kołnierzyka; mały jego wizerunek taką samą miał pozę wskutek dziedzictwa i bezwiednego naśladowania. Bardzo byli do siebie podobni, a równocześnie niezmiernie różni nawzajem.

Raz, gdy już długo tak wymownie milczeli i pan Dombi wiedział tyle, że syn jego nie śpi, bo wypadkiem zajrzawszy mu w oczy, ujrzał w nich odbicie ognistego rubinu, Pawełek przerwał milczenie zapytaniem:

— Tatusiu, co to pieniądz?

Niespodziewane zagadnienie tak ściśle wiązało się z przedmiotem rozmyślań pana Dombi, że uczuł zakłopotanie.

— Co to pieniądz, Pawle, co pieniądz?

— Tak — rzekł chłopiec, opierając się na poręczy fotelu i zwracając swą postarzałą twarzyczkę ku ojcu — co to jest pieniądz?

Pan Dombi nie na żarty stropił się. Byłby rad dać odpowiedź uczenie kupiecką, określając pieniądz ogólną miarą wartości, informując o kursie, o jego zwyżce i spadku, o asygnatach, wekslach, walucie złotej, o stosunkowej cenie szlachetnych kruszców i tak dalej, lecz spojrzawszy na fotelik, mały, bardzo mały fotelik, rzekł: — Złoto, srebro i miedź. Gwinee, szylingi, półpensy. Wiesz teraz, co to jest?

— Tak, to znam. Ale nie o tem myślę. Chciałbym wiedzieć, co to pieniądz?

Wielki Boże! Jakimże starcem wydał się, gdy znowu podniósł oczy na ojca!

— Co to pieniądz? — powtórzył pan Dombi z podziwem, odsuwając fotel, aby lepiej rozglądnąć niezwykłego malca, natrętnie dopytującego się.

— Tak, ojcze. Chcę wiedzieć, czego pieniądz może dokonać? — pytał Paweł, krzyżując ręce na piersi i spoglądając to na ogień, to na ojca.

Pan Dombi ustawił fotel po dawnemu i pogłaskał syna po główce.

— Z czasem poznasz te sprawy. Pieniądz, mój drogi, różnych spraw się podejmuje.

To mówiąc, ujął małą rączkę syna i lekko zaczął nią uderzać w swoją.

Lecz syn uwolnił się od tej pieszczoty i niecierpliwie pocierał dłoń o fotel, jakby rozum zawierał się w dłoni i trzeba ją było wyostrzyć. Potem jeszcze raz spojrzał na ogień, jakby stamtąd czekał odpowiedzi. Wreszcie rzekł:

— Różnych spraw, ojcze?

— Tak, prawie wszystkich.

— Wszystkich ... wszak to to samo, co: pieniądz jest wszechmocny. Czy nie tak?

— Tak, pieniądz wszystko zrobić może.

— A czemu pieniądz nie uratował mojej mamy? Czy to z jego strony nie okrutnie?

— Okrutnie? Nie, rzecz dobra nie może być okrutną.

— Pieniądz — rzecz dobra i wszystko zrobić może. Dziwne to jednak, dla czego nie ocalił mojej mamy.

Z tem pytaniem już więcej nie zwracał się do ojca. Może z dziecinną bystrością poznał, że rozmowa nie podobała się panu Dombi,

Umilkł i pogrążył się w zadumę, wlepiwszy oczy w ognisko.

Pan Dombi był nie tak poruszony jak zdziwiony dziwną ciekawością dziecka. Pierwszy raz syn wdał się z nim w rozmowę i ośmielił się mówić o nieboszczce matce, chociaż codzień oddawna po obiedzie siadywał z nim jak teraz obok kominka. Uspokoiwszy się, usiłował w miarę możności wytłumaczyć, że pieniądz jest wprawdzie duchem wszechmocnym, zawsze i wszędzie cenionym, ale żadną miarą nie może uratować człowieka, gdy czas śmierci nadszedł i że na nieszczęście wszyscy, nawet w City, wcześniej lub później musimy umrzeć, choćbyśmy nie wiedzieć jak byli bogaci.

— Ale pieniądz daje nam — kończył pan Dombi — szacunek ogółu, podziw ludzi. Pieniędzmi możemy uzyskać rozgłos i przejąć obawą wszystkich wokoło, a zdarza się nieraz, że pieniędzmi można i śmierć na pewien czas powstrzymać. Tak np. matka twoja za pieniądze korzystała z usług doktora Pilkinsa i znakomitego lekarza Parkera Pepsa. Tego ostatniego nie znasz, lecz pan Pilkins nieraz i tobie pomagał. Słowem pieniądz osiąga wszystko, co da się osiągnąć.

Chłopiec pilnie słuchał i rozumiał wszystko, o czem mówiono.

— A jednakże, tatusiu, pieniądze nie mogą mnie uczynić zdrowym i silnym.

— Alboż nie jesteś zupełnie zdrów i silny? — pytał coraz bardziej zdumiewając się pan Dombi.

Mały staruszek zwrócił na ojca smutne oczy.

— Jesteś zdrowy i silny, jak wszystkie dzieci w twoim wieku. Prawda?

— Florcia starsza odemnie i nie mogę być tak mocny i silny jak ona, to wiem bardzo dobrze; ale kiedy Florcia była taka mała jak ja, mogła się bez zmęczenia bawić, ile chciała — to wiem także bardzo dobrze. A gdybyś wiedział, ojcze, jak ja się czasem męczę! Och, jakże się męczę! Wszystkie kosteczki mnie bolą. Wikkem mówi, że to kości — i sam już nie wiem, co robić?

Tu Pawełek grzejąc ręce zaczął się przypatrywać głębi kominka poza kratką, jakby tam jakieś fantastyczne widma grały dla niego komedyę maryonetek.

— Tak bywa z tobą wieczorami. Dzieci zwykle męczą się ku wieczorowi, a potem śpią snem krzepkim.

— Ach, nie, ojcze. Tak bywa ze mną i we dnie, gdy złożę głowę na kolanach Florci a ona mi piosnki nuci. Nocami zaś widuję we snach przedziwne, przecudowne rzeczy!

Teraz pan Dombi wzruszył się bardzo i nie wiedział, co o tem myśleć. Jeszcze bliżej przysunął się z fotelem do syna i patrzył w twarzyczkę przy mdłem świetle płomienia, trzymając

lewą rękę na ramieniu Pawełka, jakby ciągnęła go siła magnetyczna. Raz chciał prawą ręką główkę tę ku sobie skierować, lecz chłopczyna wnet się odwrócił po dawnemu i nie odejmował oczu od ognia, dopóki nie przyszła niańka ułożyć go do snu.

— Czemuż po mnie nie przyszła Florcia?

— Czy panicz nie życzy sobie iść ze swą biedną nianią? — pytała Wikkem z westchnieniem.

— Nie życzę — odrzekł Paweł, jak pan, którego winni słuchać.

Wikkem, powołując niebo na świadka swej niewinności, odeszła, za chwilę zaś zjawiła się Florcia. Chłopczyk natychmiast poweselał, wstał z fotelu, pożegnał się z ojcem, życząc mu dobrej nocy. Twarzyczka znów stała się dziecinną, a ojciec wydziwić się nie mógł tej zmianie.

Gdy dzieci wyszły, dał się słyszeć śpiew. Pan Dombi otworzył drzwi i śledził wzrokiem dzieci. Florcia szła po schodach wielkich i pustych na górę, niosąc w ramionach braciszka, który główkę położył na jej ramieniu i rączkami objął za szyję. A dopóki wchodziły, Florcia śpiewała, Pawełek nucił, pan Dombi zaś z podziwem przypatrywał się rzewnej scenie. Dzieci już weszły na górę do pokoju i znikły, a pan Dombi stał u drzwi z oczami w górę wzniesionemi i dopiero gdy blade światło księżyca za-

częło się przebijać przez matową szybę, zwolna udał się do swej sypialni.

Nazajutrz pani Czykk i panna Toks, zaproszone na naradę, przyszły na obiad. Zaledwie się zjawiły, pan Dombi bez wstępu zagaił naradę pytaniem:

— Co się dzieje z Pawełkiem? Co myśli o nim pan Pilkins? Dziecko wcale nie jest tak zdrowe, jakby można było sobie życzyć.

— Podziwiam twą przenikliwość, drogi Pawle — odrzekła pani Czykk. — Odrazu odgadłeś całą prawdę. O, tak. Maleństwo wcale nie tak zdrowe, jakby tego pragnąć można. Władze umysłowe rozwijają się niezmiernie szybko, a wątły organizm zaledwie może znieść polot wzniosłej duszy. Boże, jak mądrze, jak roztropnie mówi to cudowne dziecko. Nie do wiary! Nie do pojęcia! Czy przypominasz sobie Lukrecyo, jak rozprawiał wczoraj o pogrzebie?

— Otoż o to właśnie chodzi — przerwał pan Dombi — że ktoś na górze nasuwa memu synowi niewłaściwe myśli. Wczoraj wieczorem zaczął ze mną rozmowę o swych kościach. Chciałbym wiedzieć, co komu do kości mego syna? Wszakże to nie szkielet?

— Jak to być może! — z przestrachem zawołała pani Czykk.

— Spodziewam się! A tu znowu pogrzeb! Kto śmie mówić synowi memu o pogrzebie? Czyśmy to grabarze?

— Jak to być może! — z tym samym przestrachem zawołała pani Czykk.

— Kto nasuwa synowi memu takie czarne myśli? Wczoraj nie na żarty mię przestraszył. Luizo, kto takie myśli wbił mu do głowy?

— Tu niema o czem długo debatować. Prawdę mówiąc, niańka naszego maleństwa nie ma bardzo wesołego temperamentu. To jakaś...

— Córa Momusa — skromnie dorzuciła panna Toks.

— Właśnie. Ale też za to uważna, dbała, gorliwa i wcale niewymagająca. Przytem kobieta skromna i cicha. Jeżeli mały zwątlał po swej ostatniej słabości, jeśli nie jest tak zdrów i silny, jakby można życzyć, jeżeli się rozkleił i przez czas jakiś nie będzie zdolny do władania swymi...

Pamiętając o wymówce co się tyczy kości, pani Czykk nie śmiała użyć tego słowa i nie umiejąc dokończyć myśli, czekała natchnionej pomocy od przyjaciółki, która niepewnym głosem dodała:

— Swymi członkami...

— Członkami? — powtórzył pan Dombi.

— Lekarz domowy dziś rano mówił, zdaje mi się o nogach, droga Luizo — prawda?

— Tak, mój aniele, mówił o nogach. Dla czego mię o to pytasz? Wszak słyszałaś. A zatem jeżeli nasz miły Pawełek straci na

razie władzę w nogach, niema się o co niepokoić; dzieci w ogóle w jego wieku podlegają takim niemocom, a im je wcześniej zniesie, tem lepiej. Sam wiesz o tem, drogi bracie.

— Nie wątpię Luizo o twem szczerem przywiązaniu do przyszłego reprezentanta mego domu. Tak tedy pan Pilkins dziś rano mówił o Pawełku.

— Mówił. Byłyśmy tu i słyszały. Wiesz, jak panna Toks dba o wszystko, co dotyczy naszego aniołka. A co to za lekarz — ten Pilkins! Podziwu godny lekarz. Badał go kilka dni temu i mówił, że wszystko idzie, jak trzeba. Słyszałyśmy to z panną Toks i możesz być spokojny, drogi Pawle. Dziś zaś zalecał Pawełkowi morskie powietrze, w czem godzę się z nim całkowicie. Rada bardzo roztropna.

— Morskie powietrze? — powtórzył pan Dombi.

— Tak. Niema się czem niepokoić. Dzieciom moim Jerzemu i Fryderykowi także ordynowano w swoim czasie morskie powietrze. Sama też nieraz zeń korzystałam. Cóż tu dziwnego? Morskie powietrze bardzo korzystnie działa. Zgadzam się z tobą, Pawle, że może czasem nieostrożnie w dziecinnym pokoju mówiono o rzeczach, obcych duszy młodocianej. Ale jak uchronić dziecko z tak olbrzymiemi zdolnościami? Sprawność umysłu niesłychana! Gdyby to było zwyczajne dziecko, zaręczam,

żeby się nic nie stało. Myślę, że chwilowe oddalenie się z tych miejsc, brajtońskie powietrze a zwłaszcza ćwiczenia ciała i duszy pod kierownictwem tak doświadczonej, rozumnej kobiety, jak naprzykład pani Pipczyn...

— To znowu co za pani Pipczyn, Luizo? — niecierpliwie pytał pan Dombi, niemile dotknięty wzmianką o kobiecie, której nawet z nazwiska nie znał.

— Pani Pipczyn, — drogi Pawle, szanowna stara dama, wdowa po czcigodnym i bardzo znanym dżentlmenie. Panna Toks wybornie wie o niej wszystko. Od niejakiego czasu ta szlachetna ledi poświęciła się wyłącznie wychowaniu i wykształceniu dzieci z takiem powodzeniem, że uzyskała rozgłos we wielu lepszych domach. Mąż jej umarł z rozpaczy z powodu... jak mówiłaś, moja droga? Zawsze zapominam szczegóły. Umarł z rozpaczy z powodu...

— Z powodu pompowania wody z peruwiańskich kopalni.

— Nie żeby on tam pompował wodę z kopalni, tylko kapitału użył na to przedsiębiorstwo i stracił wszystko co do szylinga. Wierzę, że pani Pipczyn wybornie wychowuje dzieci i nikt jej w tej sztuce nie dorówna. Nieraz o niej słyszałam w znakomitych domach, a wiesz, Pawle, w jakich domach bywałam do urodzenia twego syna.

Tu pani Czykk skierowała wymowne spojrzenie na bronzowe popiersie Wiliama Pitta, jakby chciała rzec: i tam mnie przyjmowano.

— Co do pani Pipczyn i ja muszę powiedzieć — zauważyła panna Toks z niewinnym rumieńcem na twarzy — że pochwała pańskiej drogiej siostry nie przesadzona. Wiele dam i panów z najlepszego towarzystwa zawdzięczają jej swe wychowanie. Pańska pokorna sługa też miała szczęście korzystać z jej wskazówek i przyznaję, że do grobowej deski nie zapomnę szczytnych zasad moralności, wpojonych w me serce.

— Jak mam panią rozumieć? Czy ta szanowna dama utrzymuje zakład wychowawczy?

— Doprawdy nie umiem orzec, czy godzi się panią Pipczyn nazwać właścicielką naukowego zakładu. Nie jest to nic w rodzaju szkoły przygotowawczej; zakład jej w pewnym rodzaju jest wychowawczo-naukowym przytułkiem dla szlacheckich dzieci...

— Przyjmuje ona dzieci tylko z najwyższych kół — dodała pani Czykk.

— O, naturalnie. Tam nie każdego przyjmą.

Wszystko to wyglądało wcale nieźle. Małżonek pani Pipczyn zginął od kopalni peruwiańskich — bardzo dobrze. Domowy lekarz radzi synowi zmianę powietrza i rozstanie z rodzicielskim domem, a pan Dombi przestałby chyba być sobą, gdyby, syn jego po takiej

ordynacyi choć godzinę bawił w Londynie. Niema co mówić, byłaby to tama w drodze do wielkiego celu. Poleceniom siostry i panny Toks można było ufać: obie uwielbiały Pawełka, a gdy się decydują na chwilową z nim rozłąkę, to widać pewne dobroczynnych następstw jej, gdyż w innym wypadku nikomu ani na moment nie powierzyłyby skarbu. Zginął od udaru sercowego w kopalniach peruwiańskich — oto zgon godny dżentlmena — myślał pan Dombi.

— Któż ma jechać z Pawełkiem, jeżeli jutro po zebraniu niezbędnych informacyi zdecydujemy się wysłać go do Brajton?

— Zdaje mi się — mówiła pani Czykk — że go teraz nigdzie nie można wysyłać bez Florci. Zanadto przywiązał się do siostry i nie zechce się z nią rozłączyć. Dziecię ma swe kaprysy, mój drogi.

Pan Dombi odwrócił się, zwolna zbliżył się do szafy i wyjął na chybi-trafi jakąś książkę.

— A kto poza tem, Luizo? — pytał, niedbale kartkując książkę.

— Rozumie się Wikkem. Prócz Wikkem nikt niema potrzeby z nim jechać. Pawełek będzie w takich rękach, że wszelki dozór tylko przeszkadzałby pani Pipczyn. Zresztą, rozumie się, że nie zaszkodzi, jeżeli sam choć raz na tydzień pojedziesz do Brajton.

— Tak, pewnie — rzekł sucho pan Dombi i przez godzinę patrzał w książkę, ani słowa nie mówiąc.

Wysławiana pani Pipczyn była to sobie bardzo niepozorna a nawet brzydka staruszka, skulona we dwoje, pomarszczona, jak kiepski marmur, z nosem zakrzywionym i szaremi oczami, które możnaby — zdawało się — przez czas jakiś młotem kuć na kowadle bez szkody. Czterdziestka minęła od chwili, gdy szlachetny pan Pipczyn kark skręcił w peruwiańskich kopalniach, a niepocieszona wdowa dotąd nosiła żałobę tak ponurej, martwej barwy, że ciemniej się robiło od samej jej obecności, jakby odgrywała rolę gasiciela światła. W dziedzinie wychowania w istocie uzyskała rozgłos, cały zaś jej sekret polegał na tem, że zwykle dawała dzieciom to, czego nie cierpiały, a zabraniała tego, co lubiły. Bo to miało wcześniej zaprawiać dzieci w panowaniu nad bujnemi skłonnościami. Wogóle pani Pipczyn była niewiastą swarliwą, oschłą — i jeżeli był u niej ten charakter od lat czterdziestu, to ma się pokusę myśleć, że peruwiańskie pompy dobywały nie wodę z kopalni, lecz wielkie uczucie ludzkości z jej serca.

Dom tej dręczycielki dziatwy znajdował się w Brajtonie nieopodal od brzegu morza na kredowym, krzemienistym i bezpłodnym gruncie, gdzie w kwietnikach przed domami nic nie

rosło oprócz nagietek. Powietrze latem nie przenikało do domu pani Pipczyn, zimą zaś nie mogło się zeń oswobodzić. Zaduch powiększały gliniane we wszystkich oknach stojące wazony z kwiatami, które po całym zakładzie rozsyłały wyziewy ziemi. Pani Pipczyn widocznie wielbiła botanikę i wszelkie gatunki państwa roślinnego żywiła. W wyborze roślin zachowywano pewną symetryę, dostosowaną do harmonii z otoczeniem. Tu stało pół tuzina kaktusów, wijących się koło prętów niby żmije; tam też kaktusy rozstawiały swe szerokie kleszcze jak raki morskie; owdzie wijące się rośliny bawiły oko liśćmi chwytnymi. Wszystkie te mniej więcej niezwykłe okazy panoszyły się na oknach, szczelnie zawartych w każdej porze roku. Lecz dla dopełnienia widowiska jeden wielki wazon zawieszony był u sufitu, skąd we wszystkie strony wyłaziły długie zielone liście jak pająki, których było także mnóstwo, nawet z kleszczami, w błogosławionem tem ustroniu.

Pani Pipczyn zwykle żądała dużej ceny za pensyonarzy i umiała nadać sobie pozór wyniosły wobec tych, którzy jej potrzebowali. Uchodziła też za stanowczy charakter, wyborną znawczynią dzieci. Z taką reputacyą zdobyła sobie z czasem majątek, co pomagało jej do utrzymania godności. W trzy dni po rozmowie o niej w domu pana Dombi miała przyjemność

zawarcia doskonałej umowy ze znakomitym kapitalistą, przyjmując do swego zakładu Florcię i jej braciszka.

Pani Czykk i panna Toks odbyły szczęśliwie podróż do Brajtonu, powierzały z rąk do rąk szlachetnego swego pupila i wróciły. Pani Pipczyn, oparta o kominek, badała od stóp do głowy nowych pensyonarzy ze znawstwem starego żołnierza. Tymczasem kuzynka jej i niewolnica, kobieta średniego wieku, sucha jak szczapa, z wstrętnymi pryszczami na nosie, zdejmowała czysty kołnierzyk ze szyi wychowańca Biterstona. Druga i ostatnia pensyonarka, panna Panki, siedziała w tej chwili w kozie za to, że ośmieliła się trzykrotnie podskoczyć przy gościach.

— Otóż poznaliśmy się, mój drogi — zwróciła się pani Pipczyn do Pawełka. — Czy ci się podobam?

— Myślę, że mi się pani nigdy nie spodoba — odrzekł Paweł. — Trzeba mi stąd wyjechać. To nie mój dom.

— Naturalnie. Ten dom jest moim.

— Wstrętny dom! — zauważył Pawełek.

— Jest kącik jeszcze gorszy; tam zamykają złe dzieci.

— Był on tam kiedy — w tym zakątku? — pytał Paweł, wskazując Biterstona.

Pani Pipczyn kiwnęła głową. Paweł tego dnia miał dużo roboty: gorliwie badał swego

nowego kolegę Biterstona i czynił tajemnicze, nawet straszne obserwacye.

O pierwszej podano obiad, przeważnie roślinny. Wtedy zjawiła się i panna Panki, cicha drobna dzieweczka z błękitnemi oczami; codzień rano płukali ją we wodzie i nacierali tak, że wkrótce kości jej powinnyby się były oddzielać od ciała. Pani Pipczyn, uwolniwszy ją z kozy, nie zaniedbała wymierzyć obroku duchownego, że każdy, kto przy gościach skacze, ściąga na duszę grzech ciężki i powinien zrzec się nieba.

Utrwaliwszy tę głęboką prawdę w sercu występnej, podała jej wodnistą zupę z kaszy, potrawę, jak wiadomo, zdrową zwłaszcza dla dzieci. Kuzynka pani Pipczyn, Beryntia, dostała porcyę prosięciny na zimno, a sama pani jadła osobno dla niej specyalnie przygotowane kotlety baranie, od których rozchodziła się smaczna woń.

Miała przepis wyjątkowy spożywania gorących potraw — i to właśnie baranich kotletów. Po jedzeniu, dzieci wedle zwyczaju miały odmawiać modlitwę dziękczynną włącznie z podziękowaniem pani domu za dobry obiad. Pani Pipczyn też pomodliła się i poszła spać: wypoczynek po kotletach gorących był niezbędny jej zdrowiu. Dzieci zaś pobiegły do pokoju, którego jedyne okno zwracało się ku kredowej ścianie; koło niej stała beczka z wodą, a ten karcer obecnie był, można powiedzieć, jedynem wesołem miejscem w domu.

Dzieci zaczęły się bawić, a zabawy te wkrótce ku powszechnemu żalowi przerwane zostały gniewnym stukiem w ścianę pani, której spoczynek przerywano. Wtedy Berry szeptem opowiadała zajmujące bajki, co ciągnęło się do zmroku. Przy herbacie pensyonaryusze nasycać się mogli mlekiem, wodą, chlebem, masłem. Pani Pipczyn nalewała sobie herbatę z osobnego czarnego czajnika i z apetytem spożywała na maśle podpiekane grzanki. Ale ani kotlety gorące ani gorąca herbata i gorące grzanki nie rozgrzewały zimnej duszy pani Pipczyn. Wciąż zrzędziła a nieruchome szare oczy nie łyskały ani myślą ani uczuciem.

Po herbacie Berry przyniosła stoliczek z rysunkiem sztandaru królewskiego na blacie i gorliwie zabrała się do pracy, a pani Pipczyn, nałożywszy okulary, otworzyła księgę w zielonej oprawie i nad nią gorliwie zaczęła kiwać głową. Ile razy się budziła, dawała szczutka w nos Biterstonowi, którego także sen poczynał morzyć.

Nareszcie nadeszła godzina snu i dzieci poszły do łóżek. Berry bała się spać sama w ciemnym pokoju, to też pani Pipczyn co wieczora własnoręcznie wyganiała ją na górę, jak owieczkę — a i potem dziewczynka długo jeszcze wzdychała w samotności. Około pół do dziesiątej pani Pipczyn wydobyła z pieca gorące ciastko — i w pokoju rozeszła się przyjemna

woń, która na parę minut zmieniła zwykły zapach ustronia. Za pół godziny wszystko pogrążyło się we śnie.

Nazajutrz śniadanie podobne było do wczorajszej kolacyi z tą różnicą, że pani Pipczyn jadła bułkę i wydawała się jeszcze surowszą, niż zwyczajnie. Pan Biterston czytał z księgi rodzaju początek, utykając na imionach własnych. Po tej pouczającej lekturze Berry odesłano do kąpieli, a Biterston miał odbyć swoją porcyę katuszy w morzu, skąd wyszedł siny i osłabiony. Paweł i Florcia spacerowali wdłuż wybrzeża w towarzystwie Wikkem, która przez cały czas zalewała się łzami i skarżyła gorzko na swój los sierocy. O dziesiątej zaczęła się nauka. Pani Pipczyn uważała, że umysł dziecinny pokryty grubą warstwą ciemnoty; należy ją rozszarpywać, jak małżowinę ostrygi; to też lekcye jej na dzieci wywierały wpływ ogłuszającej burzy. Treścią lekcyi bywał zazwyczaj zły chłopczyk lub zła dziewczynka, a doświadczony pedagog w końcu poskramiał je, jak dzikie lwy lub niedźwiedzie. Pani Pipczyn nawet nie podejrzewała, że dziecię jak kwiat stopniowo się rozwija, a wymaga czułej troski i opieki.

Takie było życie w zakładzie pani Pipczyn. W sobotę pod wieczór przyjeżdżał pan Dombi i Florcia z Pawełkiem chodzili doń na herbatę do hotelu. Bawili u ojca przez niedzielę a za-

zwyczaj przed odjazdem udawali się na przejażdżkę. W czasie tych spacerów pan Dombi rósł co chwilę niby owi sławni wrogowie Falstafa i zamiast jednego pana w wełnianej kurtce wydawał się całym tuzinem. Niedzielny wieczór bywał najnudniejszy. Złość pani Pipczyn wówczas przemieniała się we wściekłość. Panna Panki wracała z Rottendynu od ciotki w głębokiem zasmuceniu, a pan Biterston, którego rodzina mieszkała w Indyach, musiał w czasie modlitw pani Pipczyn siedzieć na miejscu nieruchomo z rękami na krzyż złożonemi bez drgnięcia. Ceremonia ta tak dokuczyła chłopcu, że raz w sobotę wieczorem zwrócił się do Florci z prośbą, czyby mu nie mogła wskazać drogi do Bengalu?

Wszyscy jednak sądzili, że pani Pipczyn po mistrzowsku wychowuje dzieci i w tem mniemaniu nie było przesady. Chłopiec mógł być sobie ruchliwy i bujny, a po dwóch miesiącach życia pod tym gościnnym dachem stawał się cichutki, jak woda, jak trawa. Mówiono, że ten sposób życia zaszczyt przynosi miłującemu sercu pani Pipczyn. Poświęciła się wychowaniu dzieci z abnegacyą, a zajęcia te były najlepszym środkiem przeciwko smutkowi po stracie męża.

Pawełek siedział w foteliku koło kominka i jak zwykle z uwagą patrzał na szanowną damę. Pozornie nawet nie wiedział, co to nudy, skoro z takiem skupieniem mógł rozglądać

panią Pipczyn. Nie lubił jej i nie obawiał się, lecz oblicze jej wydawało mu się godne uwagi. Siedział tedy, patrzał, grzał ręce i znów patrzał, nie odrywając oczu do chwili, aż pani Pipczyn przy całem swem męstwie nie zaczynała mieszać się pod tem spojrzeniem. Raz, gdy zostali sami, pani Pipczyn spytała, o czem myśli.

— O pani.

— Cóż ty o mnie myślisz, kochanku?

— Myślę, że pani musi już być bardzo stara. Ile też pani ma lat?

— O to nie powinieneś pytać — z gniewem odrzekła szanowna dama — i na przyszłość nie waż się mówić o tych sprawach.

— Dla czego?

— Bo to niegrzecznie.

— Niegrzecznie?

— Tak, niegrzecznie.

— A Wikkem mówi, że niegrzecznie zajadać gorące kotlety i grzanki, gdy drudzy jedzą suchy chleb — odrzekł Paweł z naiwną miną.

— Twoja Wikkem — zawołała sina z gniewu pani Pipczyn — złe, zuchwałe i bezwstydne bydlę.

— Co to znaczy? — spytał Paweł.

— Poznasz wiele, gdy zestarzejesz, kochanku. Przypomnij sobie powiastkę o nieszczęsnym chłopcu, którego na śmierć pobódł szalony byk za to, że wciąż pytał.

— A jakże szalony byk mógł wiedzieć, że chłopczyk zadaje pytania? Nikt nie zbliży się do byka, który oszalał i nie będzie z nim przecież rozmawiał.

— Więc ty nie wierzysz tej powiastce? — mówiła ze zdumieniem pani Pipczyn.

— Nie wierzę.

— No, a gdyby ów byk był spokojny — czy i wówczas nie dałbyś wiary?

Ponieważ Paweł nie rozpatrywał zagadnienia z tego punktu widzenia i wywody swe osnuł na domiemanym szale byka, uczuł się na ten raz pokonanym. Lecz w tej chwili zaczął porównywać, rozważać i utkwił tak badawczy wzrok w pytającej, że uznała za lepsze odejść i odczekać, aż o wszystkiem zapomni.

Odtąd jakaś dziwna siła magnetyczna wlokła panią Pipczyn do Pawełka, podobnie jak i on czuł ku niej pociąg nieodparty. Sadzała go przy kominku koło siebie tak, że małą twarzyczkę jego ocieniała jej czarna suknia. Jeszcze usilniej badał każdy rys, każdą zmarszczkę na twarzy sąsiadki i tak przenikliwie wpatrywał się w jedyne szare jej oko, iż niekiedy musiała je zamykać, udając śpiącą. Miała ona i starego czarnego kota, który też sadowił się koło kominka, mruczał egoistycznie i dziko wytrzeszczał oczy na ogień, dopóki zwężone źrenice nie stawały się podobne do wykrzykników. Gdy całe towarzystwo wieczorem zebrało się

u kominka, pani Pipczyn niezwykle podobna była do starej wiedźmy, a Pawełek i czarny kot wydawali się duchami w jej niewoli — i niktby się nie dziwił, gdyby w noc jaką burzliwą nagle wylecieli kominem na Łysą górę.

Ale to się nie stało. I kot, i Paweł, i pani Pipczyn codzień siadali na zwykłych miejscach, w zwykłych pozach — zdrowi i cali. Unikając towarzystwa Biterstona, Paweł studyował panią Pipczyn, kota i płomienie, jak gdyby to były czarodziejskie księgi w trzech tomach.

Pani Wikkem miała własny pogląd na dziwactwo Pawła, pogląd zgoła niepocieszający, odpowiedni do jej chorobliwie utyskującej natury.

Pani Pipczyn zaś zastosowała względem niej środki policyjne, aby jej własne „bydlę“ — jak nazywała sługę swoją — pod żadnym pozorem nie komunikowało się z tą niegodziwą. Żeby cel ten osięgnąć, nie żałowała czasu na potajemne śledzenia z za drzwi: ukryta za drzwiami czekała, aż jej „bydlę“ zbliży się do pokoju Wikkem i wówczas zjawiała się i klęła energicznie i wyszukanie. Na nieszczęście środek ten nie dał się zastosować do kuzynki Beryntyi, która cały dzień chodziła wszędzie, pełniąc liczne i skomplikowane obowiązki. Berry mogła więc porozumiewać się z Wikkem.

— Jaki on ładny podczas snu — rzekła raz, stając przed łóżeczkiem Pawła.

— Biedactwo! Dobrze, że choć podczas snu Bóg daje mu piękność.

— Ależ on przystojny, choć nie śpi.

— Ale nie, nie! On jak dwie krople wody podobny do Betsy Dżen, mego wuja.

Berry ze zdziwieniem spojrzała na mówiącą, nie pojmując związku pomiędzy Pawłem Dombi a Betsy Dżen.

Widzi pani, żona mego wuja zmarła zupełnie tak, jak jego matka. Córka mego wuja zupełnie podobna do pana Pawła. Jej także czasami coś się takiego działo, że i spojrzeć straszno.

— Cóż takiego?

— A to, że ja za nic nie chciałabym nocować sama z Betsy. Za nic, choćby mnie złotem obsypano.

Berry pytała, dla czego? Ale Wikkem tajemniczo ciągnęła:

— Betsy Dżen, powiem pani, była dzieckiem cichem i łagodnem. Zniosła wszystkie dziecinne choroby, wszystkie co do jednej. Spazmy nic nie znaczyły dla niej, tak samo mniej więcej, jak dla pani pryszcze.

Berry mimowolnie zadarła nos do góry.

I oto... nieboszczka matka Betsy Dżen zaczęła odwiedzać z tamtego świata swą córkę... ale jak odwiedzać! Jak to czyniła i kiedy i czy

dziecko poznawało matkę, tego nie wiem, ale napewno wiem, że nocami opiekowała się Betsy Dżen zmarła matka! Może pani myśli, że to bajka. Niech pani sobie myśli, ja się nie gniewam. Nawet radzę pani uważać to za bajkę: będzie pani raźniej na tym przekl... daruje pani — na tym przeklętym cmentarzu, na którym żyjemy. Pawełkowi, zdaje się, coś się przyśniło. Niech mu pani natrze kark, panno Berry.

— A zatem pani myśli, że i do niego także przychodzi matka?

— Betsy Dżen — ciągnęła najpoważniej Wikkem — wyschła jak deska i straciła pozór dziecinny, jak on. Patrzę na nią bywało a ona siedzi, siedzi i myśli nie wiedzieć o czem, jak on. Przemawiam do niej bywało, a ona spogląda na mnie, jak staruszka, jak on.

— Czy córka pani wujaszka żyje?

— Żyje, Bóg z nią, wyszła za bronzownika — mówiła z powagą Wikkem — ona żyje.

Sprawiło to takie wrażenie, jak gdyby ktoś inny umarł i Berry zapytała: kto taki?

— Nie chciałbym pani niepokoić — mówiła Wikkem poważnie. — Proszę się nie dopytywać.

Było to dobrym środkiem do naglenia o odpowiedź. Berry nalegała. Wikkem po pewnej chwili obejrzała się, popatrzyła na Pawełka i tajemniczo rzekła:

— Betsy Dżen lubiła wielu, ale zupełnie nie tak, jak dzieci; dziwnie się przywiązywała. I cóż pani powie? Wszyscy, kogo lubiła, pomarli, wszyscy co do jednego. Ten niespodziany koniec tak przeraził kuzynkę pani Pipczyn, że bez tchu patrzyła na Wikkem. Ta zaś kiwała głową, ukazując palcem na łóżeczko Florci i na podłogę w tem miejscu, gdzie był pokoik, w którym zazwyczaj pani Pipczyn spożywała gorące ciastka.

— Wspomni pani moje słowa, gdy czas nadejdzie i podziękuje pani Bogu, że Pawełek nie lubi jej. Mnie chwała Bogu znieść nie może i ja jestem spokojna o siebie, choć prawdę mówiąc, życie w tem więzieniu nieosobliwe — daruje pani. Berry tak się przejęła, że nie miała odwagi zbliżyć się do łóżeczka dziecka i myślała, jakby tu się uwolnić raz na zawsze od nacierania mu karku. W tej chwili Paweł ocknął się, usiadł w łóżeczku i wołał Florci. Włoski się rozsypały, twarzyczka była w ogniu; widział jakiś straszny sen.

Florcia natychmiast zerwała się z pościeli, nachyliła aż nad poduszeczkę przerażonego braciszka i wkrótce utuliła swą piosnką. Wikkem proroczo pokazała małą grupę i łzawe oczy podniosła ku niebu.

— Dobranoc — rzekła — dobranoc. Ciotka pani dość długo żyła na świecie i smucić się po niej pani nie będzie.

Tym pocieszającym słowom towarzyszył wzrok pełen rozpaczliwego smutku. Pozostawszy z dziećmi, zauważyła, że wiatr dmie, jakby opłakiwał śmierć czyją. Tak melancholijnie nastrojona siedziała do północy, aż sen zamknął jej powieki. Trudno powiedzieć, czy wróżba o niewątpliwej śmierci pani Pipczyn bardzo dotknęła czułego serca kuzynki; w każdym razie panna Beryntia była rada, gdy ciotka wszedłszy do jej pokoju, obsypała ją wymówkami, które zupełnie usuwały myśl o blizkiej śmierci. Następnej niedzieli była też zupełnie zdrową a zastawione jej mięsne i gorące dania znikały jak zwykle z talerzy.

Pawełek jak dawniej badawczo wpatrywał się w panią Pipczyn. Siły jego nieco się wzmocniły, ale przechadzka po wybrzeżu morskiem męczyła go.

Wynaleziono mu też wózek, gdzie mógł wygodnie leżeć z elementarzami swymi, a zgrzybiały starzec ciągnął wózek.

Za swym woźnicą, z Florcią obok wózka i ślamazarną Wikkem, która musiała iść z tyłu, Paweł codzień wyjeżdżał na brzeg oceanu i godzinami tam leżał lub siadywał. Wtedy nikt mu tak nie dokuczał, jak dzieci, oczywiście z wyjątkiem Florci.

— Odejdź odemnie, proszę cię — mawiał zwykle, gdy zbliżał się doń jaki chłopczyk. — Dziękuję ci, tylko idź sobie stąd.

Czasem dzieciak jakiś ze współczuciem pytał o zdrowie.

— Bardzo dobre, dziękuję — odpowiadał Pawełek — ale bądź łaskaw odejść sobie. Lepiej zrobisz, gdy pójdziesz się bawić.

A gdy dzieciak odbiegł, zwracał się do Florci i mówił:

— Nie trzeba obcych, prawda? Pocałuj mnie, Florciu.

Wtedy bardzo niechętny bywał dla Wikkem i cieszył się, gdy szła sobie zbierać muszle lub gawędzić ze sługami. Lubił samotność, a jeżeli obok siedziała Florcia, czytała lub opowiadała, wiatr muskał mu policzki i woda podmywała kółka wózka, wówczas nic mu do szczęścia nie brakło.

— Florciu — pytał raz — gdzie leżą te Indye, w których mieszka rodzina Biterstona?

— O, daleko, strasznie daleko.

— Na całe tygodnie?

— Tak, kochanku, na całe tygodnie podróży dniem i nocą.

— Gdybyś ty, Florciu, była w Indyach — rzekł po chwilowym namyśle — jabym.... co to zrobiła mama?... zawsze zapominam.

— Pokochałbyś mnie — podpowiedziała Florcia.

— Nie to, nie to. Czyż ja ciebie nie kocham, Florciu? Ale tamto co?

Spotkanie na schodach.

(Dombi i syn.)

— Aha, wiem ... jeżelibyś była w Indyach, ja umarłbym bez ciebie.

Florcia rzuciła robótkę, pochyliła się nad poduszką i zaczęła go pieścić.

— I jabym umarła, gdyby nas rozłączyli. Ale po co o tem myśleć? Teraz ci lepiej, zdaje się.

— O, ja mam się teraz dobrze, bardzo dobrze. Ale o tem wcale nie myślę. Teraz ciągle mi się zdaje, że umarłbym z tęsknoty, gdyby ciebie ze mną nie było.

Innym razem na tem samem miejscu zasnął i długo spał spokojnie; w tem zbudził się, usiadł i zaczął się mocno wsłuchiwać.

Florcia spytała, czy mu się co śniło.

— Chcę wiedzieć, co ono mówi? Powiedz mi, Florciu, co mówi morze?

Odpowiedziała, że szumią fale i nic więcej.

— Tak, fale szumią; ale ja wiem, że zawsze coś mówią. Zawsze to samo gwarzą fale morza. A co tam nad falami?

Wstał i wpatrywał się we widnokrąg.

Florcia odrzekła, że tam brzeg przeciwległy. Ale nie o tem myślał. Myślał o tem, co było dalej, dalej, dalej...

Takie rozmowy powtarzały się. Czasem wśród ożywionej rozmowy ucinał i wsłuchiwał się w tajemniczy poszum fal morskich; potem wstawał i długo wpatrywał się w bezkresną dal horyzontu.

IX. Bieda z drewnianym miczmanem.

Młody Walter Gey, obdarzony z natury niemałym zasobem romantycznych skłonności, które w rozwoju swym nie spotkały żadnej przeszkody pod zacisznym dachem starego Salomona, ani na chwilę nie mógł zapomnieć o dziwnej przygodzie Florci z dobrą babką, panią Braun, a podniecony pociągiem do cudowności, wciąż o tem myślał, aż wreszcie z upływem czasu stało się to ulubionem zajęciem jego bujnej wyobraźni. Marzył on zwłaszcza o tym momencie, kiedy to los uczynił go główną osobą pamiętnego wydarzenia.

Wuj Sol i kapitan Kuttl swemi uwagami rozżarzali jeszcze bardziej kipiącą wyobraźnię młodzieńca. Godni przyjaciele co niedzielę uważali za swój prosty obowiązek niby przygodnie porozmawiać o Ryszardzie Wittingtonie, owym znamienitym bohaterze dziejów angielskich, który udał się do Indyi bez szeląga, z jednym kotem, a wrócił milionerem i, o cudo, trzykroć bywał lordem-majorem, prezydentem rady miejskiej. Na domiar kapitan Kuttl wynalazł starodawny poemat opiewający nie zmyślone, lecz prawdziwe zdarzenia, jakto pewien młody człowiek, węglarz, zakochał się w prześlicznej Peggi, która go też serdecznie pokochała, — i jak nareszcie młodzi ludzie pobrali się pomimo

srogich przeszkód ze strony ojca panny, znakomitego kapitana okrętowego. Ta zapalna historya, tak podobna do dziejów Waltera i Florci, wprawiała kapitana Kuttla w ogromny zapał we wszystkie rodzinne uroczystości, a szczególnie w dzień urodzin Waltera. Szedł wtedy do pokoju za sklepem, nucił swą ulubioną piosnkę i stopniowo się ożywiając, krzyczał wreszcie różnymi głosami, kończąc imieniem P-e-g-g-i każdą zwrotkę.

Tymczasem wesoły, prostoduszny Walter nie zdawał sobie sprawy ze swych uczuć. Bardzo polubił ulicę na brzegu rzeki, gdzie spotkał Florcię, gdzie szedł z nią, choć nic osobliwego nie miała. Wstrętne trzewiki chował w swym pokoju a wieczorami, leżąc w swem łóżeczku, tworzył fantastyczne wizerunki dobrej babki. Swoją drogą od owej pamiętnej przygody uważniej się ubierał i w chwilach swobodnych przechadzał się po ulicy, gdzie był dom pana Dombi, w nadziei spotkania Florci. Ale były to uczucia niewinne i nie przekraczały natury dziecinnej. Sześć lub siedm razy do roku młodzi ludzie kłaniali się sobie, spotkawszy się na ulicy.

Wikkem nie zwracała uwagi na tę znajomość, a panna Nipper była nawet rada spotkaniom. Czytała w oczach młodzieńca wyraz niezwykłej dobroci i była pewna, że ma dobre serce.

Tak Walter zamiast zapomnienia o swej znajomości z Florcią, jeszcze więcej do niej się zbliżył. Dziwny początek znajomości i różne drobne wydarzenia dały mu doskonały materyał do rojeń, w których Florcia wysuwała się na pierwszy plan. Co to z tego będzie? — myślał.

Nic, stanowczo nic. Ale nie byłoby od rzeczy, gdybym zaraz po pierwszem spotkaniu z Florcią wyjechał gdzieś daleko, do Indyi na przykład i przyjął służbę na wojennym statku. Spełniam cuda męstwa, biorę do niewoli tysiące wrogów, odkrywam nieznane wyspy, mówią o mnie w parlamencie, piszą w gazetach — i oto za lat pięć, dziesięć Walter Gey wraca do Londynu admirałem lub przynajmniej kapitanem pierwszej klasy. Florcia jeszcze będzie panną — ale jaką cudną panną! — ujrzy mnie w kwiecie lat, w błyszących szlifach, znamietym i sławnym — a choćby u pana Dombi kołnierzyk jeszcze wyżej sięgał i łańcuch dłużej zwisał, wezmę córkę, ożenię się i z tryumfem powiozę na którą z odkrytych wysp.“ Walter zazwyczaj wśród tych marzeń szedł prędko. Lecz wszystkie one rozbijały się w druzgi o miedziany szyld biura Dombi i Syna, a gdy kapitan Kuttl z wujem Salomonem śpiewali wiekuistą pieśń o Ryszardzie Wittingtonie i córce kapitana, Walter doskonale rozumiał skromne swe położenie w kupieckiem biurze. Dzień

upływał za dniem i Walter sumiennie i gorliwie pełnił swój prozaiczny obowiązek, rojąc fantastyczne zamki, wobec wspaniałości których bajki Salomona i Kuttla wydawały się skromnymi domkami. W okresie pipczyńskim Walter zmężniał, lecz zawsze odznaczał się tą samą prostodusznością, jaką poznaliśmy w ów wieczór, gdy wuj ze świecą poszukiwał w piwnicy starej madery.

— Co ci jest, wuju Sol? — pytał raz z troską Walter smutnego mistrza żeglarskich przyborów. — Nic dziś nie jadłeś i zdrowie twoje nietęgie. Może pójść po doktora, wujaszku?

— Nie pomoże doktór, kochanku. Nie znajdzie on dla mnie.....

— Czego, wuju? Kupców?

— To, to — odrzekł z westchnieniem Salomon. — Przydaliby się.

— Ach, mój mocny Boże! Patrzę na tych gapiów, którzy tuzinami snują się poprzed okna i radbym porwał którego za kołnierz, sprowadził do sklepu i zmusił do wyliczenia półsetki funtów gotówką za sprawunek. No i czego patrzysz, trutniu! — zawołał po cichu do starego pana, oglądającego teleskop. — Wytrzeszczył oczy i stoi. To wielka sztuka. Wejdź i kupuj, a ślepie już ja za ciebie wytrzeszczę.

Lecz stary pan zaspokoił ciekawość i wolniutko poszedł dalej.

— Znikł! Znikł, niecnota! Ufajże tu ludziom. Ale wiesz co, wuju. Nie godzi się poddawać smutkowi. Co robić. Posiedzimy nad morzem i zaczekamy pogody. Gdy pojawią się zamówienia, to będzie ich tyle, że przez lat sto nie wykończysz.

— Pewne to, że nie wykończę, mój drogi. Zamówienia nadejdą, gdy mnie w tym sklepie nie będzie.

— Nie marudź, wuju, proszę cię. Na co się przyda, gdy się będziesz smucił. Ej, wuju Sol! Niema zamówień, to pal je licho.

Salomon usiłował poweseleć i uśmiechając się, patrzał na swego bratanka.

— Wszakże nie stało się nic nadzwyczajnego, wuju Sol. Bądź szczery wobec mnie, nic nie kryj, jeśli spotkała cię jaka nieprzyjemność?

— Nie, nie, nie! Wszystko idzie, jak zwykle, naprawdę. Jaka nieprzyjemność, mówisz. Jakażby nieprzyjemność?

Walter nieufnie kręcił głową.

— Mówże z nim. Ja pytam jego, a on mnie. Słuchaj, wuju. Gdy widzę twą troskę, żal mi i przykro, że mieszkam z tobą.

Staruszek wpatrzył się w młodzieńca.

— Nie żartuję, wuju. Niema na świecie szczęśliwszego odemnie człowieka, gdy jestem z tobą, a mimo tego powtarzam: teraz i żal mi

i przykro, że z tobą mieszkam. Widzę, że coś ci dolega.

— Co robić, kochanku, czasami, jak wiesz, bywam taki nudny.

— Wiesz, co myślę? Gdyby tu w tym pokoju zamiast mnie siedziała słodziutka i cieplutka staruszka, żona twoja, rozumie się, twoja łagodna, cicha, miła żona, któraby znała twe upodobania, tobyś się tak nie smucił. Nalewałaby herbatę, przypominała dawne czasy, zanuciłaby piosenkę... Co? Nieprawda? A ja co ci pomogę? Kocham cię, prawda, ale to zawsze tylko krewny, a co więcej — pusty chłopiec, któremu nie warto powierzać trosk swych. Oto widzę, przykro ci, masz może jaką wielką biedę — a jakże pomogę? Jak pocieszę? Jak? — krzyknął Walter i uderzył w stół, że półmisek spadł na ziemię i stłukł się.

— Walu, poczciwy mój Walu. Gdyby w tej komnacie przed laty czterdziestu z czemś siedziała moja żona, nigdybym jej tak nie kochał, jak ciebie, drogie moje dziecko.

— Wiem, wuju, doskonale wiem o tem. Ale żonie wyjawiłbyś swe sekrety, bo ona umiałaby nieść ci ulgę. A ja nic nie wymyślę.

— Nie, nie. Co za sekrety. Żadnych przed tobą nie miewam.

— No, a więc o co chodzi? Opowiadajże, wuju.

Salomon Hils wciąż uparcie zapewniał, że nic się nie stało. Walter udał, że wierzy.

— Doskonale. Przestańmy o tem mówić. Czas mi do biura. Za dwie godziny uwolnię się i dowiem się do domu. Myślę, że będziesz zajęty. Ale pamiętaj wuju, że jeżeli mnie zwodzisz, to ci już nie uwierzę i nigdy nie będę ci opowiadał o młodszym panu Karker.

Salomon kiwnął głową i machnął ręką. Walter rozmyślając o możliwych i niemożliwych środkach zdobycia majątku, biegł do biur Dombi i Syna z troską i zakłopotaniem.

Wtedy nieopodal od City na rogu Biskupiej ulicy mieszkał przysięgły taksator, handlujący meblami, które rozrzucone były w malowniczym nieładzie po dużym sklepie. Tuziny krzeseł tuliły się do umywalni, które opierały się o plecy bufetów, a te znów towarzyszyły stołom jadalnym. Wszystko to cieśniło się w różnych kątach z niemałym efektem. Cokolwiek w głębi na ślubnem łożu, ozdobionem czterema kolumnami, uprzejmie ułożyły się półmiski, talerze, szklanki, kieliszki, czarki, karafki i inne naczynia bogatej uczty wraz z półtuzinem chochli i lampą, gotową najłagodniejsze światło miłości i braterskiej przyjaźni rozlać na całe wesołe towarzystwo biesiadne. Rzędy karnisz i wspaniałych stor, przemocą rozdzielonych z oknami, najmilej zdobiły barykadę komód, a bezdomny kobierzec, rozłączony nielitosną

dłonią z posadzką i dręczony w niedoli swej przejmującym wiatrem wschodnim, drgał i skręcał się w najgłębszej melancholii i wyrażał współczucie serdeczne rozdzierającym skargom fortepianów, codzień gubiących po jednej strunie, która pod oknem jęczała i wyła wskutek przedśmiertnych męczarni. Na domiar pan Brogli zgromadził w swym sklepie zbiór zegarów ściennych różnej ceny i dobroci, lecz zazwyczaj dobrze idących, choć obecnie wskazówki stanęły na zawsze, jak i finansowe sprawy ich dawnych właścicieli, którzy wraz z zegarami potracili drogocenne zwierciadła, odbijające teraz w magazynie z rupieciami ich ruinę.

Sam pan Brogli miał oczy łzawiące się, włosy twarde, postać krępą, niemały zasób roztropności i sprytu. Jak Maryusz na gruzach Kartaginy rozsiadał się na zwaliskach cudzego szczęścia wesoły i kontent z losu, zawsze mu przyjaznego we wszystkich zamiarach i zaczątkach. Niekiedy zaglądał do sklepu Salomona Hilsa zapytać o powodzenie wielce szanownego mistrza żeglarskich przyborów i Walter znał go o tyle, że kłaniał mu się grzecznie na ulicy. Znajomość z tandeciarzem Hilsa nie wiele dalej sięgała poza kapeluszową uprzejmość, to też Walter zdziwił się, gdy wierny swej obietnicy zabiegł z biura do sklepu i ujrzał pana Brogli w zadumaniu siedzącego w bawialni z rękami w kieszeniach.

— Jak się masz, wuju Sol! Jakże czujesz się teraz? — wołał Walter.

Staruszek siedział nieruchomo na drugim końcu stołu z okularami na oczach (nie na czole, jak zwykle) i w głębokiem zamyśleniu. Przy wejściu Waltera podniósł głowę i wskazał taksatora. Walter stropił się.

— Pan ma interes do mego wuja? — spytał.

Proszę się uspokoić. Niema nic ważnego.

Walter spoglądał zakłopotany to na handlarza starzyzny, to na wuja.

— Widzi pan, mam u pańskiego wuja mały dłużek trzysta siedemdziesiąt funtów sterlingów. Termin minął — a oto dokumenty. Trzeba z pańskiem pozwoleniem zrobić zajęcie.

— Zajęcie! — zawołał Walter, wodząc oczami dokoła pokoju.

— Tak — mówił słodki Brogli — niech się pan nie lęka. Opiszemy teraz przedmioty, nic nadto. Sami to zrobimy, zgodnie i cicho. Przyszedłem bez policyi, jak pan widzi. Obejdziemy się bez niej. Wszak mnie panowie znacie.

— Ach, wuju! — zaczął Walter.

— Miły Walu! Pierwszy raz Bóg zesłał na mnie to nieszczęście, a jestem stary i całe życie uczciwie spędziłem.

Z temi słowy zdjął okulary, bo nie było celu ukrywać wzruszenia, zasłonił oczy i zaszlochał. Walter pierwszy raz w życiu widział szlochającego starca. Skamieniał i nie mógł słowa wyrzec.

— Wujaszku, drogi wujaszku, nie płacz, na miłość Boską nie płacz! Uspokój się. Panie Brogli, co mam uczynić?

— Radziłbym poszukać jakiego przyjaciela i z nim pomówić.

— Właśnie. Dziękuję panu. Wujku, biegnę do kapitana Kuttl i w lot wracam.

Pan zaś zaopiekuj się staruszkiem z łaski swojej. Pocieszaj go. Nie rozpaczaj, wujaszku. Da Bóg, wszystko będzie dobrze.

I nie słuchając starca, wybiegł, wstąpił do biura usprawiedliwić niedomaganiem wuja swą nieobecność i popędził do mieszkania kapitana Kuttla. Kiedy tak mknął ulicami — wszystkie przedmioty wydawały mu się inne. Wozy ciężarowe, omnibusy, karety, dyliżanse, przechodnie — wszystko to popychało się, ruszało, turkotało, jak zazwyczaj; lecz bieda, która dotknęła drewnianego miczmana, rysowała je w jakiemś innem oświetleniu. Domy i sklepy były inne niż zazwyczaj i Walter na ścianach czytał wielkie litery dokumentu tandeciarza. Pan Brogli wdrapał się ze swym dokumentem na kopuły, które ku niebu dźwigały się jakoś

inaczej. Widnokrąg nawet odmienił się nie skutkiem chmur, lecz wskutek opisu ruchomości w sklepie mistrza żeglarskich przyrządów. Kapitan Kuttl mieszkał w pobliżu doków indyjskich na brzegu kanału, gdzie był most zwodzony dla okrętów towarowych. Stopniowe przejście od lądu do wody w miarę zbliżania się do rezydencyi kapitana Kuttla było dość zajmujące. Widok otwierały różnobarwne flagi restauracyi, a bezpośrednio za niemi szły sklepy z garderobą żeglarską: koszulami, kurtami, kapeluszami, spodniami z żaglowego płótna. Wnet potem zaczynały się kuźnie, gdzie niestrudzony młot od świtu do nocy walił w rozżarzone żelazo, tworząc kotwice i łańcuchy. Wnet ukazywały się domy z chorągiewkami ponad maszty bujającemi i z szyldami o sprzedaży bobu. A następnie kanały. Potem młyny. Potem znowu kanały, a dalej zbiorniki mętnej wody, zapchane okrętami. Jeszcze dalej w powietrzu woń wilgotnych desek, ruch handlowy zamieniał się ruchem masztów, wioseł, łódek. Grunt stawał się błotnisty i komunikacya niemożliwą. Następnie powietrze nasycało się zapachem rumu i cukru. Dopiero tu w całej okazałości odsłaniała się rezydencya kapitana Kuttla. Kapitan należał do rzędu tych wiekuiście jednakich, jakby z drzewa wystruganych ludzi, których wyobrazić sobie nie można bez ich uniformu.

Kiedy Walter zastukał, kapitan wytknął głowę z okna i zawołał: jak się masz, kochanku! Miał lśniący kapelusz ceratowy i granatową kurtkę, z pod której niby żagle sterczał gruby, wysoki kołnierzyk. Wszystko jak zwykle. W tem ubraniu Walter wśród miliona różnorodnych postaci odrazu wyróżniłby kapitana Kuttla, jak rzadkiego zamorskiego ptaka, u którego pióra wiecznie te same.

— Słuchaj, Walu, stukaj jeszcze i chwilę zaczekaj. Dzisiaj piorą. Stukaj głośno.

Niecierpliwy młodzian zaczął tak łomotać we drzwi, jak nikt jeszcze nigdy nie dobijał się do skromnego mieszkania kapitana.

— To już za ostro! — zawołał kapitan i w tej chwili ukrył głowę, jakby oczekiwał burzy.

Oczekiwanie okazało się usprawiedliwione. Za chwilę przybiegła do drzwi półwieczna wdowa z rękawami zawiniętymi, cała pianą okryta, a fartuchem od ukropu mokrym. Nie zwracając uwagi na Waltera, obejrzała najpierw młotek, a potem, patrząc na młodzieńca z góry do dołu, wyraziła zdziwienie, że młotek jeszcze cały.

— Kapitan Kuttl w domu — rzekł Walter z ugodowym uśmiechem. Widziałem go.

— Naprawdę? — pytała zajmująca wdówka — widziałeś go pan?

— Nawet z nim rozmawiałem.

— Nawet? Więc to tak? Bądź pan łaskaw oświadczyć kapitanowi wyrazy uszanowania od Mac Stinger i oznajmić, że skoro mu się podoba przez okno rozmawiać z gośćmi, proszę go, aby na przyszłość sam sobie drzwi otwierał.

— Spełnię polecenie pani, tylko racz mię pani wpuścić.

Wejście zamykała drewniana przegroda i Walter nie śmiał jej przeskoczyć, aby nie rozgniewać jeszcze bardziej wdówki.

— Jeśliś pan miał odwagę rozbijać drzwi — krzyczała gniewnie — możesz pan przeskoczyć przegrodę.

Walter przyjął te słowa za znak pozwolenia i przeskoczył. Pani Mac Stinger oburzyła się i wołała: od jak dawna prawo pozwala obrażać dom wolnej angielki i kto upoważnił byle jakich włoczęgów do wciskania się do jej domu? Ale Walter nie uznał za potrzebne odpowiadać na te zagadnienia i przez sztuczne mgły na schodach, spowodowane praniem, wbiegł do pokoju kapitana Kuttla, którego spotkał ukrytego za drzwiami.

— Nigdy nie byłem jej winien ani grosza — mówił z cicha — a ile dobrego zrobiłem dla niej i dla dzieci! A to dopiero wiedźma.

Jabym na pańskiem miejscu zmienił mieszkanie.

Niepodobna, niepodobna. Znalazłaby mnie za dwoma oceanami.

Siadaj, Walterze. Jak ma się Salomon?

Kapitan, nie zdejmując kapelusza, wziął się do obiadu, złożonego z zimnej baraniny, butelki porteru i kartofli, które zazwyczaj sam przypiekał w dużej rynce i z niej w miarę potrzeby wyciągał po sztuce. W pokojach małych unosiły się kłęby dymu tytoniowego, a meble stały w takim ładzie, jakby przed pół godziną było trzęsienie ziemi.

— Jak ma się Salomon? — powtórzył Kapitan.

Walter na to pytanie zaczął płakać, tak żywo stanął mu przed oczami cel wizyty.

— Ach, kapitanie — ledwie zdołał wyjąkać.

Niepodobna opisać przestrachu kapitana. Rzucił widelec i kartofle i z niewysłowioną trwogą patrzał na młodzieńca, jak gdyby Walter przyniósł wieść o rozgromie City, jak gdyby straszliwa otchłań połknęła starego druha wraz z kawową kamizelą, jasnymi guzikami, chronometrem, okularami i całym sklepem.

Lecz gdy Walter wyjaśnił rzecz, Kuttl po chwilowym namyśle zerwał się z krzesła i zamiotał się w niezwykłym popłochu. Odemknął komodę, wyjął z górnej półki blaszany czajnik i wysypał zapas gotówki: trzynaście funtów i półkoronę, włożył je w ogromną kieszeń

swego granatowego surduta, a potem do tegoż schroniska zasunął wyjęte ze szkatułki dwie łyżeczki, srebrne szczypce do cukru i wielki srebrny zegarek, co wszystko najpierw obejrzał starannie, żeby ocenić wartość. Wszystko to załatwiwszy, porwał gruby sękaty kij i ruszył z Walterem w drogę.

Ale choć tak się krzątał, przypomniał nareszcie, że pani Mac Stinger zapewne czeka od niego wyjaśnień. Zbliżył się niepewny do okna i ważył zamiar wyskoczenia wprost na bruk, żeby we drzwiach nie natknąć się na straszliwego wroga. — Po chwili wymyślił sprytny podstęp.

— Słuchaj, Walu — idź naprzód i schodząc ze stopni, zawołaj w głos: Bądź zdrów, kapitanie Kuttl, potem zamknij drzwi. Wyszedłszy, stań na ulicy za domem i zaczekaj. Wnet nadejdę.

Gdy Walter schodził, pani Mac Stinger w istocie skradała się z kuchni, lecz nie widząc wbrew nadziei lokatora, zadowoliła się wyrzutem za stukanie i nazad cofnęła się do swej zasadzki.

Z pięć minut upłynęło, zanim Kuttl odważył się na ucieczkę i Walter już się zaczął niecierpliwić, nie widząc ani śladu błyszczącego kapelusza. Wreszcie dzielny rycerz nagle z chyżością kuli wypadł z bramy i bystrym marszem biegł, nie oglądając się za siebie.

Opamiętał się dopiero wówczas, gdy znalazł się koło Waltera, nawet zaczął nucić jakąś śpiewkę.

— No i co, Walu, ja myślę, wuj Sol cokolwiek.... tego....

— Ach, gdyby go pan widział dziś rano! Nigdy nie zapomnę tej okropnej sceny. Boję się...

Kapitan Kuttl milczał przez całą drogę, dopóki nie doszli do drewnianego miczmana.

— Hils! — zawołał kapitan serdecznie ściskając dłoń zasmuconego druha — głowa do góry — popłyniemy pod wiatr! Oto wszystko, co ci powiem, przyjacielu; głowa do góry i popłyniemy przebojem.

Stary Sol nawzajem uścisnął mocno dłoń dobrego przyjaciela i dziękował za radę.

Wtedy kapitan z należytą powagą wyładował z kieszeni parę łyżeczek, szczypczyki do cukru, srebrny zegarek i gotówkę. Wszystko położył na stole i zwrócił się z zadowoloną miną do pana Brogli.

— I cóż pan na to, panie taktsatorze?

— Czy pan na seryo myślisz, że wszystkie te drobiazgi coś warte?

— A dla czego nie?

— A dla tego, że pański szanowny przyjaciel winien z górą trzysta siedmdziesiąt funtów sterlingów.

— Taka sprawa! Trzysta funtów! Ale i to przecież coś warte — każda ryba coś warta, gdy się łowi na wędkę, jak mówi przysłowie.

— Jest jeszcze lepsze przysłowie: kura nie ptak.

Ta filozofia zwyciężyła kapitana. Spojrzawszy na strasznego przeciwnika, jak na Mefista, w milczeniu chodził po pokoju, a wreszcie machnąwszy ręką, odezwał się:

— Hils! jak mogłeś tak dać się złapać! Kto tu właściwy wierzyciel?

— Cicho, cicho! Chodźno tu. Trzeba to utaić przed Walterem. To widzisz ręczyłem za jego ojca, dawno ręczyłem. Dosyć już wypłaciłem, ale oto nastały ciężkie czasy i sił zabrakło. Prawdę mówiąc, wszystko to przewidziałem, ale cóż robić. Nie mów ani słowa Walterowi.

— Ale zdawało się, że u ciebie są grosze.

— No tak, tak — cokolwiek uciułałem, ale z tej sumy nie można wziąć ani szeląga. Jam widzisz postarzał, a Walterowi potrzeba pieniędzy. Wszak nie pójdzie z torbami, gdy mnie nie stanie. O tych pieniądzach ani słówka! Tak jakby ich nie było. Ale ich u mnie i niema. Ot, nakłamałem ci, stary głupiec! Jakie tam pieniądze!

Dziko wodził oczami po pokoju, jak kutwa, który zupełnie zapomniał, gdzie schował skarb.

— Postarzałem się, czas mię wyprzedził. Późno już go dopędzać i nie warto. Sprzedam to wszystko, spłacę dług i pójdę gdzie złożyć stare kości. Duch we mnie osłabł, siły opuściły i czuję zanik władz duchowych. Lepiej odrazu

z tem skończyć — i basta! Niech bierze instrumenty, niech zabiera i jego — ukazał z wysiłkiem na drewnianego miczmana — minęły nasze dni jasne. Prawdę mówiąc — dosyć żyliśmy. Czas kościom na spoczynek.

— Co ci to, przyjacielu, co ci! — upominał kapitan. — Jakże tak Waltera zostawisz? Zapomniałeś! Poczekaj-no, niech pomyślę za ciebie. A, bierz cię licho, nie myślałbym ja, gdyby pensya była większą. Rzecz w tem: głowa do góry na wiatr — i wszystko pójdzie jak po maśle.

Stary Sol dziękował. Kapitan szybkim krokiem zaczął przemierzać pokój, zsunąwszy brwi ku nosowi i lewą rękę trzymając z tyłu. Walter nie śmiał drgnąć, lękając się przerwać toku głębokich myśli. Przeciwnie pan Brogli spacerował po sklepie i gwiżdżąc jakąś wesołą aryę, przeglądał teleskopy, barometry, dotykał kompasów, magnesowych igieł i usiłował okazać swoją znajomość budowy i używania przyrządów.

— Walu, teraz wiem, co robić — zawołał Kuttl.

— Naprawdę?

— Chodźno tu kochanku. Sklep to jedna gwarancya, moje rzeczy — druga. Twój admirał da nam pieniędzy.

— Kto, pan Dombi? — pytał Walter zbladłszy jak płótno.

Kapitan kiwnął głową i ukazał Salomona.

— Spójrz-no uważniej, kochanku, na niego Jak on wygląda. Jeżeli sprzeda wszystkie te rzeczy, niezawodnie umrze. Ja go znam. Powinniśmy wszelkich środków użyć, aby go ratować.

— Ale do pana Dombi? Ach, mój Boże! — jęknął Walter.

— Biegaj najpierw do biura i dowiedz się, czy jest! Żywo.

Wygląd wuja ostatecznie skłonił młodzieńca do usłuchania rady kapitana. Pobiegł pędem i za kilka minut wrócił ze smutną wieścią, że pana Dombi niema ani w domu ani w biurze. Była sobota i wyjechał do Brajton.

— Pojedziemy zatem do Brajton. Sam ci będę towarzyszył. Jedziemy po obiedzie w pierwszym dyliżansie.

Przy całym swym szacunku dla kapitana, Walter musiał zrezygnować z jego gotowości, myśląc nie bez racyi, że pan Dombi, groźny i straszny Dombi, niewieleby sobie cenił rekomendacyę poczciwego żeglarza. Ale wstrzymał się od wszelkich uwag. Pożegnawszy się z Salomonem, kapitan napowrót ułożył w swej kieszeni gotówkę, łyżeczki, szczypce i zegarek srebrny z oczywistym zamiarem — jak z przerażeniem domyślał się Walter — wywołać tem piorunujące wrażenie na pana Dombi i natychmiast pobiegł do dyliżansu, wciąż powtarzając

po drodze, że na chwilę nie opuści swego Waltera.

X. Skutki biedy z drewnianym miczmanem.

Często, długo i pilnie major Bagstok obserwował na książęcej łące Pawełka przez binokle. Sługa jego nawiązał w tym celu stosunek z pokojową panny Toks i zdawał panu codzienne, tygodniowe i miesięczne raporty. Owocem dociekań było postanowienie zaznajomienia się z panem Dombi, a rozumie się stary Józef, gdy zechciał, mógł zawrzeć znajomość nawet z czartem.

Miss Toks trzymała się zdala i zimno uchylała się od wszelkich wyjaśnień, ilekroć dzielny rycerz ze zwykłym sprytem potrącał o plan swój. Pomimo wrodzonej przebiegłości i wynalazczości niełatwo mu było znaleźć sposób urzeczywistnienia chytrych zamiarów, aż zdecydował się puścić żagle na wiatr, który — jak mawiał w klubie, bywał uniżonym sługą staruszka Józia od chwili, gdy brat jego starszy umarł na żółtą febrę w Indyach.

W istocie uniżony sługa, choć nie rychło, nie zawiódł i tym razem oczekiwań swego władcy. Kiedy lokaj raz oznajmił, że panna Toks udała się do Brajton w sprawach pana

Dombi, duszę majora ogarnęło nagle czułe wspomnienie przyjaciela Bila Biterstona, który z Bengalii listownie prosił o odwiedzanie jedynaka w Brajtonie. Na wieść o tem, że Paweł przebywa w zakładzie pani Pipczyn, major znalazł powód zaznajomienia się z całą rodziną bogatego negocyanta. Na nieszczęście dostał ataku silnej podagry. Pierwszej następnej soboty jednak major Bagstok jechał w towarzystwie swego czarnego sługi do Brajton. Całą drogę sam ze sobą rozmawiał o miss Toks w przeczuciu zwycięstwa nad znakomitym przyjacielem, z powodu którego został opuszczony i którego panna Toks tak tajemniczo ochraniała. W czasie przechadzki z Biterstonem poszukiwał pana Dombi z dziećmi.

Otrzymawszy od pani Pipczyn wskazówki, major dostrzegł zdala Pawła i Florcię z dostojnym dżentlmenem, w którym łatwo było poznać ojca. Biegł ku nim pełnymi żaglami i wetknął Biterstona w sam środek małej eskadry, tak, że biedny męczennik pani Pipczyn musiał zacząć rozmowę ze współlokatorami.

Major stanął i rozkoszując się widokiem dzieci, przypomniał, że miał przyjemność widzieć je i rozmawiać z niemi na książęcej łące u swej miłej sąsiadki panny Toks. Zauważył przytem, że Paweł na podziw mądry chłopczyna i spytał, czy nie pamięta swego starego przyjaciela Józefa Bagstoka, majora; nie cze-

kając na odpowiedź, zwrócił się do pana Dombi.

— Powinienbym nasamprzód złożyć panu swój najgłębszy szacunek. Ale co robić? Mój mały przyjaciel czyni mnie dzieckiem. Stary wiarus, panie, major Bagstok, do usług pańskich — nie wstydzi się do tego przyznać, zwłaszcza przed panem, najszczęśliwszym z ojców.

Tu zdjął kapelusz i nizko się skłonił.

Bierz mię licho — zawołał — zazdroszczę panu, bardzo zazdroszczę.

Tu chwilę się namyślał i dodał: daruje pan staremu wiarusowi ton zbyt poufały.

Pan Dombi oznajmił, że nic to mu nie szkodzi.

— Stary służbista — ciągnął major — okopcony dymem, zahartowany w bitwach, spalony od słońca, sterany latami, zgrzybiały pies inwalidów, major Bagstok, panie, spodziewa się, że nie potępi go taki szanowny i znakomity mąż, jak pan Dombi. Wszak mam szczęście mówić z panem Dombi?

— Nie inaczej. Mam honor być niegodnym przedstawicielem tej rodziny, panie majorze.

— Ród, o, jaki ród! Dombi — znany w całej Anglii. To, panie, takie nazwisko, które znają i ze czcią wymawiają we wszystkich angielskich koloniach. Tak, panie — Dombi —

przedni ród. Mógłbym dowieść tego pisemnie nawet drukiem. O, panie, pióro moje rzutkie: wszystko udowodni. Nazwisko Dombi trzeba wymawiać ze czcią i dumą. Józef Bagstok nie schlebia i schlebiać nie umie. Jego królewska wysokość książę Yorku nieraz mawiał, że major Bagstok szczery człek, zawsze prawdą żyje. Tak, panie, prawdę cenię nad wszystko, za nią w ogień i wodę skoczę. Dombi! Dombi! To są, mówię panu, wielcy ludzie, niech mnie Bóg skarze, wielcy i starożytnego rodu.

— Jesteś pan zbyt łaskaw, panie majorze — bronił się pan Dombi. Rodzina nasza nie zasługuje na to uznanie.

— Nie, panie, oto i mały mój przyjaciel poświadczy, że major Bagstok człowiek szczery. Pański synek — dodał ciszej — przejdzie do historyi. Chłopczyk ten, mówię panu, to wielkie dzieło. Strzeż go pan, panie Dombi, jak źrenicy oka.

Pan Dombi zauważył, że zna swe obowiązki względem syna.

— A oto, panie — ciągnął major, trącając laską młodego Biterstona — przedstawiam tego chłopczyka. Syn Biterstona z Bengalu. Ja i jego ojciec — to dwaj przyjaciele. Służyliśmy w jednym pułku. Gdziekolwiek byliśmy, wszędy głośno było o Bilu Biterstonie i Józefie Bagstoku. A spojrzyj pan na niego: głupi, kom-

pletnie głupi! Myśli pan, że nie widzę jego braków? Doskonale widzę.

Pan Dombi spojrzał na oskarżonego, o którym wiedział tyleż, co i major i zawołał łaskawie:

— Czy być może?

Mówię panu — to bity jołop. Józef Bagstok nigdy nie był ani pochlebcą ani oszczercą ludzi bezbronnych. Syn mego starego przyjaciela Bila Biterstona z Bengalu tuman z natury, panie.

Tu major rozśmiał się tak, że twarz jego zczerniała z wysiłku.

— Mój mały przyjaciel niewątpliwie zacznie studyować nauki?

— Jeszczem nie zdecydował. Zresztą nie myślę. Zbyt ma wątłe zdrowie.

To co innego. Skoro tak słaby, niema mowy o publicznej szkole. Szkoła wymaga żelaznego zdrowia, spiżowych piersi. Tam bez litości męczą biedną dziatwę. Bywało — pieczono nas na małym ogniu i wieszano z trzeciego piętra do góry nogami. Jaś Bagstok przebrnął przez ogień i wodę: wszystko wie, wszystkiego doznał. Ujmą go za pięty i powieszą z okna: wisi biedactwo minut trzynaście, nawet więcej.

Na dowód major Bagstok mógł wskazać swoje zupełnie sine oblicze.

Ale też powyrastały z nas zuchy — ciągnął. — My, co się zowie, byliśmy z żelaza i kuli nas bez litości. Pan tu długo zabawi, panie Dombi?

— Zazwyczaj bywam tu raz na tydzień w niedzielę i staję w hotelu „Bedford".

— Będzie mi bardzo miło odwiedzić Bedford, jeżeli pan pozwoli — rzekł major. — Stary Józef wogóle nie lubi narzucać się ze znajomością, ale imię pańskie, panie Dombi, nie jest pospolite. Bardzom wdzięczny małemu przyjacielowi, że dał mi sposobność zaznajomienia się z panem.

Pan Dombi odpowiedział uprzejmie. Major Bagstok pogłaskał Pawła po główce i zwróciwszy się do Florci, wyraził nadzieję, że oczęta jej niebawem zaczną o szaleństwo przyprawiać młodzieńców i starców. Następnie trącił młodego Biterstona i pomknął z nim, kaszląc i podrygując z godnością, jak człowiek, który umiał się znaleźć.

Wierny słowu, stawił się u pana Dombi, a pan Dombi, przejrzawszy spis oficerów, odwzajemnił się. Wnet major odwiedził pana Dombi w Londynie i następnej soboty jechał z nim do Brajton w jednej karecie.

Słowem pan Dombi i major wkrótce ocenili się nawzajem i zbliżyli. Pan Dombi zauważył, że major przedziwny człowiek; nadto doskonale

zna sprawy wojskowe, lecz wybornie i te, które z wojskowością nic nie mają wspólnego.

Po niejakim czasie pan Dombi zawiózł do dzieci pannę Toks i panią Czykk. Major znów był w Brajton. Pan Dombi zaprosił go do Bedford, winszując pannie Toks znajomości. Serce uroczej panny Toks zabiło silniej, co zresztą czyniło ją jeszcze bardziej zajmującą, osobliwie gdy major w czasie przyjęcia zaczął gorzko ubolewać, że porzuciła Książęcą Łąkę, gdzie była słońcem dla serc czułych.

Major widocznie doznawał rozkoszy, omawiając tę sprawę. Mówił przez cały czas obiadu i równocześnie jadł za czterech różne przysmaki, które rozżarzały potoki jego wymowy. Pan Dombi, zawsze jednako zimny, słuchał tej wymowy z nietajoną przyjemnością, a major czuł, że olśniewa. Świadom swego daru, mówca stopniowo się ożywiał i wynalazł przynajmniej ze dwa tuziny nowych epitetów do swego imienia. Słowem prześcignął sam siebie i zachwycił całe towarzystwo. Po obiedzie zaczęto wista a po rozegraniu długiego robra major pożegnał znamienitą rodzinę i pan Dombi, odprowadzając miłego gościa, jeszcze raz zwrócił się z komplementem do panny Toks, która się jak mak zapłoniła, pochylając głowę ku ziemi.

W powrocie major rozmawiał ze sobą i powtarzał wciąż: „sprytnyś, bracie, staruszku Józiu, dyabelnie sprytny.“ Gdy się znalazł

u siebie, porwał go paroksyzm śmiechu tak potworny i straszny, że czarny sługa posądzał go o pomieszanie zmysłów. Cała postać a zwłaszcza twarz, głowa napęczniały i wydawały się zdumionym oczom wielką kulą indygowej farby. Powoli śmiech histeryczny przeistoczył się w paroksyzm kaszlu, a gdy i ten minął, major zaczął wykrzykiwać:

A co, wieleś pani zrobiła? Chciałaś zostać panią Dombi? Czy nie tak? Cha, cha, cha! Zwolna, dobrodziejko, zwolna. Stary Józef zahamuje koło pani, zahamuje! Teraz porachowaliśmy się. Nie powiodło się pani zwieść Józia. Chytraś ty dobrodziejko, bardzo chytra, lecz staruszek Józef chytrzejszy! Dużośmy rzeczy w życiu widzieli, a teraz nie zasypiamy gruszek w popiele. Stary się ocknął i bystro patrzy...

W istocie oczy majora pękały niemal od wysiłku. Przez całą noc szalał prawie: krzyczał, śmiał się, kaszlał, stukał i budził ludzi ze snu.

Nazajutrz w niedzielę, kiedy pan Dombi, pani Czykk i panna Toks byli przy śniadaniu i rozmawiali o wczorajszym gościu, wbiegła Florcia z zarumienioną twarzyczką i oczami, błyszczącemi radośnie.

— Tatusiu, tatusiu — wołała — Walter tu, lecz nie śmie wejść.

— Kto? — Co to znaczy? O kim mówisz?

— Walter, ojcze — dodała ciszej, stropiona surową miną ojca. — Ten sam, który znalazł mię, gdym zginęła.

— To zapewne młody Gey, Luizo — gniewnie odezwał się pan Dombi, chmurząc brwi. — Zachowanie się tej dziewczyny wcale mi się nie podoba. Czyż naprawdę pamięta Geya? Dowiedz się, co to tam takiego.

Pani Czykk podążyła do przedpokoju i za chwilę wróciła z oznajmieniem, że młody Gey z jakimś dziwacznym panem są tam. Gey powiada, że nie śmie wejść, dowiedziawszy się, iż pan Dombi śniada. Zaczekają.

— Niech chłopiec natychmiast wejdzie — rzekł pan Dombi. — Co ci potrzeba, Gey? Po co cię przysłali? Czy prócz ciebie niema tam komu przyjechać?

— Daruje pan — nikt mnie nie przysłał. Ośmieliłem się przybyć we własnej sprawie; spodziewam się, że mi pan wybaczy, gdy się dowie, co mię sprowadza.

Lecz pan Dombi, nie zwracając uwagi na te słowa, niecierpliwie rozglądał jakiś przedmiot za Walterem.

— Co tam takiego? — rzekł w końcu. — Kto to z panem, młodzieńcze? Hej, panie! Pan zdaje się nie tam wszedł, gdzie trzeba. Trafiłeś pan do innych drzwi.

— Bardzo mi przykro, że nie sam trudzę pana, lecz to.... to kapitan Kuttl....

— Nie trać odwagi, Walterze! Nie trać odwagi! — dodał kapitan.

W tej chwili z poza Waltera wysunęła się naprzód dziwna postać w granatowej kurtce i wysokim kołnierzyku. Kapitan elegancko ukłonił się panu Dombi i z szykiem machnął przed damami sękaczem, lewą ręką podtrzymując ceratowy kapelusz, od którego na czole znaczyły się pręgi nakształt czerwonego równika.

Pan Dombi z podziwem i oburzeniem oglądał tę figurę a równocześnie wzrokiem porozumiewał się z panią Czykk, jak gdyby badając, po co wpuściła tego stracha na wróble. Pawełek wszedł za Florcią, stanął pomiędzy miss Toks i kapitanem, jakby chciał bronić dozorczyni od napaści kapitana, machającego sękatym kijem.

— Mówże, młodzieńcze — ozwał się pan Dombi — czego ci trzeba?

— Boję się — zaczął drżącym głosem Walter — że uznasz pan prośbę moją za zuchwałą, ale muszę zwrócić się z nią do pana. Możebym się na to nigdy nie ośmielił, gdyby nie spotkanie z miss Dombi i....

— Bez wstępów — zauważył pan Dombi, śledząc oczami Florcię, która życzliwym uśmiechem zachęcała młodzieńca — mów wprost, czego potrzebujesz.

— To właśnie, doskonale! — powtórzył kapitan. — Mów wprost, Walu, czego ci potrzeba.

Gdyby kapitan widział, jakiem spojrzeniem obdarzył go pan Dombi, gdyby to był widział! Ale na szczęście szanowny przyjaciel mistrza żeglarskich instrumentów nie dostrzegł nikogo zgoła i zwrócony do pana Dombi przymknął lewe oko, dając poznać, że młody człowiek jeszcze onieśmielony, co wnet minie.

— Sprowadziła mnie tu, proszę pana, sprawa prywatna, mnie wyłącznie dotycząca. I kapitan Kuttl....

— To ja! — zawołał kapitan na znak, że już nie opuści młodzieńca.

Kapitan Kuttl, człowiek bardzo dobry i stary przyjaciel mego wuja, był tak dobry, że chętnie przyjechał ze mną, a ja nie mogłem żadną miarą odmówić....

— Tegoby tylko brakowało! — dodał kapitan wyrozumiale — naturalnie nie mogłeś. Dobrze, Walterze, mów dalej....

— I dla tego, proszę pana, dla tego musiałem przyjechać z panem Kuttl, aby powiedzieć, że wuj mój znajduje się w rozpaczliwem położeniu. Sklep jego blizki bankructwa, a on nie może uiścić długu według rachunku, który uzyskał prawo egzekucyi. Mają w sklepie spisywać ruchomości. Pewnie wszystko straci i nie przeżyje nieszęścia. Tymczasem, proszę pana, zna pan mego wuja, jako człowieka prawego i zacnego. Gdyby pan był łaskaw

dopomódz nam w tej ostatecznej biedzie, nigdybyśmy nie zapomnieli dobrodziejstwa.

Walter się rozpłakał. W oczach Florci też błysnęły łzy, i ojciec dobrze to spostrzegł, choć z pozoru patrzał tylko na Waltera.

— Suma bardzo znaczna — ciągnął młodzieniec — ponad trzysta funtów. Wuj mój upadł na duchu i nic nie jest w stanie przedsięwziąć. Nie wie nawet, że w tej chwili mówię z panem. To wszystko, proszę pana — i teraz jak pan widzi, los nasz zupełnie w pańskich rękach. Rozumie się, iż nie mamy prawa do pańskiej dobroci; ale... ja doprawdy nie wiem... lecz zdaje mi się, nawet prawie jestem pewny, że inne pretensye nie obciążają majątku mego wuja, i kapitan Kuttl ze swej strony udziela swoich gwarancyi. Co się mnie tyczy, ja . . . nie mogę . . . nie śmiem . . . moja pensya mała . . . lecz jeśli pan pozwoli . . . oszczędność . . . praca . . . z czasem . . . jakoś . . . mam nadzieję . . . wuj mój znany i prawy starzec . . . jeszcze parę słów bez związku i Walter utknął, pochyliwszy głowę, ze drżeniem czekając rozstrzygnięcia swego losu. Ta chwila wydawała się kapitanowi Kuttl najodpowiedniejszą do okazania walorów. Żbliżył się do stołu, przy którym jadł pan Dombi, rozgarnął i oczyścił między talerzami, ile trzeba było, miejsca, wydobył srebrny zegarek, gotówkę, łyżeczki, szczypce do cukru i wszystko to kunsztownie

ułożywszy, żeby się wydawało efektownie, ozwał się temi słowy:

— Lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew na sęku, mówi przysłowie. Otóż ci i wróbel, panie mój! A do tego roczna moja pensya, setka funtów sterlingów — także do usług. Niema na świecie większego łepaka — to panu mówię — nad Salomona Hilsa. Niema na świecie młodzieńca, którego przyszłość byłaby taką obiecaną ziemią, mlekiem i miodem płynącą, jak oto — mówię panu, ten kuzyn starego Sola.

Wygłosiwszy tę przemowę, kapitan usunął się na dawne miejsce i zaczął przygładzać włosy jak człowiek, który szczęśliwie spełnił trudne zadanie. Gdy Walter przestał mówić, oczy pana Dombi zwróciły się na Pawełka, który tymczasem pilnie spoglądał na Waltera i ojca, usiłując pocieszyć siostrę, zasmuconą niewesołemi nowinami. Florcia po cichutku płakała. Po mężnem wystąpieniu kapitana, przyjętem przez pana Dombi z najwyższą oziębłością, znów oczy jego spoczęły na synu.

— W jaki sposób Hils doszedł do takiego długu? — spytał wreszcie pan Dombi. — Kto jest właściwym wierzycielem?

— On tego nie wie — wtrącił kapitan, kładąc rękę na ramieniu Waltera. — Ja to wiem. Jest to poręczenie za przyjaciela, teraz już nie żyjącego, które Hilsa kosztowało wiele

setek funtów. Szczegóły mogę podać na osobności.

— Ludzie z małem mieniem — mówił pan Dombi, wciąż patrząc na syna i nie zwracając uwagi na tejemnicze znaki kapitana Kuttla — muszą zajmować się wyłącznie własnemi sprawami i nie gmatwać swych interesów nierozumnemi poręczeniami za innych. Jestto i ryzykowne i niepoprawne, bardzo ryzykowne nawet dla bogatego. Pawle, chodźno tutaj.

Gdy dziecko podeszło, pan Dombi wziął go na kolana.

— Gdybyś miał teraz pieniądze ..... Ale patrzajże na mnie.

Paweł, którego oczy utkwione były w siostrę i Waltera, zwrócił je na ojca.

— Gdybyś teraz miał tyle pieniędzy, ile trzeba dla Waltera, cobyś uczynił?

— Oddałbym je staremu wujowi — odrzekł Paweł.

— To znaczy, pożyczyłbyś je — poprawił pan Dombi. — Dobrze. Dość już podrosłeś, żeby módz rozporządzać memi pieniędzmi. Zaczniemy interesa załatwiać razem.

— Dombi i Syn — przemówił Paweł, dawno znając znaczenie tych słów.

— Dombi i Syn — powtórzył ojciec. — Zacznij zatem być Dombi i Synem. Chcesz pożyczyć pieniędzy wujowi młodego Geya?

— Chcę, chcę, tatusiu. I Florcia też chce.

— Dziewczęta — zauważył pan Dombi — nie mają nic do czynienia u Dombi i Syna. — Czy chcesz sam?

— O, tak, chcę, ojcze!

— A zatem dasz mu je. Widzisz teraz, Pawle, jak potężny jest pieniądz, a jak słaby człowiek bez grosza. Młody Gey z rozpaczą jechał tu po pieniądze, a ty, człowiek bogaty, wielki, posiadając pieniądze, okazujesz mu łaskę i dobrodziejstwo.

Pawełek słuchał uważnie i patrzył na ojca, jak sędziwy starzec, pełen głębokich myśli i zadumań; lecz twarzyczka jego w lot poweselała i stała się dziecinną, gdy zeskoczył z kolan ojca i pobiegł do Florci z radosną wieścią, że Walter zaraz dostanie pieniądze a zatem niema czego płakać.

Tymczasem pan Dombi zwrócił się do stołu i zaczął pisać. Wtedy Paweł i Florcia pocichu zaczęli rozmawiać z Walterem, a kapitan Kuttl spoglądał na prześliczną grupę śród takich myśli, o jakich nie marzył wyniosły przedstawiciel znakomitej firmy. Gdy notatka była gotowa i zapieczętowana, pan Dombi wezwał Waltera i rzekł:

— Jutro rano proszę to oddać panu Karkerowi, a on zarządzi, żeby wuj pański wyzwolił się z biedy, uiściwszy należność. Równocześnie trzeba ubezpieczyć zwrot sumy w zwy-

kły sposób. Proszę pamiętać, że wszystko to czyni Pawełek.

Walter, pełen radosnych uczuć, chciał dziękować, lecz wstrzymał go pan Dombi.

— Proszę pamiętać, że wszystko to zrobił Pawełek. Wyjaśniłem mu istotę sprawy i zrozumiał. Ani słowa więcej.

Wskazał drzwi. Walter skłonił się i wyszedł. Gdy za nim miał wyjść kapitan Kuttl, panna Toks, która przedtem wylała potoki łez ze swą przyjaciółką, zawołała do pana Dombi.

— Przebacz, o najwspanialszy ze śmiertelnych, ach, przebacz mi! lecz w porywie najszlachetniejszej szczodrobliwości wielkiej swej duszy przeoczyłeś niektóre drobiazgi....

— Jakie, panno Toks?

— Ten jegomość, co z laską... pozostawił na stole, koło łokcia...

— Boże święty! — rzekł pan Dombi, zmiatając mienie kapitana, jak okruszyny chleba — Zabierz pan stąd te rzeczy. Jestem pani obowiązany, panno Toks: zawsześ pani przezorna. Hej, panie, zabieraj pan stąd te rzeczy!

Kapitan Kuttl usłuchał. Włożył do jednej kieszeni łyżeczki i szczypczyki, do drugiej gotówkę i srebrny zegarek i z milczącem zadziwieniem patrząc na bezinteresownego dobroczyńcę w porywie serdecznym porwał prawą rękę pana Dombi w swoją lewą i tak ją nacisnął laską swą, że pan Dombi zadrżał od tego potężnego

dotknięcia. Nareszcie zręcznie defilując przed damami, z największą uprzejmością ucałował kilkakrotnie swą laskę, pożegnał się specyalnie z Pawełkiem i Florcią, którzy wyszli za Walterem z pokoju. Florcia pobiegła z prośbą o pozdrowienie staruszka Sol, lecz pan Dombi surowo ją upomniał.

— Czy ty nigdy nie staniesz się Dombi, moja droga — skarżyła się pani Czykk.

— Cioteczko, nie gniewaj się; ja już doprawdy nie wiem, jak dziękować kochanemu tatusiowi.

Biedne dziecko! Jakże chętnie uściskałaby go, lecz nie mając odwagi, stała na środku pokoju i wdzięcznie nań spoglądała. Pan Dombi czasem rzucał okiem na wzruszoną córkę, lecz głównie patrzał na Pawełka, który przechadzał się po pokoju z wrażeniem własnego znaczenia na myśl, że oto pieniędzmi obdarzył młodego Geya.

A co się działo z Walterem?

Biegł do wuja z miłą wieścią i nie posiadał się z radości, że jutro do południa uwolni mieszkanie starego Sola od różnych przysięgłych taksatorów. Jutro mistrz instrumentów zeglarskich znów zasiądzie spokojnie z kapitanem Kuttlem i odczuje, że drewniany miczman — to jego własność, znów zacznie budować zamki na lodzie z wiernym przyjacielem, który złożył tak niezbite dowody przyjaźni. Z tem wszystkiem

Walter przy całej swej wdzięczności dla pana Dombi czuł mocno swe upokorzenie. Gdy wicher nieprzewidzianie z korzeniem wyrywa rozkwitające nadzieje, wtedy i zwłaszcza wtedy wyobraźnia rysuje w całej krasie rozkoszne kwiaty, o mało nie rozkwitłe przy korzeniu, nagle niepowrotnie zniszczone. Walter ujrzał, że ten nowy wypadek rozwarł niezmierną przepaść pomiędzy nim a rodziną Dombich; pojął, że dawne dzikie rojenia w proch się rozsypały; zarazem pojął, że kiedyś w odległej przyszłości mogłyby stać się rzeczywistością, strojną we wszystkie blaski szczęścia i miłości.

Kapitan widział sprawę inaczej. Podług niego od ostatniego spotkania Waltera z Florcią do prawdziwych zaręczyn — był krok tylko i w życiu młodego Geya powtórzy się historya Ryszarda Wittingtona, sławnego londyńskiego lorda majora. Wtem przeświadczeniu, radując się wesołym nastrojem starego przyjaciela, trzykrotnie jednego wieczoru śpiewał ulubioną balladę, nawet ze zmianami o tyle, że zamiast heroiny poematu użył imienia Florci. Długo i głośno śpiewał kapitan Kuttl i zapomniał zdawało się zupełnie o tem, że czas było pożegnać się i wracać na noc do strasznego domu Mac Stinger.

XI. Pawełek występuje na scenę.

Organizm pani Pipczyn był silny i nie było żadnych oznak, żeby się miały spełnić smutne wróżby Wikkem. Jak zwykle spożywała tłuste kotlety, krzepiąc się do łóżka słodkiem ciastkiem — i była zdrowa. Ale że Paweł zawsze okazywał jednakie usposobienie dla starej ledi, Wikkem trwała przy swej przepowiedni. Radziła też po przyjacielsku pannie Berry przygotować się zawczasu do strasznej chwili. Biedna panna Beryntia brała to do serca i codzień zapracowywała się, jak niewolnica w tem przekonaniu, że pani Pipczyn najczcigodniejsza dama na świecie i godzi się na jej ołtarzu składać niezliczone ofiary. Takie oddanie się kuzynki i pamiętny zgon małżonka w peruwiańskich kopalniach sprzyjały wysoce podniesieniu dostojeństwa pani Pipczyn — więc też wszyscy — znajomi i sąsiedzi zgodnie wołali, że dama to cudowna w każdym względzie.

Niedaleko od zakładu żył pewien kupiec, handlujący materyałami spożywczymi, u którego pani Pipczyn brała zwykle na książeczkę różne towary do śniadań i herbat. Z przyczyny tej książeczki w czerwonej okładce, bardzo brudnej, odbywały się od czasu do czasu między panią Pipczyn a sklepikarzem narady tajemne w sieni lub przedpokoju i wówczas drzwi do bawialni bywały szczelnie zamknięte.

Raz młody Biterston, którego natura, rozpalona znojnymi promieniami indyjskiego słońca, była mściwa, utrzymywał złośliwie, że kupiec niekontent z rozrachunków nie przysłał cukru i z tej racyi nie było herbaty. Ten kupiec ośmielił się razu jednego prosić u pani Pipczyn o rękę jej kuzynki, na co stara groźną dała rekuzę zuchwałemu konkurentowi — z dodatkiem pogardy i obelg. Wszyscy potem wychwalali panią Pipczyn za jej hart i niezależny charakter, ale nikt półsłówkiem nie ozwał się o Berry, która płakała kilka tygodni, gdyż po pierwsze ciotka jej bez wytchnienia wymyślała, a powtóre — co ważniejsza — nieszczęsna czuła, że już odtąd na całe życie pozostanie w staropanieństwie.

— Berry panią bardzo kocha, nie prawdaż? — pytał raz Paweł, gdy koło kominka siedzieli z nierozłącznym kotem.

— Tak, zapewne.

— Za co?

— Jakto za co? Czy możesz o to pytać? Za cóż ty kochasz swą siostrzyczkę?

— Za to, że bardzo dobra. Nikogo nie można równać z Florcią.

— No, więc widzisz, mój drogi i ze mną nikt nie da się porównać.

— Doprawdy? — zawołał Paweł, przeciągając się w swym fotelu i podejrzliwie wpatrując się w staruszkę,

— Tak, niewątpliwie.

— Bardzo mnie to cieszy. To bardzo dobrze.

Pani Pipczyn nie pytała, dlaczego to bardzo dobrze. Zapewne nie spodziewała się wystarczającej odpowiedzi. Aby wywrzeć na kimś swe niezadowolenie, zaciekle zaczęła kłócić się z młodym Biterstonem, tak że biedaczysko postanowił tegoż dnia poczynić przygotowania do pieszej podróży do Indyi. Przy kolacyi ukrył ćwierć bułki i kawałeczek holenderskiego sera, gromadząc zapasy prowizyi na zamierzoną podróż.

Dwanaście miesięcy pani Pipczyn stróżem i dozorczynią była Pawełka i siostry. W tym czasie parę razy jeździli do domu, a raz spędzili tam kilka dni. Pan Dombi punktualnie co niedzielę przybywał do Brajton i stawał w hotelu. Stopniowo Pawełek zmężniał i mógł przechadzać się po morskiem wybrzeżu, choć wciąż był jeszcze znacznie osłabiony i miał wygląd starego, smutnego i sennego dziecka. Raz w sobotę po obiedzie o zmierzchu w całym zakładzie powstał niemały zamęt na wieść, że niespodzianie zjawił się pan Dombi i zapragnął widzieć się z panią Pipczyn. — W mgnieniu oka wszyscy z bawialni jakby na skrzydłach wiatru polecieli na górę, rozległy się trzaskania drzwiami, tupot nóg, a gdy nareszcie nastała względna cisza, pojawiła się staruszka w swym czarnym stroju.

— Jak zdrowie pani? — zagadnął pan Dombi.

— Dziękuję, czuję się dobrze, o ile o tem może być mowa ....Zupełnie zdrową być niełatwo, ale i za to dziękuję Bogu....

— Przybyłem, szanowna pani, aby poradzić się co do mego syna. Dawno już miałem ten zamiar, lecz odkładałem z dnia na dzień, czekając, aż Paweł zupełnie wyzdrowieje. Jak pani znajduje jego zdrowie?

— Brajtońskie powietrze podług mego zdania przyniosło mu dużo pożytku.

— To znaczy — pobyt w Brajton był dlań korzystnym. Tak i ja uważam.

Pani Pipczyn zatarła ręce i wpatrzyła się w ogień kominka.

— Ale może wypadłoby zmienić sposób jego życia. O tem chciałem się naradzić. Syn mój na drodze życia posuwa się szybko naprzód.

Była jakaś melancholia w uroczystym tonie słów tych. — Dziecinny okres życia syna wydawał mu się zbyt długim i wedle jego pojęć daleko jeszcze było do tej szczęśliwej chwili, kiedy spełnią się jego pragnienia. Pan Dombi w tym momencie prawie zasługiwał na współczucie, choć pojęcie współczucia nie godziło się z tym dumnym i chłodnym charakterem.

— Ma już sześć lat. Wielki Boże, zaledwie się opatrzysz, aż to sześcioletnie dziecko przeistoczy się w szesnatoletniego młodziana.

— No, dziesięć lat nie prędko mija! — oponowała stara.

— To zależy od okoliczności. W każdym razie synowi memu już sześć lat i on umysłowo wyprzedził wielu rówieśników. Ale chodzi o to, że syn mój musi daleko za sobą ich pozostawić. Ma on przygotowane szczytne powołanie — i czy to syn mój ma napotykać przeszkody na pierwszych stopniach wychowania? Droga jego życia jasna i czysta, przeznaczona i przewidziana, jeszcze zanim na świat przyszedł. Jakże tu odraczać wykształcenie młodego dżentlmena z takiem wyniosłem powołaniem? Nie ścierpię braków w jego wychowaniu. Wszystko musi być jak najlepiej zorganizowane.

— Ma pan słuszność i zupełnie podzielam pańskie zamiary.

— Nie wątpię o tem, pani Pipczyn. Osoba tak rozumna i wytrawna pojmie ważność doniosłych zamierzeń Dombi i Syna.

— Wiele niedorzeczności prawią dziś o tem, jakoby zbyt wcześnie nie należało rozpoczynać nauki — mówiła pani Pipczyn. — Bardzo dziś ludzie przemądrzeli, a za moich czasów nie myślano tak. Bardzom rada, że moje zdanie tak godzi się z pańskiem. Trzeba naglić i popędzać dziecię, jeśli się zeń chce zrobić człowieka.

— Nienadaremnie też zyskałaś pani taki rozgłos. Proszę wierzyć, że teraz więcej niż kiedy zadowolony jestem z pańskiej metody

wychowania dzieci i będzie moim obowiązkiem polecać ją przy każdej sposobności. Teraz mam na myśli doktora Blimbera, pani Pipczyn.

— Mego sąsiada? U doktora podług mnie doskonały zakład. Młodzi ludzie uczą się tam od rana do nocy i ład we wszystkiem przedziwny.

— A koszt także nieznaczny. Już umawiałem się z doktorem, który uważa, że Pawełek dojrzał do nauki. Przytaczał przykłady, że dzieci w tym wieku zaczynały się uczyć po grecku ze świetnym wynikiem. Ale nie to mię zastanawia. Oto syn mój, rosnąc bez matki, całe swe przywiązanie przeniósł na siostrę i miłość ta dziecinna, lecz nadzwyczaj gorąca, niepokoi mię. Czy ich rozłączenie nie będzie....

Nie kończąc zdania, pan Dombi zamyślił się głęboko.

— Ba, ba, ba! — zawołała pani Pipczyn, nadymając suknie i przybierając zwykłą swą postać wiedźmy. — Jest też się o co niepokoić! Jeżeli nie zechce się z nim rozłączyć, można będzie użyć ostrego przymusu.

W tej chwili dobra pani usprawiedliwiła się, że użyła zbyt bezwzględnego wyrazu. Pan Dombi cierpliwie czekał, aż szanowna ledi uspokoi się i dodał:

— Nie *ją* mam na myśli, pani Pipczyn, lecz z nim co będzie?

Pani Pipczyn mogłaby się pochlubić, że potrafi tenże sposób zastosować i do niego;

ale przewidywała, że pan Dombi nie pochwaliłby tej recepty względem syna, aczkolwiek równocześnie aprobował użycie jej względem córki. To też natychmiast odwróciła argument i przekonywująco zaczęła wywodzić, że nowe przedmioty, nowy rodzaj życia, nowe środowiska w zakładzie Blimbera, nowa dość zawiła nauka wytrącą stopniowo i niepostrzeżenie z głowy chłopca miłość ku siostrze. Myśl ta zgadzała się z nadzieją i przewidywaniem pana Dombi; nie dziw, że dżentlmen nabrał jeszcze lepszego mniemania o mądrości pani Pipczyn, do czego przyłączył się rzadki wzór bezinteresowności, gdy tak łatwo było wpoić konieczność rozłąki z małym przyjacielem, jakkolwiek cios nie był niespodzianką, gdyż pierwotnie powierzono dzieci jej opiece tylko na trzy miesiące. Uchwalono tedy, żeby Pawełek na pierwsze półrocze wstąpił do doktora Blimbera, jako tygodniowy pensyonaryusz, a siostra pozostanie u pani Pipczyn i będzie się z bratem widywała co soboty. Taki układ — myślał kochający ojciec — wyruguje ze serca syna przywiązanie do siostry. Zapewne doskonale pamiętał, jak nieoględnie rozdzielono dziecię z jego pierwszą ukochaną piastunką.

Kończąc wizytę, pan Dombi żywił nadzieję, że pani Pipczyn raczy zatrzymać nadal główną opiekę nad jego synem, dopóki uczyć się będzie w Brajtonie. Następnie ucałował Pawła, po-

trzymał rękę Florci, z ukosa spojrzał na biały paradny kołnierzyk Biterstona, pogłaskał główkę Panki, od czego biedna dziewczynka głośno się rozpłakała, gdyż pieszczota ta boleśnie uraziła miejsce, które zwykle pani Pipczyn szczypała, bębniąc po głowie, jak po winnej beczułce. Odchodząc pan Dombi jeszcze raz wyraził nadzieję, że wykształcenie syna rozwinie się świetnie, skoro je doktor Blimber ujmie w swe energiczne ręce.

W istocie ilekroć młody jaki dżentlmen dostawał się w ręce Blimbera, miewał wrażenie ucisku, jak gdyby dostawał się do tłoczni. Doktor zazwyczaj kształcił tylko dziesięcu chłopców, ale miewał zapas nauki przynajmniej dla setki młodych głów. Za to ów dziesiątek jęczał pod ciężarem różnych rozmaitości ku rozkoszy mądrego pedagoga, którego jedynym celem w życiu było zamęczać ową nieszczęsną dziesiątkę.

Zakład doktora Blimbera nie był niczem innem, jak ogromną cieplarnią, gdzie używano wszelkich środków, byle przyspieszyć pęd rozwojowy. Umysłowy groszek zielony dojrzewał w porze Bożego Narodzenia, a duchowe szparagi można było wyrzynać każdej pory. Matematyczny agrest, posadzony doświadczoną dłonią Blimbera, od razu miał owoce, cokolwiek kwaśne, lecz do użycia przydatne. Każda kultura, grecka czy łacińska, w mgnieniu oka rosła

na suchych gałązkach pod wszelką szerokością i długością dziecinnego klimatu. Przyrody nie brano w rachubę. Doktór Blimber nie licząc się z naturą, tak lub owak zmuszał wszelką glebę do wydawania owoców wedle potrzeby.

Wszystko to było nader zabawne i dowcipne, lecz metodzie przynaglania zwykle towarzyszyły żałosne skutki. Przedwcześnie dojrzałe owoce nie miewały właściwego smaku i nie trwały długo. Pewien młody dżentlmen, najstarszy w zakładzie, szczęśliwie już był przebrnął przez wszystkie pedagogiczne próby, kiedy nagle pewnego pięknego poranku odmówił rozkwitu i na zawsze został w zakładzie w postaci suchej łodygi. Podobno doktor przeuczył młodego Tutsa i biedaczysko zgłupiał, zanim pojawił się mech nad jego wargami.

Za to wyrosły mu piękne bokobrody i głos stał się basowy. Spinał koszulę ozdobną spinką i nosił w kieszonce od kamizelki pierścionek, który wkładał na palec, ilekroć wychowańcy szli na przechadzkę. Kochał się w każdej niańce, choć żadna nie darzyła go uwagą.

Doktor Blimber był tęgim, grubym dżentlmenem w czarnym stroju, w spodniach, które ginęły w długich pończochach, przewiązanych u kolan uroczemi wstążkami tak, jak niegdyś nosili angielscy dandysi. Miał łysą głowę, nizki głos, podwójny podbródek; maleńkie oczy

zawsze napół przymknięte, a usta zawsze napół otwarte z wyrazem chytrego uśmieszku. Gdy wkładał prawą rękę do bocznej kieszeni surduta, a lewą w tył zarzucał i głową z lekka kiwał, czyniąc uwagi komuś nieznanemu, postać jego wydawała się sfinksem, wydającym niezmienne wyroki.

Miał doktor w Brajtonie bardzo dobry dom na morskiem wybrzeżu, prawda że bardzo też i smutny. Ciemne, ubogie firanki kryły się w głębi okien z jakąś posępną nudą. Krzesła i stoły szły rzędami, jak cyfry na tabliczce mnożenia; na kominkach w paradnych pokojach nigdy nie palono ognia, tak że podobne bywały do studni, jak siedzący przed nimi gość podobny bywał do wiadra; w jadalni nic nie przypominało pokarmu lub napoju. Najmniejszego szmeru w domu prócz bicia ściennych zegarów, których dźwięk brzmiał aż na strychu. Milczenie naruszało się chyba przytłumionym płaczem młodych dżentlmenów, mruczących przy lekcyach na kształt smętnych gołębi, zamkniętych w gołębniku.

Panna Blimber, wysmukła i zgrabna dziewczyna, nie psuła powagi ojcowskiego przybytku. Dziewica ta włosy miała ucięte krótko i zielone okulary, lecz ani śladu płochości, właściwej płci i wiekowi. Wyschła i piasek się zamieniła, pracując w dusznych piwnicach języków martwych, żywe bowiem nie istniały

dla panny Blimber. Język musiał umrzeć, skamienieć i dopiero wtedy panna Blimber zaczynała odkopywać jego tajemnice jak niestrudzony antykwaryusz, dla którego nie egzystuje żywa natura. Matka jej, pani Blimber, nie była uczoną niewiastą, ale miała do uczoności pretensyę i zazwyczaj mawiała wieczorami, że umarłaby spokojnie, gdyby jej z czasem Bóg pozwolił zapoznać się z Cyceronem. Największą osłodą jej życia było rozkoszować się młodymi uczniami męża, gdy wychodzili na ulicę w wysokich kołnierzykach i krawatach, jaskrawo różniąc się od innych dżentlmenów. Był to kostyum w pełni klasyczny — zapewniała.

Pan Fider, magister i pomocnik doktora Blimbera, podobny był do organu, na którym wygrywano bez odmian kilka zawsze aryi. Może niegdyś za lat młodych możnaby go było wzbogacić większą ilością melodyi; los jednak nie chciał tego i pan Fider poszedł w świat, poświęcając się tumanieniu młodych głów w naukowym zakładzie Blimbera. Młodzi ludzie przejmowali się wszelakiemi troskami i nie znajdowali ani na chwilę wypoczynku w mglistej atmosferze skamieniałych czasowników, zdziczałych rzeczowników i strasznych grobowych widm martwej składni. Dzięki narzuconej przemocą metodzie wychowania młodzieniec we trzy tygodnie czasem rozstawał się z rozsądkiem; w trzy miesiące brał na swe barki

wszystkie niedole życia; we cztery przejmował się pełnemi goryczy uczuciami względem krewnych i opiekunów; w pięć — stawał się zupełnym mizantropem; w pół roku zaczynał zazdrościć bezdennej otchłani Kwintusa Kurcyusza, a z końcem roku osiągał stanowczą, niezmienną pewność, że wszystkie marzenia poetów i wywody mędrców były zbiorem słów i prawideł gramatycznych bez jakiegokolwiek wewnętrznego znaczenia i sensu.

A mimo tego rozkwitał, zabójczo rozkwitał latami w ogromnej wychowawczej cieplarni i sława mądrego doktora dosięgała niezmiernej wyżyny, gdy wysyłał nareszcie swe mroźne rośliny do ich stron ojczystych, pod dachy krewnych i przyjaciół.

Raz na progu domu doktora stanął z drżeniem serca Pawełek, za jedną rączkę prowadzony przez ojca, za drugą przez Florcię. Z tyłu, niby kruk złowieszczy, kroczyła pani Pipczyn ze swym czarnym pióropuszem i garbatym nosem. Dyszała ze zmęczenia, bo pan Dombi, pełen wielkich dum, szedł prędko. Krztusząc się i sapiąc, wykrakała ochrypłym głosem, żeby otwarto drzwi.

— Oto, drogi Pawle — rzekł pan Dombi górnym tonem — oto istotny sposób zdobycia pieniędzy i stania się prawdziwym Dombi i Synem. Tyś już prawie dorosły.

— Prawie — dodało dziecko.

Nawet wzruszenie dziecinne nie zdołało zetrzeć naiwnego i rozczulającego wyrazu, jaki słowom towarzyszył.

Na twarzy pana Dombi odbiła się przykrość, lecz w tej chwili drzwi się rozwarły i oblicze jego natychmiast powlokło się powagą.

— Czy doktor Blimber u siebie?

— W domu — odrzekł służący, spoglądając na Pawełka jak na mysz, ujętą w pułapkę. Twarz sługi miała maskę wiecznego uśmiechu. Lecz pani Pipczyn rozgniewała się.

— Jak śmiesz uśmiechać się? Za kogo mnie bierzesz?

— Ja się nie śmieję.

— Brutal! Idź oznajmić, że przybył pan Dombi!

Służący wrócił za chwilę i wprowadził gości do gabinetu doktora.

— Znowu uśmiechasz się — zauważyła pani Pipczyn.

— Ależ ja wcale się nie śmieję, proszę pani.

— Co to pani? — odezwał się pan Dombi. Proszę się uspokoić.

Pani Pipczyn przycichła, lecz mijając służącego, mruknęła: „uu! co za wstrętna gęba!“ Niewinne człeczysko o mało się nie rozpłakało od tego komplementu. Była to wcielona pokora i dobroć; lecz pani Pipczyn miała zwyczaj napadać na wszystkich pokornych ludzi.

Doktor siedział w swym wielkim gabinecie, zawalony księgami z globusem na każdem kolanie. Nade drzwiami stał posążek Homera, a nad kominkiem wznosiła się Minerwa.

— Jak pańskie zdrowie? — spytał pana Dombi — i jak miewa się mój mały przyjaciel?

Poważny i pełen godności był głos doktora, jak uroczyste brzmienie organu w świątyni anglikańskiej. Gdy skończył mówić, Pawełkowi zdawało się, że zegar ścienny przerwał jego mowę i zaczął powtarzać: mój — ma — ły — przy — ja — ciel... i tak dalej bez końca.

Nie widząc z poza stosu ksiąg małego przyjaciela, doktor Blimber czynił bezskuteczne wysiłki ujrzenia go z pod stołu. Pan Dombi ułatwił rzecz, wziąwszy syna na ręce i postawiwszy go na drugim stole na środku komnaty naprost przed oczami doktora.

— A! teraz widzę swego małego przyjaciela. Jak miewa się mój mały przyjaciel?

— Bardzo dobrze. Dziękuję — rzekł Paweł.

— A! Czy mamy zrobić zeń człowieka?

Paweł milczał. Pan Dombi, zwracając się ku niemu, pytał:

— Czy słyszysz, Pawle?

— Mamy zrobić zeń człowieka? — powtórzył Blimber.

Wolałbym pozostać dzieckiem — odrzekł Paweł.

— Naprawdę! A dla czego?

Dziecię siedziało na stole z wyrazem zaciekawienia i mimowolnego smutku. Spoglądało na doktora i nerwowo jedną rączką uderzało się w kolano, jak gdyby łzy je dusiły i pragnęło je stłumić. Lecz druga rączka wysuwała się dalej i dalej, aż spokojnie ułożyła się na szyi Florci. „Oto“ dla czego chciałbym zostać dzieckiem“ — mówiły jego oczy i łzy, długo tłumione, strumieniem spłynęły z oczu.

— Pani Pipczyn — rzekł ojciec z żalem — bardzo mi przykro na to patrzeć.

— Opuść go pan, panie Dombi, opuść go — rzekła stara.

— Nic to. Nic — przerwał doktor. — Wkrótce pochłoną go nowe wrażenia, nowe troski. Postaramy się o to. Chcielibyśmy, panie Dombi, żeby mały nasz przyjaciel nabył...

— Wszelkiego rodzaju wiedzy, szanowny doktorze — odrzekł pan Dombi.

— Właśnie. Wzbogacimy różnego rodzaju wiadomościami naszego małego przyjaciela i prędko posuniemy go naprzód. Za to ręczy moje doświadczenie. Pan, zdaje mi się, utrzymywałeś, że syn pański — to jeszcze dziewicza gleba?

— Nieco sposobił się w domu i u tej ledi. Prócz tych wstępnych wiadomości Paweł niczego się na seryo nie uczył.

— Zresztą — zauważył Blimber — to nawet przyjemniej rozpoczynać edukacyę od podstaw.

— Wobec naszej wstępnej umowy i układów, panie doktorze i wobec tego dość gruntownego porozumienia się uważam za niepotrzebne dalsze zabieranie panu drogiego czasu i dla tego...

— Proszę jeszcze chwilę — rzekł doktor — Muszę państwu przedstawić żonę i córkę, które w domowem pożyciu powiodą na Parnas naszego młodego pątnika. Oto moja żona — ciągnął doktor, wskazując ledi, która weszła w towarzystwie podżyłej dziewicy w okularach — a to, panie Dombi, córka moja Kornelia. Pan Dombi, moja droga, powierza naszym staraniom tego oto małego przyjaciela.

Pani Blimber w przystępie uprzejmości dla pana Dombi nie spostrzegła Pawełka i stanąwszy tyłem do niego mało go nie strąciła ze stołu. Wnet atoli obróciła się i zaczęła rozkoszować się klasycznymi rysami jego twarzy.

— Zazdroszczę panu bardzo. Synek pański, jak pszczoła, przesiedla się teraz na pysznym kwietniku i będzie ssał słodycz ziół. Wergiliusz, Horacy, Owidyusz, Terencyusz, Plaut, Cycero! Jakie kwiaty! Jaki miód! Pan, panie Dombi, podziwiasz zapewne w kobiecie.... lecz mam honor być małżonką takiego męża....

— Dosyć, moja droga, dosyć — przerwał doktor Blimber.

— Pan Dombi przebaczy zachwyt żony — broniła się pani Blimber z czarującym uśmie-

chem. — A przytem mam też zaszczyt być matką!

— I jaką matką! — zauważył pan Dombi z ukłonem w kierunku miss Kornelii.

— Gdyby do tego udało mi się zapoznać z Cyceronem, zaprzyjaźnić się z nim i pogawędzić w Tusculum — urocze Tusculum — umarłabym spokojnie.

Naukowy entuzyazm, jak wiadomo, zaraźliwy. Pan Dombi napoły uwierzył i nawet pani Pipczyn, choć w ogóle nie nawykła dobrze sądzić o ludziach, blizką była wiary, że Cycero w istocie był wybornym człowiekiem i gdyby go przekorny los był z nim zetknął, szlachetny jej małżonek zapewne nie byłby karku skręcił w peruwiańskich kopalniach pod osłoną tego geniuszu. Kornelia wymownie spoglądała przez okulary na pana Dombi, jak gdyby płonęła żądzą zacytowania kilku ustępów tego geniusza. Lecz niespodziane pukanie we drzwi przeszkodziło wykonać ten zamiar.

— Kto tam? — spytał doktór. — Wejdź, Tuts, wejdź. Masz przed sobą pana Dombi.

Tuts ukłonił się.

— Co za dziwny zbieg okoliczności — ciągnął doktor. — Przed nami oto początek i koniec, alfa i omega. To jest głowa naszego zakładu, panie Dombi.

Nie tylko głowa, lecz i barki, mógłby dodać doktor, gdyż młody Tuts był olbrzymiego

wzrostu w porównaniu do innych wychowanków zakładu. Zmieszał się, zapłonił i zaczął się uśmiechać, widząc nieznajomych ludzi.

— Dodatek do naszej małej akademii, mój miły. To syn pana Dombi.

Młody Tuts znów pokraśniał — i wśród uroczystej ciszy uważał za konieczne ze swej strony przemówić.

— Jak zdrowie pańskie? — zawołał, zwracając się do Pawła.

— Oznajmij, Tuts, Fiderowi, żeby przygotował niezbędne podręczniki dla syna pana Dombi i wyznaczył mu przystojne miejsce w sali naukowej. Moja droga, pan Dombi jeszcze nie oglądał dziecinnych sypialni.

— Jeśli raczy udać się ze mną na górę, miło mi będzie pokazać dziedzinę Morfeusza.

Z temi słowy pani Blimber wyszła w towarzystwie Dombi i Kornelii. Pani Pipczyn udała się za nimi, oglądając się w nadziei ujrzenia gburowatego lokaja.

Dopóki wychodzili, Paweł siedział na stole, trzymając się ręki Florci i lękliwie patrząc na doktora, który oparłszy się o fotel i rękę wsunąwszy w zanadrze, trzymał książkę na długość wyciągniętej ręki od oczu. Czytał i było coś strasznego w tym sposobie lektury — obojętnym, zimnym, stanowczym. Młody Tuts też został w pokoju i czynił przegląd kółek w swoim zegarku, licząc równocześnie drobne pieniądze.

Trwało to niedługo. Gdy doktor poruszył się, Tuts umknął i nie ukazał się więcej.

Tymczasem pan Dombi, obejrzawszy dziedzinę Morfeusza, wrócił do gabinetu.

— Mam nadzieję, panie Dombi, że nasz porządek uzyskał pańskie uznanie?

— Wyborny porządek.

— Bardzo dobry — szepnęła pani Pipczyn, nieskłonna do wielkich pochwał.

— Pani Pipczyn — mówił Dombi — za pozwoleniem pańskiem radaby od czasu do czasu odwiedzać tu mego syna.

— Wolno to jej o każdej porze.

— A zatem wszystkie zarządzenia skończone i nic nie pozostaje nam, jak się pożegnać — rzekł pan Dombi.

Zbliżył się do Pawełka.

— Bądź zdrów, drogie dziecię.

— Bądź zdrów, tatusiu.

Twarz dziecka, podającego rękę ojcu, miała pełen troski wyraz. Ale nie ojciec był przedmiotem tej troski i nie ku niemu zwracała się smutna twarzyczka. Florci szukał Pawełek i tylko Florcia była celem jego czułego przywiązania.

Gdyby pan Dombi w swem nierozumnem poczuciu pysznego bogacza zjednał sobie wroga srogiego, mściwego, nieprzejednanego — i ten byłby w tej chwili o zemście zapomniał, ciesząc się udręczeniem, rozdzierającem serce ojca.

Nachylił się i ucałował syna. Spojrzenie atoli zaćmiło się, bo mógł doskonale przeniknąć uczucia dziecka.

— Wkrótce się zobaczymy, Pawełku. W soboty i niedziele jesteś wolny.

— Wiem, ojcze — odrzekł Paweł, spojrzawszy na siostrę — w soboty i niedziele jestem wolny.

— A będziesz się dobrze uczył, nieprawdaż?

— Postaram się o to, ojcze.

— Teraz już prędko wyrośniesz.

— O, bardzo prędko!

I spojrzenie dziecka, spojrzenie zmęczone niby starego człowieka skierowało się ku pani Pipczyn. Podeszła i ona, aby się pożegnać i zabrać Florcię.

Doktor Blimber, pani i panna Blimber odprowadzali pana Dombi do sali a za niemi podreptała i pani Pipczyn. Tej okoliczności zawdzięczał Pawełek miłe później wspomnienie, że Florcia jeszcze wróciła, aby go uściskać. Od progu jeszcze wciąż posyłała braciszkowi uśmiechy zachęty przez łzy, błyszczące w jej oczach.

Ciężko zrobiło się sercu dziecinnemu, gdy znikł nareszcie i ten uśmiech. Globusy, księgi, ślepy Homer i Minerwa — wszystko zadrgało i zatańczyło w około Pawełka; nagle stanęły te przedmioty i dał się słyszeć głośny dźwięk

bijącego zegara, który zapytywał: ja—kiś—ty mój—ma—ły—przy—ja—cie—lu i tak dalej bez końca.

W milczeniu słuchał tych dźwięków, siedząc ze złożonemi rączkami. Mógłby odpowiedzieć: nudno mi i przykro samemu, zmęczonemu i choremu. W tej bolesnej pustce naokoło tak było zimno, dziko, bezludnie!

XII. Wykształcenie Pawła.

Za kilka minut, bardzo długich dla siedzącego na stole Pawełka, wrócił doktor Blimber krokiem poważnym i uroczystym zapewne dla wywołania większego wrażenia na młodą duszę. Krok ten podobny był do marszu i gdy doktor wysuwał prawą nogę naprzód, majestatycznie obracał się na swej osi, wykreślając na lewo półobrót, a gdy wysuwała się noga lewa, czynił taki zwrot na prawo. Wydawało się, że oglądał się naokoło, jakby mówił: „niechże mi ktokolwiek gdziekolwiek pokaże rzecz, której nie znam. Niepodobna.“

Pani Blimber i panna Blimber nadeszły z doktorem. Pedagog wziął ze stołu nowego pupila i przekazał go pannie Blimber.

— Kornelio, Dombi pozostanie na razie pod twoim dozorem. Wiedź go naprzód, wciąż naprzód.

Kornelia przejęła z rąk ojca młodego pupila i Paweł uczuł okulary, badające go.

— Ile masz lat, Dombi?

— Sześć — odrzekł Paweł, dziwiąc się, że włosy Kornelii nie tak długie jak u Florci i że podobna do chłopca.

— Ile umiesz z gramatyki łacińskiej, Dombi?

— Nie umiem wcale gramatyki łacińskiej. Byłem wątłem i słabem dzieckiem. Nie mogłem myśleć o łacińskiej gramatyce, gdy mnie co dzień stary Globb woził po brzegu morza. Proszę pozwolić staremu Globbowi odwiedzać mnie tutaj.

— Co za barbarzyńskie nazwisko! Co to za potwór, mój mały?

— Jaki potwór?

— A ten Globb.

— On taki sam potwór, jak i pan.

— Coo? — zawołał doktor okropnym głosem. — Coś powiedział?!

Drżenie przebiegło po skórze Pawełka. Niemniej przeto postanowił bronić nieobecnego Globba.

— Globb bardzo szanowny staruszek; on ciągnął mój wózek, gdzie mogłem wedle chęci leżeć i spać. On wszystko wie o głębinach morskich i o rybach tam żyjących i straszliwych potworach, które stamtąd wyłażą, grzeją się na skałach w upały słoneczne i uciekają

w otchłanie, gdy się zlękną. Przytem wydają taki hałas, że słychać na kilka mil. Są jeszcze potwory, nie wiem, jak długie i nie pamiętam, jak się nazywają, ale Florcia wszystko to wie. Udają nieszczęśliwych i płaczą niby dzieci, a gdy kto z litości się zbliży, rozdziawiają ogromne paszcze i napadają. Wtedy jeden tylko środek ratunku — mówił Paweł odważnie, udzielając tego sekretu samemu doktorowi Blimber — trzeba odbiedz na pewien odstęp i znów nagle zwrócić się; one nie mogą tak zgrabnie nawracać, bo są bardzo długie. Łatwo je w taki sposób pokonać, jak opowiadał Globb. W ogóle on bardzo dużo wie o morzu, choć nie umie wytłomaczyć, dlaczego morskie fale zawsze jedno i to samo mówią i dla czego ja tak często myślę o swej mamie, gdy patrzę na morze. Moja mama umarła. Chciałbym, aby stary Globb niekiedy odwiedzał mnie tutaj, bo ja go znam bardzo dobrze i on mnie zna.

— Zły kierunek — rzekł doktor — lecz nauka musi wyplenić złe ziarno. Panna Blimber z przerażeniem pomyślała, że to było niezwykłe dziecko. Patrzyła na nie z takąż uwagą jak niegdyś pani Pipczyn.

— Oprowadź go po domu, Kornelio i zapoznaj z nową sferą. Dombi, idź z tą panią. Dombi usłuchał. Podał rękę Kornelii i z nieśmiałą ciekawością badał ją nieznacznie, gdy szli. Okulary jej wydały mu się tajemniczemi

i nie mógł rozpoznać, czy za połyskującemi szkłami były oczy. Kornelia wiodła go do szkolnej sali, a poza nią do klas; drzwi obite były suknem, żeby głuszyć głosy. W sali siedziało ośmiu wychowańców biczowanych nauką; siedzieli przy pracy z wielką powagą. Tuts, jako senior, miał w rogu pokoju osobne biurko. Nauczyciel Fider obrabiał Wergilego i tę nutę wygrywały na teraz przed nim głosy czterech młodzieńców. Z reszty dwaj z wysiłkiem rozwiązywali rachunkowe zagadnienie, jeden rozpaczliwie tonął do obiadu przez beznadziejną ilość wierszy, ostatni spoglądał na swą pracę ze stężałem odrętwieniem i rozpaczą.

Widok nowego ucznia nie wywarł żadnego wrażenia. Pan Fider podał małemu Dombi kościstą rękę na znak, że rad go widzi. Paweł byłby uczynił to samo, gdyby mógł w sobie wzbudzić choć odrobinę szczerości. Przywitał się z czterema młodzieńcami, podał rękę zapaśnikom zadań matematycznych, ukłonił się innym. Młody Tuts uśmiechnął się na powitanie i ciągnął swą robotę. Była to praca łatwa. Pisał on listy do siebie od znakomitych osób, adresując: „do pana Tutsa w Brajtonie". A napisawszy, chował je skrupulatnie w swej szufladzie.

Potem zaprowadziła Kornelia Pawła na wyższe piętro. Tam z pierwszego pokoju widać było rozfalowane morze, a koło okna ładne

łóżeczko i na kartce napis: Dombi. Obok dwa inne łóżka z napisami. Bryggs i Tozer. Zaledwie zeszli nazad do sali, Pawełek ujrzał ze zdziwieniem, jak służący zaczął bić w miedziany gong w kącie sali. Paweł myślał, że go za to zamkną w kozie; nie nastąpiło nic podobnego. Dopiero Kornelia wyjaśniła, że za kwadrans podadzą obiad, musi więc udać się do swych kolegów. Ci już szykowali się do obiadu. Jeden zawiązywał krawat, inny mył ręce, trzeci przyczesywał się. Młody Tuts zbliżył się do Pawełka.

— Siadaj Dombi.

— Dziękuję.

— Jakiś ty mały!

— Prawda, jestem mały.

— Kto jest twoim krawcem? — pytał Tuts.

— Ubranie szyje mi kobieta, ta sama, co i siostrze.

— A moim krawcem Bordżes i spółka. Młody krawiec, lecz bardzo drogi. Czy ojciec twój bogaty?

— Bogaty. Ojciec mój Dombi i Syn.

— I kto?

— I Syn — powtórzył Paweł.

Pan Tuts kilkakrotnie dla pamięci powtórzył nazwisko, nie ufając jej atoli, oznajmił, że jutro ponowi zapytanie. I w tej chwili zaczął planować do siebie list od ojca Pawła. Wnet wszyscy

chłopcy zebrali się w gromadkę. Byli bladzi, mówili zcicha i głowy ich były tak natłoczone wiedzą, że młody Biterston wobec nich mógł uchodzić za ideał bystrości.

— Ty sypiasz w moim pokoju, czy nie tak? — pytał z powagą młody dżentlmen, którego kołnierzyk sięgał uszu.

— Czy nazywasz się Briggs?

— Nie, Tozer.

— Wszystko jedno. Sypiamy w jednym pokoju.

— On nazywa się Briggs — ciągnął Tozer, wskazując zdrętwiałego młodzieńca — a jak twoje zdrowie, Dombi?

Pawełek odrzekł, że nieszczególne. Tozer zauważył, że z oczu to widać. A szkoda, dodał, bo tu trzeba mieć żelazne zdrowie. Potem pytali Pawła, czy nie z Kornelią będzie się uczył, a gdy potwierdził, wszyscy wyrazili mu żywe ubolewanie.

Rozległo się znów straszne uderzenie w gong i wszyscy udali się do jadalni z wyjątkiem kamiennego Briggsa. Paweł ujrzał, że mu przyniesiono na talerzu kawałek chleba i srebrny widelec pod serwetką.

Doktor Blimber siedział już na zwykłem miejscu, a obok pani i panna Blimber. Z końca stołu zajął miejsce Fider w czarnym fraku. Krzesło Pawła postawiono koło panny Blimber, lecz gdy usiadł, musiano podłożyć kilka ksiąg

z gabinetu doktora, tak był mały. Odtąd zwykle zjawiał się w jadalni z temi księgami. Doktor odczytał modlitwę i zaczął się obiad. Pierwszą potrawą była zupa, potem pieczeń, sztuka mięsa, jarzyna, legumina i ser. Usługa odbywała się z powagą, przed każdym młodzieńcem leżała serwetka i srebrny widelec. Bufetowy w granatowym fraku z metalowymi guzikami roznosił dania i nalewał w szklanki piwo z takiem namaszczeniem, jak gdyby w rękach miał flaszkę z drogiem winem.

Nikt bez zapytania nie mógł rzec słowa prócz rodziny Blimber. O ile który młodzian nie był zajęty łyżką, nożem czy widelcem, oczy jego kierowały się ku tej rodzinie. Tylko Tuts stanowił wyjątek od tej reguły: oczy jego biegały wciąż ku oczom przybysza. Raz tylko zawiązała się rozmowa. Przy serze, skoro dopił porteru, odkaszlnął parękroć i zaczął doktor:

— Godne uwagi, panie Fider, że Rzymianie za cesarstwa, gdy zbytek doszedł do najwyższych granic, gdy konsulowie pustoszyli prowincye i rujnowali obywateli, byle zdobyć środki do jednej uczty cesarskiej...

Tu jeden z wychowańców zaczął głośno kaszleć,

— Dżonson — rzekł pan Fider — napij się wody.

Doktor przerwał, lecz za chwilę ciągnął dalej:

— I kiedy, panie Fider...

Lecz pan Fider nie mógł oczu oderwać od Dżonsona, który zbierał się znowu uledz paroksyzmowi kaszlu.

— Proszę wybaczyć — usprawiedliwiał się Fider.

— I kiedy brat Witelliusza wydał ucztę, na której podano dwa tysiące potraw z ryby....

— Napij się wody, Dżonson. — Potraw z ryby... panie doktorze.

— Pięć tysięcy potraw z różnego drobiu...

— Albo przełknij skórkę chleba — rzekł pan Fider.

— A jedno danie, nazwane od wielkości „tarczą Minerwy", przyrządzone prócz innych kosztownych przypraw z móżdżków bażańcich...

— Kehe, kehe, kehe!...

— I bekasich...

— Kehe, kehe, kehe!

— Z wnętrzności ryby, nazywanej s c a r i...

— Może ci pęknąć żyła w głowie — niepokoił się Fider — już się lepiej nie wstrzymuj.

— Z wnętrzności minoga, łowionego w morzu karpackiem, — gdy czytamy o tych wspaniałych ucztach a nadto pamiętamy, że Tytus...

— Co się stanie z twoją biedną matką, jeśli cię obali atak apopleksyi?!

— ...Domicyan...

— Całyś zsiniał.

— Neron, Tyberyusz, Kaligula, Heliogabal i wielu innych... To jednak bardzo cenne, co panu mówię, czy może pan mnie słuchać, panie Fider... Ale paroksyzm kaszlu pupila tak się wzmógł, iż towarzysze poczęli go tłuc w kark, pan Fider nadstawiał ku ustom szklankę wody, a bufetowy musiał go oprowadzać po sali. Wrzawa trwała kilka minut i gdy nareszcie Dżonson wracał do normy, w jadalni nastała cisza.

— Panowie — rzekł doktor — módlmy się. Dżonson jutro rano przed śniadaniem odczyta z pamięci z greckiego tekstu pisma św. pierwszy list św. Pawła do Efezu. Zajęcia zaczną się za pół godziny.

Młodzieńcy skłonili się i odeszli. Pan Fider toż samo. Na tę krótką chwilę przechadzano się parami po tarasie za domem. W oznaczonym momencie dał się słyszeć dźwięk miedzianego gongu i klasa napełniła się uczniami.

Wieczorem wyszli młodzieńcy na przechadzkę.

Ceremonia z herbatą podobna była do obiadowej. Potem młodzi dżentlmeni znowu się uczyli. Paweł usiadł w kąciku i usiłował odgadnąć, co o nim myśli Florcia. Tu odnalazł go Tuts, długo się weń wpatrywał i wreszcie rzekł:

— Czy lubisz kamizelki, Dombi?

— Tak.

— I ja lubię.

Nic więcej nie wymyślił Tuts, lecz przez cały wieczór przypatrywał się Pawełkowi, gdyż ten mu się widocznie podobał.

O ósmej wieczorem młode towarzystwo znowu znalazło się w jadalni. Przed modlitwą bufetowy zaproponował chleb, ser i piwo. Ceremonia zakończyła się programem doktora: „Panowie, prace nasze jutro zaczną się o siódmej."

Nastąpił ukłon i wyprawa do sypialni.

Tam, ulegając porywowi szczerości, Briggs oznajmił, że chciałby umrzeć, tylko mu żal matki i czarnego drozda w domu. Tozer mało mówił, wzdychał i radził Pawełkowi ostro się trzymać, bo jutro na niego kolej. Nakoniec sen zamknął zmęczone oczy Pawła i śniło mu się, że spaceruje z Florcią w przecudnym parku, rozkoszuje się kwiatami i podchodzi do wielkiego słonecznika, który nagle zmienił się w gong i zaryczał strasznie nad samem uchem. Ocknął się i ujrzał pochmurny zimowy poranek z drobnym deszczem a równocześnie rozległy się gromkie dźwięki gongu: czas wstawać.

Towarzysze byli na nogach. U Briggsa twarz od smutku i płaczu napuchła, że oczu widać nie było. Naciągał buty zły, równie jak Tozer, który ubrany zupełnie przed oknem drżał i wstrząsał ramionami. Biedny Pawełek sam nie mógł się ubrać i prosił o pomoc; ale Briggs mruknął: idź sobie, a Tozer bąknął:

jeszcze czego i odwrócił się. Dziecko ledwo się przygarnęło i zeszło na dół, gdzie ładna dziewczyna w rękawiczkach wygarniała z kominka popiół. Zdziwiła się obecnością dziecka i spytała, gdzie matka. Dowiedziawszy się, że zmarła, zdjęła rękawiczki, uporządkowała ubiór, ugrzała rączki, ucałowała i dodała, że jeżeli będzie potrzebował pomocy przy ubieraniu, niech zawoła Melii, to przyjdzie. Pawełek serdecznie podziękował i udał się do klasy, gdzie uczniowie już sposobili się do lekcyi. Mijając pokój, usłyszał pytanie:

— To ty, Dombi?

— Ja, pani.

Była to Kornelia.

Chodź tu, Dombi — rzekła.

Wszedł. Kornelia była w tym samym kostyumie. Miała osobny pokoik z szafą na książki i bez kominka, ale nigdy nie odczuwała zimna ani potrzeby snu.

— No, Dombi, teraz ja idę.

Pawełek dziwił się, dokąd i po co idzie w taki brzydki czas; ale nic nie rzekł, bo zwrócił uwagę na paczkę nowych książek na stoliku miss Blimber.

— To twoje książki, Dombi.

— Wszystkie moje?

— Wszystkie. Pan Fider więcej kupi, jeżeli będziesz pilny.

— Dziękuję.

— Teraz zatem idę, a dopóki będę chodziła, to znaczy do śniadania, masz przeczytać wszystko, co tu zaznaczone ołówkiem i powiesz, czyś wszystko dobrze pojął. Nie trać czasu, Dombi. Spiesz się. Idź na dół i zaczynaj.

— Dobrze, miss.

Książek było tak dużo, że choć Pawełek jął się ich obiema rękami, górną książkę przytrzymując brodą, środkowa wymknęła się, nim dotarł do drzwi i całe brzemię poleciało na podłogę. „Ach, Dombi, Dombi, jakżeś niezgrabny“ — rzekła panna Blimber i znów je nakładła. Nareszcie szczęśliwie wyszedł; po drodze atoli uronił dwie na schodach, jedną na piętrze, jedną w klasie. Ułożywszy resztę na swym stoliku, pozbierał tamte, wgramolił się na swoje miejce i przystąpił do pracy.

Po ukończeniu śniadania udał się za panną Kornelią.

— No, Dombi? Coś zrobił z książkami?

Była wśród nich gramatyka łacińska i grecka: o rodzajnikach, o odmianie rzeczowników, o prawidłach pisowni; początki historyi, różne ogólne zasady, tablice, miary. Zaledwie Paweł zaznajomił się z numerem drugim, przekonał się, że nic nie umie z pierwszego, a gdy dotarł do trzeciego i czwartego, w głowie powtórzyły się pojęcia tego rodzaju: trzy razy cztery = Hannibal, pięć od dwunastu = hic, haec, hoc, czasownik zgadza się ze starożytnym germaninem,

a rzeczowniki mają być w tym samym przypadku, co krzyżowe pochody.

— Ach, Dombi, Dombi — ubolewała miss Blimber — jakiż ty jesteś nierozgarnięty.

— Gdyby tak zawołać tu staruszka Globba — usprawiedliwiał się Pawełek — lepiejbym pojmował.

— Co za głupstwo! Nie waż się nigdy mówić o Globbie. Tu niema miejsca dla potworów. Na przyszłość zabieraj tylko po jednej książce, a gdy się jednej lekcyi wyuczysz, wracaj po drugą. Weź teraz wierzchnią i idź do klasy.

Z widoczną przyjemnością mówiła panna Blimber o nieudolności Pawełka, jakby rada była, że będzie z nim miała wciąż do czynienia. Wziął pierwszą z góry książkę i zaczął kuć lekcyę. Raz udawało mu się powtórzyć ją na pamięć dosłownie, to znów ani słowa nie pamiętał; wreszcie zebrał całą odwagę i przyszedł ją wydać. Panna Blimber rzuciła podaną książkę na stół i rzekła: no, mów, Dombi, słucham. Stropiony tą niespodzianką, zapomniał zupełnie lekcyę i patrzał na uczoną pannę, w głowie której mieściły się całe drukowane książki.

Z tem wszystkiem po chwili udało mu się powtórzyć lekcyę dobrze i panna Blimber, wyraziwszy mu uznanie, zadała nową lekcyę, potem jeszcze nową, tak że do obiadu nauczył

się czterech lekcyi; za to czuł zamęt w głowie i chodził jak senny, podobnie, jak inni uczniowie z wyjątkiem Tutsa. Po herbacie przy świetle lamp znów zaczęły się lekcye i przygotowania na dzień następny; wszystko kuło i trudziło się do chwili, aż słodki sen na kilka godzin pozwolił zapomnieć o tem umysłowem biczowaniu się.

O, soboto, dniu upragniony, trzykroć błogosławiona soboto! Dniu radości, dniu szczęścia, kiedy Florcia bez względu na pogodę, na przeszkody, bo pani Pipczyn gryzła i nękała ją bez litości, zjawiała się w naukowym zakładzie doktora Blimber! Soboty były prawdziwie dniami obiecanego biblijnego ukojenia dla brata i siostry, złączonych świętem uczuciem serdecznego przywiązania. Nawet wieczory niedzielne, ciężkie wieczory, których cień mgłą okrywał niedzielne poranki, nie mogły popsuć drogocennej soboty. Gdy inni wałęsali się lub siedzieli na brzegu morza albo w dusznej sali pani Pipczyn, Paweł miał Florcię i to mu starczyło. Florcia nuciła mu tkliwą piosenkę i tuliła jego umęczoną główkę na swych kolanach, a gdy w przeklęty wieczór niedzielny mroczna brama doktora pochłaniała Pawełka na cały tydzień, żegnał się z Florcią tylko, z nikim więcej!

Wikkem odjechała z Brajtonu do Londynu, a miejsce jej zajęła w domu pani Pipczyn Zuzanna Nipper. Gorączka — stała się młodą

i bardzo ładną kobietą, roztropną i sprytną — właśnie na rękę pani Pipczyn, która w niej znalazła godną siebie osobę. Zaraz po przybyciu do Brajton panna Nipper rozpoczęła z nią walkę, walkę na śmierć i życie — wkrótce stoczyła ze świetnym wynikiem kilka potyczek. Nie prosiła i nie dawała pardonu. Oznajmiła: będzie wojna i wojna była — pani Pipczyn żyła odtąd śród nagłych napaści, nieprzewidzianych zasadzek, śmiałych wyzwań. Zuzanna nękała i zgniatała swego wroga zawsze i wszędzie: przy kotletach, przy ciastkach, w sali, w jadalni, w sypialni.

Raz wieczorem w niedzielę po pożegnaniu z Pawełkiem Florcia wróciła do domu i dostała z torebki kawałek papieru z paru notatkami ołówkiem.

— Spojrzyj, Zuzanno — rzekła — oto tytuły książek Pawełka. Spisałam je przeszłej nocy, gdy je wertował biedak bez względu na ostateczne wyczerpanie.

— Dla czego mi je panienka pokazuje? Wolę raczej patrzeć na panią Pipczyn.

— Bądź tak dobra, Zuzanno, kup mi je jutro rano. Mam dość pieniędzy.

— A to co nowego? — Jak panienka może mówić nawet coś podobnego, skoro sama ma stosy książek i skoro pan Dombi z łaski panienki nasłał tu zgraję nauczycieli i nauczycielek — niech ich licho weźmie — choć ojczul-

kowi i do głowy nie przyszłoby czegokolwiek uczyć panienkę, gdybyś mu się sama nie napierała.

— Kup mi, Zuzanno, ja wiem, że kupisz, gdy się dowiesz, na co mi one potrzebne.

— A na co, panno Florciu? Jeżeli chcesz niemi rozbić głowę pani Pipczyn — dodała ciszej — to ci kupię całą furę.

— Zdaje mi się, że mogę nieco pomagać biednemu Pawełkowi i ułatwiać mu niedzielną pracę. Przynajmniej spróbuję. Kup mi, nigdy ci tej usługi nie zapomnę.

I Florcia tak błagalnie patrzyła, że Zuzanna wzięła z jej rąk portmonetkę i popędziła załatwić sprawunek.

Nie było to łatwo spełnić. W jednej księgarni powiedziano, że takich dzieł niema; w drugiej, że miesiąc temu było dużo, teraz niema ani jednej; w trzeciej, że za tydzień sprowadzą mnóstwo. Zuzanna nie rozpaczała. Zwerbowała w księgarni pomocnika i z nim szperała tak długo, aż książki znaleziono, kupiono i w tryumfie przyniesiono do domu.

Z tym skarbem, po skończeniu własnych lekcyi, Florcia nocami siadywała w swym pokoiku. Zdolna i szybko oryentująca się, wspomagana miłością, wkrótce dopędziła brata, zrównała się z nim i prześcignęła go.

Nic o tem nie wiedziała pani Pipczyn. Florcia pracowała nocami, gdy wszyscy spali

z wyjątkiem Zuzanny, która zwykle siedziała zaspana, podczas gdy ogień trzaskał w kominku i rozgorywające świece wtórowały mu smutno. Może ten trud usilny a właściwiej mówiąc poświęcenie niezrównane skłoniłoby nawet panią Czykk do przyznania swej krewnej godności imienia Dombi.

Wielką była jej nagroda, gdy w sobotę wieczorem, kiedy Paweł jak zwykle wziął się do lekcyi, usiadła koło niego i zaczęła mu wyjaśniać zawiłe ustępy, wyrównując trudną drogę szkolnej nauki. Paweł płonił się, uśmiechał, gorąco ściskał siostrę i tylko Bogu wiadomo, jak kołatało radośnie jej serduszko przy tem słodkiem wynagrodzeniu.

— O, Florciu! mówił — jak cię kocham, jak cię kocham, Florciu!

— I ja ciebie, mój najdroższy.

— Wiem, Florciu, wiem!

Nic więcej nie dodał i spokojnie spędził czas obok siostry. W nocy trzy czy cztery razy wracał do niej i zapewniał ją o swem przywiązaniu.

Odtąd brat i siostra w soboty nocą siadywali nad książkami, usiłując wedle możności ułatwić pracę na przyszły tydzień. Myśl, że pracuje tam, gdzie Florcia przedtem dla niego pracowała, nie szczędząc sił swych, podniecała go i ożywiała. Ale nadto Paweł miał od siostry istotną pomoc i może to uratowało go od

nieuniknionego wyczerpania pod brzemieniem, jakie nakładała mu urocza Kornelia Blimber.

Nie można nawet powiedzieć, żeby panna Blimber okazywała względem niego wyrafinowaną surowość albo żeby doktor Blimber obchodził się okrutnie z młodymi uczniami. Oboje tylko traktowali ich tak, jak gdyby młodzi byli doktorami i urodzili się dojrzałymi. Najbliżsi krewni ich pod wpływem ambicyi i źle obliczonego pospiechu, wysławiali doktora Blimber

Z Pawłem powtórzyły się powszednie dzieje. Doktór oznajmił, że to rozumny chłopczyk i szybkie czyni postępy, pan Dombi zaś zapobiegał tem gorliwiej, aby go nadziać wszelaką wiedzą. O Briggsie powiedziano, że tępy i czyni małe postępy, ojciec zaś jego okazał się nieprzejednanym. Słowem czy tak czy owak, choć temperatura cieplarni doktorskiej była wysoka i duszna, właściciele roślin prosili o podkładanie gorących węgli i rozdmuchiwanie żaru.

Prędko utracił Pawełek swą żywość a natura jego pozostała dziwną, pełną zamyśleń, starczą. Skupił się w sobie i już nie ujawniał ciekawości, jak u pani Pipczyn, badając kota i jego panią. Lubił samotność, rzadkie wolne chwile spędzał bez towarzyszy, włócząc się koło domu lub siedział na schodach i słuchał bicia zegarów. Doskonale zapoznał się z obiciami pokojów i z obrazami na ścianach i miniatu-

rowe lwy i tygrysy, biegające po ścianach sypialni, zaprzyjaźniły się z nim. I żył sam pośród cudownych wizyi swej wyobraźni, a nikt go nie rozumiał.

Pani Blimber nazywała go „dziwakiem“, lokaje opowiadali sobie, że mały Dombi nudzi. Zresztą nikt się nim nie zajmował.

Jeden Tuts miał niejakie pojęcie o nastrojach Pawła, lecz nie umiał ich wyjaśnić ani sobie ani innym. Długo i często ścigał oczami małą postać na brzegu morza i jakaś dziwna, bezwiedna sympatya ciągnęła go w stronę Dombi.

— Jak zdrowie twoje? — pytał Pawła pięćdziesiąt razy na dzień.

— Dobre. Dziękuję.

— Dajże mi rękę.

Paweł podawał rękę. Po chwili znów pytał o to samo i takąż otrzymywał odpowiedź.

Raz Tuts siedział za swem biurkiem, zajęty wedle zwyczaju swą ważną korespondencyą, kiedy olśniła go wielka myśl. Rzucił pióro, poszedł do Pawła, którego znalazł na oknie sypialni, poglądającego na morze.

— Dombi! O czem myślisz?

— O, myślę o wielu rzeczach.

— Nie może być? — zawołał Tuts z podziwem.

— Gdybyś na przykład musiał umrzeć.. zaczął Paweł.

Tuts zmieszał się.

Czy nie wolałbyś umrzeć w noc księżycową, kiedy niebo jasne i czyste, a wietrzyk powiewa, jak przeszłej nocy.

Tuts niepewnie spojrzał na Pawła, ujął go za rękę i odrzekł, że nie wie.

— Była to śliczna noc. Długo wpatrywałem się i słuchałem poszumu fal morskich. Na ich zwierciadle przy księżycowym blasku kołysała się łódź żaglowa. Dziecko mówiło z taką powagą, że Tuts uważał za niezbędne uczynić jakąś wzmiankę o łodzi.

— To kontrabandziści? — zapytał.

Rozważywszy, że każdy przedmiot ma dwie strony, dodał:

— Czy celnicy?

— Łódź z żaglem — powtórzył Pawełek — przy pełnem świetle miesiąca.

Żagiel cały srebrny. Płynęła zdala od brzegu i jak myślisz, co robiła, gdy nią tak chwiały fale?

— Nurkowała?

— Zdawało mi się, że mię wabiła ku sobie. Oto ona, oto ona!

— Kto? — przeraził się Tuts.

— Siostra moja, Florcia! Oto ona spogląda i kiwa ręką. Widzi mnie, widzi! witaj, kochana, witaj mi!

Pawełek stał na oknie, uderzał w dłonie i słał siostrze pocałunki; lecz gdy Florcia, mijając go, znikła, twarzyczka zapłoniona radośnie przed chwilą, powlokła się melancholią i niespokojnem wyczekiwaniem.

Przejścia te nie uszły uwagi nawet Tutsa. Rozmowę przerwała wizyta pani Pipczyn, która zwykle raz na tydzień o zmroku przychodziła do domu doktora, aby zobaczyć się z dawnym pupilem. Przybycie jej niemile dotknęło teraz Tutsa. który po powitaniu dwukrotnie zbliżał się do pani Pipczyn z zapytaniem o zdrowie. Wzięła to za osobistą obrazę i przypisała ją służącemu, na którego poskarżyła się przed doktorem Blimber.

Dni stawały się dłuższe i Pawełek codzień u okna wyczekiwał Florci. W pewnej chwili przechodziła ona codzień koło domu doktora dla ujrzenia brata, a widok jej jak promień słońca codzień ożywiał biednego Pawła. Nieraz po zachodzie słońca i druga postać błądziła koło domu, postać pana Dombi, który teraz rzadko już przyjeżdżał w soboty. Wolał nie być poznanym i skrycie przyglądał się wysokim oknom, gdzie syn człowiekiem się stawał. Czekał, żywił nadzieję, czatował, marzył.

O, gdyby widział, jak biedne, przygnębione chłopię, tuląc się piersią do okna, wsłuchuje się w huk fal morza i wbija zamyślone oczy w bezkreśne niebo, kędy snują się ciemne

obłoki, kędy wesoło szybują ptaki, dokąd z taką radością uleciałby on, nieszczęsny więzień!

XIII. Wieść z za morza i decyzya firmy.

W podwórzu przed biurem pana Dombi odbywał się targ detaliczny wybornymi owocami. Codzień od dziesiątej rano do piątej po południu przekupnie i przekupki zalecały przechodniom pantofle, notesy, greckie gąbki, obroże, mydło windzorskie, obrazy, a czasem nawet psy myśliwskie.

Wszystko to gorliwie zachwalano, lecz nigdy żaden przekupień nie poważył się niepokoić pana Dombi. Ilekroć znakomity kupiec zjawiał się na targowisku — wszyscy z uszanowaniem rozstępowali się prócz odważnego handlarza psiemi obrożami, który prostując się, ujmował szerokie skrzydła swego kapelusza i grzecznie się kłaniał. Przemysłowiec ten był poniekąd mężem politycznym, tak dobrze znanym handlującemu światkowi, że pewien artysta, zamieszkały w Czypsajdzie*) przygwoździł portret jego do drzwi swego sklepu. Roznosiciel biletów i plakatów na widok pana Dombi z pośpiechem otwierał naoścież drzwi biura, zdejmował czapkę i pochylał głowę ze czcią, gdy obok kroczył wyniosły pan.

*) Cheapside dosłownie = tani kąt.

Kapitan Kutl układa plany.

(Dombi i syn.)

Ale niczem to było wobec drżenia pisarzy i agentów. We wszystkich komnatach nastawała cisza uroczysta. Światło ponure i mętne, wlewające się przez szyby i otwory w suficie, ukazywało oczom ciekawego widza stosy ksiąg i papierów z numerami i tytułami. Poza tem za długim i szerokim stołem widniały postacie ludzkie z głowami posępnie zwieszonemi, o czołach zadumanych, oderwane od świata i obce mu. Można było pomyśleć, że dłoń jakiejś wszechmocnej wróżki zamieniła je w ryby i spuściła na dno morza, podczas gdy niewielka komnata kasowa w środku biura, gdzie dniem i nocą gorzała lampa pod szklanym kloszem, podobna była do jaskini morskiego potworu, obzierającego chciwemi krwi oczami dziwne tajniki głębin oceanu. W przedpokoju wiecznie siedzący posłaniec Percz odgadywał zbliżanie się szefa. Na chwilę przedtem wbiegał do jego gabinetu, dobywał z pudła węgli, rozdmuchiwał ogień na kominku, wysuszał mokrą gazetę poranną, tylko co wyzwoloną z objęć drukarskiej maszyny, ustawiał krzesła, przy wejściu pana Dombi czynił raźny zwrot na lewo, aby wziąć odeń palto i kapelusz; wnet z szacunkiem składał przed oczami pana gazetę, a wszystko to czynił z taką uniżonością, zdawało się, padałby mu do nóg pokornie, gdyby mógł i wielbiłby go tytułami, którymi zdobiła się niegdyś święta postać kalifa Haruna-al-Raszyda. — Że to jednak w Lon-

dynie nie uchodziło, posłaniec Percz poprzestawał na milczącem okazywaniu czci, a w oczach czytało się słowa: „Ty, mój władco, światło oczu moich, tchnienie warg moich, życie duszy mej — ty jesteś władcą najwierniejszego Percza.“ Pełen tych uczuć, stąpał na paluszkach, przymykał drzwi i cichutko usuwał się do przedpokoju. — Pan Dombi, niedostępna i ponura wielkość, zniżał się do ludzkości po dwóch stopniach biurowej administracyi. Pierwszym stopniem był pan Karker, drugim pan Morfin, naczelnicy wydziałów. Każdy miał pokój, złączony z rezydencyą szefa. Pan Karker, jak wielki wyzyr, usadowił się bliżej od Sułtana; pan Morfin, dostojnik niższego rzędu, mieścił się bliżej od pisarzy. Pan Morfin był to niemłody kawaler, obdarzony wesołem usposobieniem i bystremi szaremi oczami. Surdut, kamizelka i frak czarnej barwy dostrajał się do gęstych kruczych włosów, przetkanych tu i owdzie siwizną i białych bokobrodów. Szczerze szanował pana Dombi, ale i lękał się go.

Łagodny i dobry nie żywił najmniejszej zazdrości do współzawodnika Karkera, osypanego łaskami i rad był ze swego zajęcia, które nie dawało mu sposobności do wyróżnienia się. Po dziennej pracy lubił muzykę i kochał swą wiolonczelę, którą raz na tydzień przenoszono z jego mieszkania do klubu koło banku, gdzie wesołe grono co środy wygrywało kwartety.

Pan Karker, lat czterdziestu, krągły i pulchny mężczyzna, olśniewał dwoma rzędami białych i ostrych zębów. Straszne te zęby mimowoli zwracały uwagę, bo je pan Karker pokazywał przy każdej sposobności, a gdy usta rozchylały się przy uśmiechu, rzadko rozszerzającym się poza kres mięsistych warg, zdawało się, że czai się kot, gotowy do skoku po łup. Naśladując szefa, nosił wysoki, biały kołnierzyk i zapinał się na wszystkie guziki. Zachowanie się jego z panem Dombi było doskonale obmyślane. Żył z nim na stopie dość poufałej, o ile pozwalał na to stosunek podwładnego do szefa. „Panie Dombi, taki człowiek jak ja, takiemu mężowi jak pan, nigdy nie może okazać dość wysokiej czci i dostatecznego oddania się. Choćbym się przed sobą do zera stuszował, będzie za mało. Nędzny robak nie może nigdy wznieść się do najdoskonalszej istoty. Dla tego pozwól, panie Dombi, że będę bez ceremonii. Dusza moja przytem pełna ubolewania; lecz ty, mój władco, zniżysz się do ułomności swego niewolnika.“ Gdyby pan Karker wydrukował taką deklaracyę i zawiesił ją na swej szyi, nie mógłby się jaśniej określić.

Takim był Karker, prokurent firmy. Pan Karker młodszy, przyjaciel Waltera — rodzony brat tamtego, stał niezmiernie niżej we władzy biurowej. Starszy zajmował szczyt administracyjnej drabiny, młodszy dół. Od początków

karyery ani o włos się nie posunął w górę. Młodzi ludzie doganiali go, prześcigali, a on wciąż stał na końcowym szczeblu. Pogodził się ze swym losem, nie żalił się i nie żywił nadziei awansu.

— Witam pana — mówił raz główny prokurent, wchodząc rano do gabinetu pana Dombi ze zwitkiem papierów pod pachą.

— Witam pana, Karkerze. Czy jest co nowego dla mnie?

— Nie wiem, czy warto pana niepokoić. Wszak to dziś o trzeciej posiedzenie komitetu.

— Dwa. Drugie o trzy na czwartą.

— Niepodobna pana pochwycić. Jeżeli jeszcze i pan Paweł odziedziczy pańską pamięć, niełatwo będzie poradzić.

— Pamięć i u pana zdaje się niezła.

— Jeszczeby też. Wszak to jedyny kapitał takiego jak ja człowieka.

Pan Dombi, oparty o kominek, spokojnie przypatrywał się swemu prokurentowi. Wymyślność ubioru i wyszukana przesada w ruchach obliczone były na efekt. Zdawało się, że ten człowiek nadaremnie mocuje się z potężną władzą i unicestwia się doszczętnie niedosięgłą wielkością pana Dombi.

— Morfin jest?

— Obecny. Zapewne przeżuwa wrażenia swego wczorajszego kwartetu. Cały ranek tak mruczał, że można było zwaryować. Każ pan,

panie Dombi, spalić na stosie jego wiolonczelę razem z piekielnemi nutami.

— Pan nie cenisz niczego i nikogo.

— Czyżbyś pan tak sądził? Może to i prawda. Nie wielu cenię. A jeżeli mam być szczerym, jeden jest tylko człowiek na świecie, godzien mej czci.

Nikt, patrząc na wyraz twarzy Karkera nie mógłby odgadnąć, czy prawdę mówi, czy zmyśla. Lecz pan Dombi nie miał powodu nie ufać swemu pomocnikowi.

— A oto à propos Morfina. Składa raport o śmierci młodszego agenta w Barbados i prosi o zamianowanie kogoś na jego miejsce i odesłanie statkiem: „Syn i Następca“, który odpływa za pięć tygodni. Pan zdaje się nikogo nie ma na widoku?

Pan Dombi potwierdził obojętnie.

— Posada niezbyt dobra. A może Morfin przysłuży się jakiemu przyjacielowi kółka muzycznego. Niech go tam. Kto to? Proszę wejść.

— Przepraszam, panie Karker. Nie wiedziałem, że pan tu — mówił Walter, wchodząc z listami, przed chwilą wziętymi od listonosza. — Pan Karker młodszy... Przy wzmiance o tem nazwisku główny prokurzysta uczuł jakby wstyd, zwrócił na pana Dombi wzrok błagalny, pochylił głowę i przez chwilę milczał.

— Miałem zaszczyt upraszać pana — ozwał się gniewnie do Waltera — ażebyś pan nigdy w rozmowie ze mną nie wspominał nazwiska młodszego Karkera.

— Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć... pan Karker myślał, że pan już wyszedł... jabym się nie ośmielił wejść, gdybym wiedział, że pan pracuje z panem Dombi. Oto listy, adresowane do pana Dombi.

— Bardzo dobrze — rzekł prokurzysta, wyrywając listy z rąk Waltera. — Wracaj pan, skąd przyszedłeś.

Ale przy tym grubiańskim wybryku nie dostrzegł, że jeden list wypadł pod nogi pana Dombi, który go też nie widział. Walter musiał wrócić, podniósł list i położył na biurze przed panem Dombi. Było to, jakby umyślnie, pismo pani Pipczyn, zaadresowane ręką Florci z raportem o Pawełku. Pan Dombi spojrzał na kopertę, potem dumnie i groźnie na Waltera w mniemaniu, że młodzieniec z rozmysłem ten list wśród innych wyróżnił.

— Możesz pan iść na swoje miejsce — rzekł ozięble.

Zgniótł list w ręce i nie otworzywszy, ukrył w kieszeni, badawczo śledząc kroki Waltera.

— Powiedziałeś pan, że nie masz kandydata na posadę w Indyach?

— Tak.

— Wyślijcie młodego Gey'a.

— Dobrze, doskonale. Nic właściwszego nie możnaby znaleźć.

Wziął pióro i zanotował decyzyę szefa: „wysłać młodego Gey'a".

— Proszę go tu zawołać.

Pan Karker rzucił się ku drzwiom i za chwilę zjawił się z Walterem.

— Gey! — rzekł Dombi. Opróżniła się u nas posada we Wschodnich Indyach na Barbadosie. Mam zamiar posłać tam pana. Bądź pan gotów i racz zawiadomić wuja o tem zarządzeniu.

U Waltera zaparło oddech i ledwie mógł wybąkać: do Wschodnich Indyi!

— Ktoś musi przecież jechać. Jesteś pan młody, zdrów, a przytem wujowi nieświetnie się powodzi. Powiedz pan wujowi, że ja cię tam przeznaczyłem. Zresztą czas odjazdu za miesiąc lub dwa.

— Czy będę musiał tam zostać?

— Czy zostać? Co to znaczy? Co chce on przez to powiedzieć, Karker?

— To znaczy, czy będę musiał na stałe zamieszkać w Barbadosie.

— Rozumie się.

Walter ukłonił się.

— Rzecz skończona. Pan, Karkerze, objaśnisz mu w swoim czasie, jakie należy poczynić przygotowania, zapasy i tak dalej. Teraz niema co czekać.

— Nie masz pan na co czekać — powtórzył Karker, szczerząc zęby.

— A zresztą może ma co do nadmienienia?

— Nie, panie — odrzekł Walter wzburzony mnóstwem obrazów, jakie przed nim rysowała fantazya. Widział kapitana Kuttla w połyskliwym kapeluszu, słyszał rozpaczne jęki starca Sola przy pożegnaniu bez nadziei widzenia kiedy w życiu bratanka.

— Bardzom panu obowiązany — ciągnął po chwili.

— Nie ma na co czekać, Karkerze — ponowił Dombi.

I gdy Karker powtórzył to ponownie, Walter poznał, że dalszą zwłokę mianoby za niedarowaną zuchwałość; zwiesiwszy głowę, wyszedł bez słowa. W korytarzu dopędził go prokurzysta i kazał zawołać do siebie Karkera młodszego.

Karker starszy z głową butnie wzniesioną stał oparty o kominek, ukrywszy obie ręce za poły fraka. Nie zmieniając pozy, nie łagodząc gniewnego wyrazu, kiwnął zlekka głową i kazał Walterowi drzwi przymknąć.

— Janie Karker — syknął prokurzysta w stronę brata, pokazując straszne zęby, jak gdyby zamierzył gryźć swych kolegów — co cię to wiąże z tym młokosem, który niby zły duch prześladuje mnie wszędzie twem imie-

niem? Czy ci nie wystarcza, Janie Karker, że ja, twój najbliższy krewny, nie mogę się uwolnić od tej....

— Hańby zapewne. Dokończ, Dżems.

— Tak, hańby. Ale pocóż trąbić i rozgłaszać o tej hańbie wszędzie i zawstydzać mię przed całym domem? I kiedy? W chwili poufnej rozmowy z panem Dombi! Ażali wyobrażasz sobie, bracie mój, Janie Karker, że imię twe w tem miejscu ma co wspólnego z zaufaniem i otwartością?

— Nie, Dżems, nie, ja wcale tego nie myślę.

— Cóż ty sobie myślisz? Zagrodzić mi tor? Bielmem powisnąć na moich oczach? Bracie mój, bracie! Czy mało miałem z twego powodu zgryzot?

— Nigdym ciebie nie obrażał, przynajmniej świadomie.

— Tyś moim bratem — i to samo już śmiertelna obelga.

— Z duszy radbym zerwać to pokrewieństwo.

— Grób je zgładzi — mój lub twój.

W toku tej rozmowy Walter na braci spoglądał w zdumieniu i bolesnym smutku, ledwie oddychając. Młodszy stał z pochyloną głową, pokornie słuchając wyrzutów groźnego sędziego. Gorzkie to były wyrzuty, niemiłosierne, pogardliwe wobec młodzieńca, mimowolnego świadka

okropnej i zagadkowej sceny. A tymczasem ani jednej skargi, ani jednego słówka ostrego nie wydały usta podsądnego; stał i słuchał pokornie, tylko prawa ręka czyniła błagalny ruch: „zmiłuj się, zmiłuj!“ Kat nie znał litości i gryzł nieszczęsną pastwę, znękaną długą męką.

Nareszcie gorący młodzian, uznając się za niewinną przyczynę tej burzy, nie mógł wytrzymać i z ogniem ujął się za ofiarą.

— Panie Karker, wierz pan, jam tu zawinił. Lekkomyślnie pozwalałem sobie mówić o bracie pańskim daleko częściej, niż potrzeba i jego imię wbrew zakazowi pańskiemu powtarzało się w mych gawędach. Ale wina po mojej stronie cała. Ani słówkiem nie dotykaliśmy przedmiotu, wychodzącego poza kres naszych spraw osobistych. Zresztą nie zarzucam sobie nawet nierozwagi. Wiedz pan: polubiłem pańskiego szanownego brata, zaledwiem próg tego domu przekroczył. Przywiązałem się do niego od chwili objęcia służbowych zajęć. Jakże nie miałem o nim mówić, kiedym wciąż o nim myślał.

Walter mówił gorąco z zupełnem poczuciem swej szlachetności.

— A pan tymczasem, panie Karker — unikałeś mnie, wciąż unikałeś. Wiedziałem o tem i czułem to ku wielkiemu swemu żalowi. Jakichże to środków nie używałem, żeby stać

się pańskim przyjacielem! Wszystko nadaremnie!

— Zapamiętaj pan — twoje usiłowania pozostaną bezowocne, o ile przy każdej okazyi będziesz mówił o panu Karkerze. Tem wcale nie usłużysz bratu. Spytaj go samego.

— Prawda, zabójcza prawda. Krewkość pańska stanie się powodem podobnych scen, od których radbym z duszy się uwolnić. Najlepszym przyjacielem moim okaże się ten, kto nie będzie o mnie myślał, zapomni o mem istnieniu, pozostawi mię memu losowi.

— Słyszałeś pan, Walterze Gey? Jesteś pan płochy i nie lubisz słuchać, co mówią starsi, lecz ten argument ochłodzi krew twoją. A i ty, miły bracie, zapewne nie zapomnisz tej lekcyi. Dosyć. Idź pan, Walterze Gey.

Opuszczając pokój, Walter znów słyszał głosy braci i powtarzające się własne nazwisko. Wstrzymał się na progu i nie wiedział: iść czy wrócić. Wówczas usłyszał dalszy ciąg rozmowy.

— Na miłość Boską, Dżems, sądź mnie wyrozumialej, jeżeli możesz. Moje nieszczęsne dzieje wyryte tu — wskazał pierś — moje serce złamane ...oceń sam... czy mogłem nie zauważyć Waltera Gey'a? Czy mogłem nie wyrazić współczucia? Gey zaczął u nas służyć, widziałem w nim prawie drugiego siebie...

— Siebie drugiego? — pogardliwie powtórzył prokurent.

— Nie takiego, jakim jestem, lecz jakim byłem przy rozpoczęciu zawodu.

I on, jak ja niegdyś, gorący, lekkomyślny, niedoświadczony młodzian z wyobraźnią romantyczną, z sercem pełnem ognia, ze zdolnościami, które w miarę okoliczności popchną go ku złu lub dobru...

— Niby to? — rzekł brat z uśmiechem jadowitym.

— O bracie mój, bracie! Ty mnie razisz bez litości i ręka twa nie drży, zadając mi głębokie rany. O wszystkiem myślałem, wszystko przecierpiałem. Wierzyłem swym ułudom i żyłem wśród nich jak w rzeczywitym świecie. — I teraz widziałem tego chłopca na skraju przepaści bez troski igrającego, gdzie już wielu...

— Stara piosenka! No, dokończ. Gdzie wielu... runęło, czy co?

— Gdzie już jeden pielgrzym, niegdyś bezpieczny jak ten chłopiec, potykał się niebacznie, zsuwał coraz niżej i wreszcie runął na dno strzaskany i zabity.

Pomyśl, ile musiałem cierpieć, patrząc na tego młodzieńca.

— Sobie samemu za to podziękuj.

— Pewnie że sobie. Nie chcę, aby inni wstyd mój dzielili.

— Jużeś się nim podzielił — mruknął Dżems.

— Ach, Dżems! Czyż od tej pory nie byłem dla ciebie pożyteczny? Czyś nie deptał mnie nogami, gdyś się gramolił w górę? Czy naprawdę będziesz mię jeszcze teraz dobijał obcasami?

Nastąpiła cisza. Główny prokurent zaczął przeglądać papiery na znak, że chce pozostać sam. Brat zbliżył się ku drzwiom.

— Powiedziałem wszystko, Dżems. Śledziłem za gorącym młodzieńcem z niewysłowionym strachem dotąd, aż szczęśliwie ominął miejsce, od którego zacząłem się osuwać — wtedy rodzony ojciec jego nie mógłby serdeczniej dziękować Bogu. Nie śmiałem go ostrzedz, nie śmiałem doradzać; lecz w groźnej chwili byłbym opowiedział własne dzieje. Bałem się z nim mówić wobec świadków. Mogliby pomyśleć, że go pcham na złą drogę. Jakiś jad kryje się w głębi mej duszy. Rozpatrz moje dzieje w związku z losem młodego Gey'a a zrozumiesz, ile przeżyłem. Myśl o mnie wyrozumialej, Dżems, jeśli możesz.

Z temi słowy opuścił pokój. Zbladł ujrzawszy Waltera na progu, a zbladł jeszcze groźniej, gdy ten go ujął za rękę i szeptał:

— Panie Karker, przyjmij słowa podzięki Wiele ci winienem i żałuję, że stałem się przyczyną okropnej sceny. Tyś mój opiekun, mój wspaniałomyślny, zbolały ojciec. O, jak mi ciebie żal i jak ja cię kocham.

Ściskał go za rękę, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni lub mówi. Po korytarzu snuła się służba i pisarze biegali, więc Karker i Walter weszli do pokoju Morfina, do którego drzwi były uchylone. Był pusty. Walter ujrzał na obliczu Karkera świeże ślady wzruszeń.

— Walterze — rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu — myśmy rozdzieleni na zawsze. Czy wiesz, kim jestem?

— Kim pan jesteś? — wyjąkał Walter bez tchu wpatrując się w niego.

— Zaczęło się to przed dwudziestym pierwszym rokiem mego życia... Prawda — zarodek ujawnił się już przedtem, lecz dojrzał i rozwinął się około tego czasu. Okradłem ich, gdym był w tym wieku. W dwudziestym drugim roku wszystko się odkryło i wówczas... wówczas umarłem dla ludzi, dla wszystkich!

Walter poruszał wargami, ale głosu nie wydał.

— Firma obeszła się ze mną łaskawie. Niech Bóg nagrodzi starca za jego wyrozumiałość i syna, który wówczas objął kierownictwo i obdarzył mnie zaufaniem. Raz zawołano mnie do pokoju, dzisiejszego gabinetu szefa, wszedłem tem i wyszedłem tem, czem mnie pan widzisz. Potem noga moja nie przekroczyła tego progu. Wiele lat siedziałem samotny na swem zwykłem miejscu, lecz wtedy

mnie znali i służyłem za wzór dla innych. Traktowano mnie życzliwie. Czas po części zgładził mą winę i teraz nikt dokładnie nie zna mych dziejów prócz trzech ludzi. Gdy dorośnie przyszły szef firmy, powiedzą mu o mnie, lecz kąt mój będzie już pusty. Daj Boże, żeby się to stało. Przeżyłem młodość swą, nie zaznawszy jej; zamiary i nadzieje spełzły. Niech cię Bóg błogosławi, Walterze. Bądź uczciwy sam i pilnuj, by inni, drodzy sercu twemu, uczciwi byli — a gdyby nie — zabij ich lepiej.

Walter trząsł się jak w febrze, słuchając tajemniczej mowy i łzy strumieniem lały się z oczu jego. Gdy podniósł głowę, Karker siedział niemy na swem biurowem miejscu, znękany żalem. Jął się pracy i trzeba było przerwać rozmowę. Myśląc o tem, co widział i słyszał tego ranka, zaledwie mógł wierzyć, że delegowano go do Wschodnich Indyi, że w krótce musi opuścić starego Salomona, kapitana Kuttla, żegnać się z Florcią, Pawełkiem, ze wszystkiem, co kochał, czego szukał, do czego dążył.

Nie był to sen atoli. Wieść już rozbiegła się po domu handlowym i gdy Walter siedział ze sercem smutnem, z męczącą troską, podpierając głowę rękami, posłaniec Percz tknął go łokciem, przeprosił i szepnął:

— Nie mógłby pan z Indyi przysłać dobrego imbiru za tanią cenę? Widzi pan, żona powiła mi dziecię i nie szkodziłoby uraczyć ją konfiturą z imbirem.

XIV. Paweł dziwaczeje i jedzie na ferye do domu.

Zbliżyły się letnie ferye, czas miły dla żaka, a przemądrzałe pisklęta doktora Blimber nie okazywały zgoła nieprzystojnej uciechy. Wyrazy radości bujnej nie godziły się z nastrojem klasycznego zakładu. Młodzi dżentlmeni po dwakroć do roku poważnie rozjeżdżali się do domów. Może nawet nie mieli dostatecznych przyczyn do radości z powrotu do pieleszy ojczystych.

Z pośród towarzyszy Pawełek stanowił wyjątek. Wakacye przedstawiały się wyobraźni jego jako szereg jasnych dni świątecznych, a choć koniec ich zaćmiewał się widokiem rozłąki z Florcią, która już nie wróci do Brajton, to jednak Paweł odsuwał myśl tę od siebie. I pocóż myśleć o końcu świąt, które się nawet nie zaczęły? Przed ich nastaniem lwy i tygrysy na ścianach dziecinnej sypialni oswoiły się i poweselały. Potworne wykrętasy na dywanach nabrały harmonii rysunkowej i czułym wyrazem okazywały współczucie obserwatorowi.

Ścienny zegar złagodniał i zapytywał o zdrowie małego przyjaciela. Tylko burzliwe morze jak dawniej nocami zawodziło pieśń melancholii pełną; lecz i w niej odzywały się dźwięki tkliwe a fala, jak dbała piastunka, kołysała Pawełka do snu w jego łóżeczku. Tuts już kończył kurs swego wykształcenia i codzień uwiadamiał o tem Pawła z zastrzeżeniem, że stanie się samodzielnym właścicielem dziedzicznego majątku.

Oczywiście Tuts i Dombi zawarli dozgonną przyjaźń bez względu na różnicę lat i uzdolnień. Przed feryami Tuts prawie nie rozstawał się z Pawłem, darząc go wyrazistemi spojrzeniami.

Doktor Blimber, pani i panna Blimber zauważyli, że Tuts przyjął na siebie obowiązek obrońcy i opiekuna Pawełka, co też doszło wkrótce do wiadomości i pani Pipczyn, która skutkiem tego z duszy go nienawidziła, zwąc nie inaczej, jak „bałwanem szczerzącym zęby“. Nie podejrzywał jednak wcale gniewu pani Pipczyn i w prostocie serca wciąż miał ją za damę czcigodną. Z tej przyczyny, ilekroć przychodziła do Pawełka, śmiał się uprzejmie i pytał o zdrowie tak gorliwie, że szanowna dama zniecierpliwiona raz wieczorem oznajmiła mu bez ogródki, „że głupi i że wcale nie myśli“ znosić impertynencyi młokosa. Strapiony taką przygodą,

uciekł do kąta i nie śmiał pokazywać się na oczy rycerskiej damie.

Raz, na dwa czy trzy tygodnie przed feryami, Kornelia Blimber wezwała Pawła do siebie i rzekła:

— Dombi, chcę wysłać do Londynu twoją *Analysis*.

— Bardzo dziękuję, miss.

— Wiesz, co to *Analysis?*

— Nie, pani, nie wiem.

— Ach, Dombi, Dombi! Zaczynam myśleć, że jesteś zły chłopczyk. Dla czegóż nie zapytasz, skoro nie rozumiesz naukowego słowa?

— Pani Pipczyn mówiła, że nie powinienem zadawać pytań.

— Zabraniam ci raz na zawsze wspominać mi o pani Pipczyn. To nie do pojęcia. Kurs nauk tutejszy bardzo daleki od zakresu wiedzy jakiejś tam pani Pipczyn. Jeżeli jeszcze raz choć słówko powiesz o pani Pipczyn, będę musiała jutro rano przesłuchać z gramatyki od *verbum personale* do *simillima cigno* włącznie...

— Wcale nie chciałem, miss...

— Nie potrzebuję wiedzieć, coś chciał, a czegoś nie chciał. Proszę na przyszłość nie używać tych wykrętów....

Paweł umilkł. Panna Kornelia z powagą wzięła papier i odczytała tytuł: „*Analysis* charakteru Pawła Dombi".

— Uważajże Dombi. Słowo *Analysis* znakomity nasz współrodak Uoker objaśnia tak: *Analysis* jest to rozkład przedmiotu, podlegającego uczuciom lub wrażeniom, na jego składowe pierwiastki. Ze swej strony uważam za właściwe dodać, że rozbiór w logicznem pojęciu przeciwstawia się syntezie. Zrozumiałeś?

Jasne światło naukowego wyjaśnienia nie dokonało zbyt wyraźnego przewrotu w mózgu Pawełka. Skłonił się i milczał.

— Tak tedy — ciągnęła Kornelia — *Analysis* charakteru Pawła Dombi. Sądzę, że zdolności Dombi bardzo dobre i jeśli się nie mylę, ogólna jego skłonność do kultury stoi w tym samym stosunku. Przyjmując tedy zgodnie z naszą normą liczbę ośm za maximum czyli za wyższą miarę przy ocenie intelektualnych i moralnych uzdolnień osobnika, mogę oznaczyć każdy z tych atrybutów szóstką i trzy czwarte.

Panna Blimber przerwała, śledząc wrażenie. Biedny Paweł nie mógł żadną miarą wyrozumieć, co znaczyło właściwie sześć i trzy czwarte: czy sześć funtów sterlingów i piętnaście szylingów i sześć pensów i trzy szelągi, czy sześć stóp i trzy cale, czy bez ćwierci siedm godzin, czy jakiś nieznany przedmiot wraz z innym, którego się nie nauczył. Napróżno łamał głowę,

zacierał ręce i spoglądał na miss Blimber. Pewna, że wszystko to jak dzień jasne, Kornelia ciągnęła dalej:

— Zachowanie się — dwa. Zarozumiałość — dwa. Skłonność do złego towarzystwa, ujawniona z powodu niejakiego Globba, zrazu siedm — zmniejszyła się następnie do czterech i pół. Dżentlmeński układ na razie cztery, z czasem powiększy się. Teraz, Dombi, chciałabym zwrócić twoją uwagę na spostrzeżenia w końcu rozbioru.

Paweł uważnie słuchał.

W ogóle trzeba powiedzieć o Dombi, że zdolności i usposobienie bardzo dobre i że w danych warunkach okazał bardzo piękne postępy. Lecz na nieszczęście trzeba i to o nim powiedzieć, że bardzo dziwaczny w swoim charakterze i zachowaniu się, to też nie bez racyi uzyskał nazwę dziwaka; choć, ściśle biorąc, nie można mu nic wytknąć, coby godne było potępienia, to jednak często wcale nie bywa podobny do swych towarzyszy i rówieśników.

— No, Dombi, czyś dobrze zrozumiał?

— Zdaje mi się, miss.

— Ten rozbiór mam zamiar wysłać do Londynu szanownemu ojcu twemu; przykro mu będzie dowiedzieć się, że syn jego staje się cudakiem. To i dla nas niemiło, bo nie możemy ciebie tak lubić, jakbyśmy pragnęli.

Kornelia dotknęła najczulszej struny w duszy biednego chłopczyny i odtąd usiłował wszelkimi sposobami pozyskać miłość w domu doktora. Z jakichś tajemnych pobudek, nawet dla niego niezbadanych, koniecznie chciał pozostawić w tem miejscu dobrą po sobie pamięć Nieznośną dlań była myśl, że odjazd jego obojętnie przyjmą. Postanowił koniecznie wysłużyć sobie względy i pogodzić się w tym celu nawet z psem łańcuchowym, którego nie cierpiał. „Niech i pies ten nie ma do mnie żalu“ — myślał. Nie przeczuwając, że i przez inne swe czyny różnił się wybitnie od rówieśników, biedak nieraz naprzykrzał się pannie Kornelii i usilnie prosił, aby go kochała bez względu na straszną analizę. Taką samą prośbę zanosił i do pani Blimber. Szanowna dama wobec niego ponowiła mniemanie ogółu o dziwactwie. Paweł nie przeczył, dodał tylko, że jest to zapewne skutkiem jego chorych kości, lecz bądź co bądź ma otuchę, że dobra pani Blimber przebaczy mu, bo on wszystkich lubi.

— Zapewne — mówił Paweł z otwartością, stanowiącą najpiękniejszy rys jego charakteru — zapewne, ja nie kocham tak państwa, jak siostrzyczkę Florcię — ale tego państwo i sami nie wymagacie — wszak prawda?

— Co za oryginalny chłopiec! — powiedziała pani Blimber. — Istny cudak!

— Ale jednak ja bardzo lubię i panią i wszystkich w tym domu i będzie mi bardzo przykro, jeżeli kto ucieszy się z mego wyjazdu. Na miłość Boga błagam, by mię pani pokochała.

Pani Blimber teraz stanowczego nabyła przeświadczenia, że na świecie niema chłopca dziwaczniejszego niż Paweł a gdy to mniemanie z odpowiedniem wyjaśnieniem zakomunikowała doktorowi, wzmocnił on sąd ten dowodami naukowymi i dodał, że erudycya z czasem wszystko zdoła poprawić. Poczem wyrzekł do córki z naciskiem: „prowadź go naprzód, Kornelio, wciąż naprzód.“

I Kornelia ciągnęła go z całej siły. A Paweł bez tchu pracował, rwał się ponad siły i ani na chwilę nie tracił z oka głównego celu: pozyskać przychylność całego domu. Stał się uprzejmym, usłużnym, tkliwym, uprzedzającym; wprawdzie czasami jak dawniej siadywał na stopniach schodów lub w zamyśleniu przypatrywał się falom i chmurom ze swego okna, lecz nie stronił od kolegów, bawił się z nimi i skromnie świadczył im przysługi bez prośby i przymusu z ich strony.

Upragniony cel świetnie zdobył. Pokochali go, jak subtelną zabawkę, wymagającą delikatnego obejścia się. Jednak chłopczyna nie mógł przemódz swej natury lub odmienić analizy i przydomek dziwaka pozostał mu na

zawsze. To nie przeszkadzało mu wyrobić sobie przywilejów, z jakich nie korzystał żaden pupil. Wszyscy uczniowie, żegnając się codziennie, kłaniali się panu Blimber, a Paweł Dombi śmiało wyciągał rączkę; gdy komu groziła kara, Paweł szedł jako delegat do gabinetu doktora i nieraz wypraszał przebaczenie. Napół ślepy służący naradzał się z nim nieraz z powodu stłuczonej filiżanki, a nawet sam bufetowy człowiek niedostępny, życzliwie nań patrzył i nieraz dolewał do piwa nieco porteru, żeby wzmocnić siły chłopięcia.

Prócz tych przywilejów miał Paweł prawo wchodzić zawsze do pokoju Fidera, skąd mu się dwa razy udało wywieść na świeże powietrze blizkiego zemdlenia Tutsa z powodu mocnego cygara, dobytego z paczki, kupionej u kontrabandzisty. Pan Fider miał ładny pokój z małą sypialnią. Nad kominkiem wisiał flet; jeszcze nie grał na nim, ale miał zamiar nauczyć się.

Tu widniała wędka z przyrządami do rybołóstwa. Pan Fider postanowił nauczyć się łowić ryby, choć jeszcze ani razu nie uprawiał tej sztuki. Pośród książek biła w oczy gramatyka hiszpańska i warcabnica. Pan Fider dotąd nie grał w warcaby i nie rozumiał po hiszpańsku, ale miał zamiar jak najprędzej nauczyć się jednego i drugiego. W tym samym celu rozstawiono nabyte w różnych miejscach: pędzelki

do farb, używaną waltornię, parę rękawic do boksowania. „Sztuka samoobrony — mawiał pan Fider — jest jedną z najważniejszych sztuk, niezbędnych dla mężczyzny, cześć ceniącego. Kto nią nie włada, nie może pospieszyć na pomoc słabej i bezbronnej kobiecie. Niezawodnie nauczę się boksowania.“

Ale najdroższym skarbem w gabinecie pana Fidera był wielki zielony dzban z tabaką, ofiarowany mu w końcu ostatnich wakacyi przez Tutsa, który go nabył za dużą cenę, gdyż należał pierwotnie do księcia panującego. Pan Fider i pan Tuts, zażywając tę tabakę, kichali do upadłego a nosy ich okazywały znamiona kurczowego paroksyzmu. Oddawali się tej rozkoszy po szeregu przygotowań, przestrzeganych surowo. Rozwinąwszy na stole arkusz papieru najlepszego, wysypywali odpowiednią ilość tabaki, skrapiali ją zieloną herbatą, mieszali łyżeczką lub scyzorykiem a potem napełniwszy tabakierki, zaczynali wąchać. Nabijając nosy, cierpieli mękę nieznośną z dziwnem poświęceniem a następnie dla tem większej rozkoszy, aby już odrazu poznać cały urok dosytu, spijali butelkę mocnego porteru.

— Pawełek, zasiadający czasami obok swego protektora Tutsa, odczuwał przy tej hulance jakiś rodzaj zaczarowania i kiedy pan Fider, gawędząc o tajemnicach Londynu, zwierzał się Tutsowi, że ma zamiar podczas tego-

rocznych feryi poznać je we wszystkich najdrobniejszych szczegółach i odcieniach i dla tego najął już mieszkanie u dwóch starych panien w Pekgemie, Paweł przyglądał mu się niby tajemniczemu bohaterowi fantastycznych przygód i prawie lękał się go.

Raz wieczorem tuż przed feryami wszedł do pokoju Fidera i zastał obu przed dużą paczką litografowanych biletów. Pan Fider wpisywał nazwiska i adresy, a Tuts składał i pieczętował.

— Aha, Dombi — zawołał Fider — jesteś, przyjacielu. Dobrze.

Rzucił mu jeden bilet i rzekł:

— Masz, Dombi, to twój,

— Mój?

— Twój bilet zapraszający na bal.

Paweł czytał:

„Doktor Blimber i pani Blimber przesyłają wyrazy uszanowania panu Pawłowi Dombi i mają zaszczyt zaprosić go uprzejmie na przyszłą środę o pół do ósmej po południu. Wieczór rozpocznie się kadrylem!“

Okazało się, że doktor Blimber i pani Blimber przesyłali wyrazy uszanowania całemu gronu młodych dżentlmenów i uprzejmie zapraszali ich na bal.

Potem Fider ku nieopisanej radości Pawła oznajmił, że i siostra jego Florentyna Dombi także na bal zaproszona, a że tego dnia kończy

się rok szkolny, to wnet po balu, jeśli chce, może jechać z siostrą do domu, na co Paweł natychmiast odrzekł, że bardzo chce. Dalej pan Fider dodał, że doktor i pani Blimber oczekują odpowiedzi, która ma być napisana najdrobniejszem pismem na cienkim papierze w tej formie: „Paweł Dombi, przesyłając wyrazy najgłębszego uszanowania wielmożnym państwu Blimber, ma zaszczyt oznajmić, że będzie miał to sobie za bardzo miły obowiązek skorzystać z ich uprzejmego zaproszenia i stawi się niezawodnie w przyszłą środę punktualnie o pół do ósmej po południu.“ Nareszcie pan Fider radził nic nie mówić o tych zaproszeniach wobec państwa Blimber, bo według prawideł klasycznego wychowania i dobrego tonu przypuszcza się, że ani państwo Blimber ani młodzi ludzie nie mają najmniejszego pojęcia o uroczystości.

Podziękowawszy za rady, ukrył zapraszający bilet i usiadł jak zwykle obok Tutsa; lecz głowa jego, dawno już słaba i ciężka, tak rozbolała tego wieczoru, że musiał wesprzeć ją rękami i za kilka minut padł jak snop na kolana Tutsa. Po pewnym czasie odzyskał przytomność, podniósł z trwogą głowę i ujrzał, że do pokoju wszedł doktor Blimber, że otwarto okno, że głowę zlewano mu wodą. Jak to się wszystko stało i dla czego, nie umiał pojąć.

— Ocknął się, ocknął! No, chwała Bogu. Teraz nic — rzekł doktor Blimber. Jak się czujesz, mój mały przyjacielu?

— Bardzo dobrze, dziękuję.

Ale zdawało mu się, że pokój i wszystkie przedmioty zmieniły położenie. Podłoga chwiała się, ściany krążyły i skakały, Tuts napęczniał tak, że głowę ma jak beczka, a gdy wziął ulubieńca na ręce, aby go zanieść na górę, Paweł zdumiał się, bo ujrzał, że Tuts gramoli się z nim prosto do komina. Tuts zaniósł go do sypialni, czego przedtem nigdy nie czynił, to też Paweł dziwił się tej uprzejmości. Dziękował. Tuts rozebrał go, ułożył go w łóżku, siadł przy nim i uśmiechał się. W tem Tuts znikł i zamienił się w panią Pipczyn. Paweł nie pytał, jak się to stało i nie okazywał najmniejszych śladów zdziwienia.

— Pani Pipczyn — prosił — proszę nie mówić Florci.

— Czego nie mówić, kochanku?

— O mnie nie mówić.

— Nie, nie. Bądź spokojny.

— A jak pani myśli, co ja będę robił, gdy dorosnę?

Pani Pipczyn nie mogła odgadnąć.

— Oto co. Oddam swoje pieniądze do banku, rzucę wszelki handel, pojadę z siostrą na wieś, założę prześliczny ogród i będę się z nią przechadzał przez całe życie.

— Naprawdę?

— Niezawodnie. Tylko... jeżeli...

Przerwał i przez chwilę milczał. Szare oczy pani Pipczyn snuły się po jego twarzy.

— Jeżeli tylko dorosnę — dokończył.

Potem zaczął opowiadać o szczegółach balu, o zaproszeniu Florci, o tem, jak będą się zachwycali nią młodzi dżentlmeni, jak mu to będzie miło, i nareszcie, jak go kochają i jak go to cieszy. Opowiedział pani Pipczyn o swej analizie, o tem, że ma być dziwakiem, że wcale tego nie pojmuje i prosi usilnie, aby mu pani Pipczyn wyjaśniła, co to dziwak i dla czego on dziwak? Pani Pipczyn krótko i jasno zadecydowała, że wszystko to głupstwo, lecz Paweł nie zadowolił się tą odpowiedzią i wpił w nią takie badawcze spojrzenie, że musiała odwrócić się i odejść do okna.

Pewien skromny aptekarz i lekarz równocześnie nagle zjawił się w sypalni wraz z panią Pipczyn. Jak przyszli, po co przyszli i czy dawno przyszli — nie mógł sobie wytłómaczyć. Ujrzawszy ich przy łóżku, podnosił się i odpowiadał dokładnie na wszelkie pytania lekarza, którego nareszcie prosił na ucho, żeby nic nie wspominał Florci, bo niedługo będzie bal i ona zaproszona. Wogóle dużo z lekarzem rozmawiał i rozstał się w doskonałej zgodzie. Kiedy zamknął oczy, zdawało mu się, jak gdyby lekarz mówił, że w chłopczynie widoczny brak sił ży-

wotnych (co to takiego? — myślał Pawełek) i znacznie osłabiony organizm. „Ponieważ dziecko mocno przywiązało się do myśli, że ośmnastego będzie na balu i odjedzie do domu, można już mu pozwolić na ten kaprys, żeby się nie pogorszyło. To dobrze, że odjeżdża do rodziny. Sam napiszę do pana Dombi, skoro tylko zapoznam się bliżej z tokiem choroby. Na razie, zdaje się, niema jeszcze wielkiej“... Ale czego niema, Paweł nie dosłyszał. Na zakończenie lekarz dodał, że cudowne, lecz bardzo dziwne dziecię. Coś im się wszystkim przywidziało z tem mojem dziwactwem! — myślał Paweł.

Tymczasem pani Pipczyn znów się znalazła obok niego, a może nawet nie odchodziła zupełnie. Teraz miała w rękach nie wiedzieć na co osobliwszą flaszeczkę i czarkę i podawała czarkę Pawełkowi. Potem dała mu jakiejś słodkiej galaretki i stan jego tak się polepszył, że na jego usilną prośbę pani Pipczyn odeszła do domu, a Briggs i Tozer zasiedli przy łóżku. Biedak Briggs okropnie dąsał się na swą analizę, gdzie go z niemiłosierną sztuką doświadczonego chemika rozłożono na składowe części. Ale mimo tego bardzo uprzejmie postępował z Pawłem i on i Tozer i inni koledzy, gdyż każdy, kładąc się spać, zbliżał się doń i pytał: Jakże ci, Dombi? Jak się czujesz, Dombi? Nie trać humoru i odwagi... i t. d. Briggs

długo przewracał się w łóżku i żalił się na swą analizę, utrzymując, że ani za grosz w niej nie ma prawdy i że go zanalizowano jak bandytę.

— Coby to powiedział doktor Blimber, gdyby tak jego zanalizować? Przecież od tego zależy moja gaża kieszonkowa. Nie bagatela! Półtora roku męczyli biednego chłopca niby posługacza, a potem ogłosili go za leniucha. Nie dawali obiadu dwa razy na tydzień, a potem nazwali żarłokiem. Chciałbym widzieć, jakby on nie stał się łakomym na mojem miejscu.

Nazajutrz rano służący, zanim zaczął uderzać w gong, ostrzegł Pawła, żeby się nie niepokoił i spał bezbiecznie, podczas gdy inni będą się ubierali.

Paweł się ucieszył. Wkrótce przybyła pani Pipczyn, za nią lekarz, za lekarzem Melia, ta kobieta, która wygarniała popiół z kominka, pierwszego dnia po zainstalowaniu się Pawła w domu doktora. Och, jak to było dawno, jak dawno! Wszystkie te osoby oglądały Pawełka, pytały, jak się czuje i odeszły do sąsiedniego pokoju na naradę. Potem wrócił lekarz z doktorem i panią Blimber. Lekarz mówił:

— Tak, panie doktorze, radzę zwolnić tego dżentlmena od wszelkich zajęć. Wszak to i wakacye za drzwiami.

— Rozumie się — odrzekł doktor Blimber. — Kochanko, uwiadom o tem Kornelię.

Lekarz z taką pieczołowitością badał tętno, serce, oczy małego pacyenta, że Paweł mimowiednie dziękował.

— Mały nasz przyjaciel — zauważył doktor Blimber — zdaje się, nie skarżył się nigdy. Wydaje się zatem panu, że ma się lepiej?

— O wiele lepiej — odrzekł lekarz jakimś dwuznacznym tonem.

Paweł pogrążył się w rozmyślaniu nad odpowiedzią lekarza, lecz ten odgadłszy myśl pacyenta, odpowiedział mu zachęcającym i przyjacielskim uśmiechem. Pawełek też się uśmiechnął.

Cały ten dzień przeleżał w łóżku, drzemał, marzył, chwilami patrzył na Tutsa. Nazajutrz wstał bardzo rano, zeszedł na drugie piętro do sali, stanął przed zegarem i.... o cudo! zegar nie pytał więcej: jak — się — ma — mój — mały — przy — ja — ciel. Cyferblat zdjęto i zegarmistrz na drabince ruchomej zanurzał jakieś przyrządy w głąb maszyneryi. To nadzwyczaj zadziwiło Pawełka. Usiadł sobie na szczeblu drabinki i zaczął uważnie śledzić operacye, poglądając chwilami na cyferblat, który się nań boczył.

Zegarmistrz był uprzejmy i spytał Pawełka o zdrowie, na co Pawełek odrzekł, że nie znajdują go należytem, ale zresztą nic to. Potem Paweł zadał zegarmistrzowi mnóstwo pytań co do dzwonów i bicia zegarów. Chciał się

dowiedzieć, czy jest kto w nocy na dzwonnicy, gdy zegar wydzwania, czy dzwon zegarowy sam uderza i jak to się dzieje? Dla czego inaczej dzwonią na pogrzeb a inaczej na wesele, czy może dzwonią jednako, tylko się tak zdaje, że inaczej — i dlaczego tak się zdaje? „Czy nie byłoby lepiej — pytał — mierzyć czas spalaniem się świec, jak chciał to czynić król Alfred? Wszak pan zna króla Alfreda?“ Zegarmistrz odrzekł, że nie zna, lecz myśli, żeby to było źle, bo zegarmistrze nie mieliby z czego żyć. Wogóle rozmowa toczyła się zajmująco, a Paweł śledził pracę dopóty, aż cyferblat zajął dawne położenie. Zegarmistrz złożył przybory do koszyka, pożegnał swego współbiesiadnika i odchodząc zauważył: Co to za dziwne dziecko! Dziwak i koniec!

— Dla czego oni zmówili się, żeby mnie dziwakiem nazywać. Dziwak i dziwak! Stanowczo nie rozumiem.

Nie mając lekcyi, dużo teraz rozmyślał.

Przedewszystkiem — Florcia na bal przyjedzie. Zobaczy, że chłopcy go lubią i to będzie Florci miłe. Niech Florcia wie, że młodzi dżentlmeni są dlań uprzejmi i dobrzy. Wtedy pomyśli, że mu nie nudno i może nie bardzo doń będzie tęskniła, gdy po wakacyach znowu go do pensyonatu odwiozą.

Nastał wreszcie siedmnasty. Doktor Blimber po śniadaniu odezwał się do młodych dżentlmenów:

— Panowie, lekcye wasze rozpoczną się na przyszły miesiąc dwudziestego piątego.

Tuts natychmiast włożył pierścionek, przybrał dumną minę angielskiego obywatela i w rozmowie z towarzyszami o byłym dyrektorze bez ceremonii nazwał go Blimberem. Starsi koledzy z zazdrością spoglądali na obywatela a młodzi nie mogli zrozumieć, dla czego Tutsa za tę niesłychaną zuchwałość burza nie zwiała z oblicza ziemi.

Przy śniadaniu nikt ani wspomniał o wieczornej uroczystości, lecz w domu przez cały dzień panował zamęt. Wieczorem sypialnia zamieniła się w magazyn białych kamizelek i krawatów i czuć było daleko woń spalonych włosów, tak że doktor Blimber, przesyłając swym pupilom pozdrowienie, polecił zapytać, czy się nie pali w ich pokoju. Służący wrócił z wieścią, że fryzyer, robiąc fryzury paniczom, zanadto rozgrzał szczypce w zbytnim swym ferworze.

Pomimo osłabienia i senności Paweł ubrał się na prędce i zeszedł do sali, gdzie już przechadzał się doktor Blimber, a wkrótce zjawiła się pani i panna.

Z gości pierwsi byli Tuts i Fider. Obaj mieli w rękach kapelusze, jak gdyby przyjechali z daleka, a gdy bufetowy ich zaanonsował, doktor Blimber rzekł:

— Witam panów, bardzo mi przyjemnie. Tuts miał śliczną szpilkę, pierścionek, po dżentlmeńsku złożył ukłon damom i podał rękę doktorowi.

Wkrótce potem przybyli i inni młodzieńcy, za nimi pan Baps, tancmistrz, z żoną. Postawa pana Bapsa była wspaniała, mówił doniośle akcentując każdą sylabę. Zbliżył się po chwili do Tutsa, który się zachwycał swymi bucikami i spytał:

— Co pan sądzisz o surowych produktach, sprowadzanych do naszych przystani z zagranicy w zamian za złoto? Co czynić z nimi?

— Gotować je — bez zająknienia odrzek Tuts.

Na tem urwała się rozmowa, chociaż zdawało się, że tancmistrz nie podzielał zapatrywania Tutsa.

Paweł, który siedział na miękkiej sofie obłożony poduszkami, zerwał się i pobiegł do sąsiedniego pokoju czekać na Florcię; nie widział jej od dwóch tygodni. Wkrótce zjawiła się jak anioł piękna w swym balowym stroju, ze świeżych kwiatów bukietem w ręku. W pokoju była tylko przyjaciółka Pawła Melia, kiedy Florcia uklękła, żeby ucałować braciszka. Paweł rzucił się w jej w objęcia i nie mógł oczu oderwać od jej twarzy.

— Co ci to, Florciu? — spytał Pawełek prawie pewny, że ujrzał łzę na policzku siostry!

— Nic, kochanku, nic.

Paweł dotknął paluszkiem policzka; w istocie była to łza.

— Najdroższa, co ci jest?

— Pojedziemy do domu i będę się tobą opiekowała.

— Będziesz się opiekowała?

Dziwił się, dla czego młode kobiety spoglądały nań z takiem zamyśleniem, dla czego Florcia na chwilę się odwróciła i znów nań patrzyła z uśmiechem.

— Florciu — powiedz mi, najdroższa, czy to prawda, że jestem cudak?

Florcia zaśmiała się, przytuliła i rzekła: Nie.

— A oni wszyscy powiadają, że jestem dziwak. Chciałbym wiedzieć, co to dziwak?

W tej chwili zastukano do drzwi i Florcia nie dała odpowiedzi. Paweł zauważył, że Melia o czemś z nią szeptała; lecz weszli goście i uwaga jego skierowała się gdzieindziej.

Byli to Barnet Skettls, pani i syn jej, dziecko, mające zacząć po wakacyach kurs nauk u pana Blimber. Ojciec był posłem do parlamentu i pan Fider zapowiedział, że pan Barnet niewątpliwie ukręci karku szalonej partyi radykałów w izbie dolnej, byleby mu się udało „pochwycić spojrzenie prezydenta,“ czego się nie mógł doczekać*)

*) Kiedy członek izby dolnej powstaje, aby wygłosić mowę, nie może jej zacząć, zanim nań nie spojrzy pre-

— Jaki to pokój? — spytała pani Skettls Melii.

— Gabinet doktora Blimbera.

— Badzo ładny pokój. A kto ten chłopczyk? Czy nie jeden z młodszych dżentlmenów?

— Tak.

— Jak się nazywasz, kochanku?

— Dombi — odrzekł Paweł.

Na to pan Barnet wmieszał się do rozmowy i oznajmił, że spotykał ojca Pawła na publicznych zebraniach i bardzo mu przyjemnie poznać syna. Paweł dosłyszał, jak zwrócił się do ledi ze słowami: City — bogacz — bardzo znany.

— Proszę ojcu przesłać wyrazy najgłębszego szacunku — kończył pan Barnet.

— Bardzo dobrze — odrzekł Paweł.

— Jaki rozumny chłopczyk — ciągnął pan Barnet. — Synu, zapoznaj się z młodym dżentlmenem. To taki dżentlmen, z którym możesz i powinieneś się zaznajomić.

— Jaka miła twarzyczka! Co za oczęta! Co za włoski! — wołała ledi, lornetując Florcię od stóp do głowy.

— Siostra moja, Florcia Dombi — rekomendował Paweł.

Skettlsowie zachwycali się. Całe towarzystwo udało się razem do sali. Pan Barnet wprowadził Florcię, a młody Skettls szedł z tyłu.

---

zydent. Stąd wyrażenie *to catch the Speaker's eye* równe wyrażeniu: otrzymać głos.

Doktor Blimber niebawem skłonił go do tańca z Florcią. Paweł podejrzewał, że dziki chłopiec nierad był z towarzystwa i gniewał się. Nikt nie chciał zająć jego miejsca na sofie między poduszkami, a młodzi dżentlmeni przy wejściu do sali wyraźnie wskazywali mu to miejsce. Dostrzegłszy, że młody Dombi z rozkoszą przygląda się tańczącej siostrze, ustawili się tak, że nikt mu jej widoku nie zasłaniał i mógł wodzić za nią oczami bez przeszkody. Wszyscy goście okazywali mu tyle względów, zbliżali się doń z zapytaniami, jak się czuje, czy go nie boli główka, czy się nie zmęczył? Paweł z duszy dziękował i rozsiadłszy się na kanapie razem z panią Blimber i ledi Skettls, czuł się szczęśliwym, zwłaszcza że Florcia po każdym tańcu siadała obok i rozmawiała z nim.

Onaby z radością wcale nie tańczyła, byle wieczór spędzić koło Pawełka, lecz on chciał, żeby tańczyła, bo mu to sprawia przyjemność. Mówił prawdę; serce mu radośnie skakało, twarzyczka płonęła, gdy widział, że wszyscy zachwycają się Florcią.

Obłożony poduszkami na swem wysokiem siedzeniu widział i słyszał wszystko, co się działo, jak gdyby cały bal urządzono dla jego rozrywki. Między innemi rzeczami słyszał, jak tancmistrz Baps zbliżył się do posła i spytał go, jak Tutsa:

— Jak pan myśli co do surowych produktów, sprowadzanych za nasze złoto z za granicy: co czynić z nimi?

Pan Barnet wiele i długo i mądrze rozprawiał o tym przedmiocie, a jednak nie zadowolił Bapsa.

— Wszystko to prawda, zupełnie podzielam pańskie zdanie; jednak przypuśćmy, że Rosya zawali nasze porty swojem sadłem — wtedy co?

Barnet czuł się zakłopotany nieoczekiwanem przypuszczeniem, jednakże opamiętał się wnet i rzekł:

— No, wtedy trzeba będzie zwiększyć przetwory bawełniane.

Pan Baps nie czynił dalszych uwag i podążył do swej małżonki. Pan Barnet nie wątpił, że jego partner — jakaś znakomita figura — zwrócił się do pana Blimber z pytaniem:

— Powiedz mi pan, z łaski swej, doktorze — jegomość ów zapewne służy w departamencie handlu zewnętrznego?

— O nie — to nasz nauczyciel.

— Statystyki czy ekonomii politycznej?

— Niezupełnie tak...

— A zatem niewątpliwie trudni się badaniem figur matematycznych lub czego w tym rodzaju?

— Właśnie figur — rzekł pan Blimber — pan Baps, nasz nauczyciel tańca, najlepszy człek to w swoim gatunku.

Pan Barnet nasrożył się, rozindyczył i zbliżając się do swej małżonki, oświadczył, że jegomość, z którym rozmawiał — naj-bez-wstydniej-szy zuchwalec w swoim rodzaju. Paweł nie mógł zmiarkować, dla czego pan Barnet tak szybko zmienił opinię o panu Bapsie, którego mu przedstawiono jako najlepszego człowieka. W rozmowie z Pawłem ledi Skettls domyślała się, że bardzo lubi muzykę.

— Lubię, miledi, a jeżeli i pani lubi, radzę posłuchać, jak śpiewa Florcia.

Ledi natychmiast dodała, że ginie z niecierpliwości usłyszenia śpiewu panny Dombi, a kiedy Florcia drożyła się, Paweł ją zawołał i rzekł:

— Florciu, bądź łaskawa dla mnie, kochanko, zaśpiewaj.

Wtedy podeszła do fortepianu i śpiewała. Goście rozstąpili się, aby nie zakryć siostry przed wzrokiem Dombi. I widział, że siostra — dobra, miła, piękna siostra — stała się przedmiotem uwagi całego zebrania, słyszał głos jej czarujący i słodki, rozlegający się śród ciszy lśniącej sali dźwięczną melodyą miłości i nadziei: odwrócił twarzyczkę i zalał się łzami, nie, żeby melodya była smutna, lecz dla tego, że „ona dla mnie najukochańsza“ — jak odpowiadał na trwożne zapytania gości.

Wszystkim podobała się Florcia, bo i jak miała się nie podobać? Ze wszystkich stron dobiegały go pochwały dla „siostrzyczki małego

Dombi"; wszyscy podziwiali rozum, skromność, talent małej carodziejki i Paweł był w jakiemś upojeniu: sala balowa zamieniała się w pyszny ogród, atmosfera zaś nasycona była słodką sympatyą, od której serce rozpływało się, napełniało błogością. Nareszcie wybiła godzina rozłąki i zaczął się ruch wśród gości doktora Blimbera. Pan Barnet powtórzył prośbę o załączenie wyrazów głębokiego szacunku panu Dombi, ledi Skettls z macierzyńską tkliwością ucałowała go w głowę, a nawet pani Baps spieszyła uściskać Pawełka, życząc mu wszelkich pociech.

Żegnaj mi, doktorze Blimber — mówił Pawełek, wyciągając rękę.

Bądź zdrów, mój mały przyjacielu, zawsze byłeś ulubionym moim uczniem. Bądź zdrów, niech cię Bóg błogosławi.

Młodzi dżentlemeni zbiegli się, aby go jeszcze widzieć, ściskali mu ręce, machali kapeluszami, prosili, żeby o nich nie zapominał. Kiedy Florcia na ganku otulała go pledami, Paweł szeptał: „Słyszysz, najdroższa? Czy jesteś rada? Czy o tem zapomnisz?" A oczy skrzyły mu się zachwytem, gdy to mówił.

Przy wsiadaniu do karety jeszcze raz objął tłum, który go odprowadzał i wszystkie przedmioty zaczęły znowu krążyć i skakać, jak gdyby przypatrywał się przez szkła lornetki, chwiejącej się w rękach. Potem zaszył się w kąt karety i mocno przylgnął do Florci.

Cała wzruszająca scena pożegnania wydała mu się sennem widzeniem, niepokojącem i zarazem nad wyraz miłem, a ilekroć później myślał o doktorze Blimber, zawsze go sobie wyobrażał stojącym na ganku i żegnającym „swego małego przyjaciela“.

Prócz doktora druga jeszcze postać rysowała się w wyobraźni Pawełka, postać Tutsa, który niespodzianie otworzył jedno okno karety, wsunął głowę i spytał: Dombi? Zanim mu kto odpowiedzieć zdołał, ukrył się i zaśmiał najżyczliwiej. A gdy kareta już ruszyła, Tuts skoczył z drugiej strony, znowu wsunął głowę przez okno i tym samym głosem spytał: Dombi tu? Poczem znikł, zanosząc się od śmiechu. Jak Florcia się śmiała! Paweł często myślał o tej scenie i sam śmiał się serdecznie.

Ale nazajutrz i dni następnych zaszły wydarzenia, które jak przez mgłę przypominały mu się. Przedewszystkiem nie mógł pojąć, dla czego żyli wciąż u pani Pipczyn zamiast jechać do domu? Czemu zawsze leżał w łóżku a Florcia siadywała obok. Czy przychodził do niego ojciec, czy też widział tylko na ścianie wysoki cień czyjś? Czy naprawdę mówił lekarz, czy mu się tylko przyśniło, że gdyby zabrali chłopczyka do domu przed balem dziecinnym, na którym doznał zbyt silnych wzruszeń, to zapewne nie uwiądłby tak rychło? Zdawało mu się także, że mawiał siostrze:

„Och, Florciu, zabierz mnie do domu, nie opuszczaj mnie.“ A może i to mu się przyśniło. Tylko chyba słyszał swoje własne słowa: „Jedźmy do domu, Florciu, jedźmy.“

Za to doskonale pamięta, jak go przywieźli wraz z Florcią do domu i jaki ścisk był na schodach, gdy go nieśli na górę. Poznał swój dawny pokój i maleńkie łóżeczko, gdzie go złożyli. Przed nim pośród innych stała ciotka i panna Toks i pani Pipczyn i Zuzanna. Ale i tu było coś, czego nie zrozumiał i co go mocno niepokoiło.

— Muszę pomówić z Florcią, na osobności z Florcią.

Wszyscy odstąpili, a Florcia zbliżyła się do łóżeczka.

— Powiedz, moje słoneczko, czy tatuś był na ganku, gdy mnie wynieśli z karety?

— Był, kochanku.

— Zdawało mi się, że płakał i poszedł do swego pokoju. Prawda to, mój aniele?

Florcia zaprzeczyła i przylgnęła ustami do jego policzka.

— No, tom kontent, że nie płakał. Prawda, że mi się to przyśniło. Nie mów nikomu, o com pytał.

XV. Dowcipny podstęp kapitana Kuttla i nowe kłopoty Waltera.

Długo nie wiedział Walter, co czynić z kwestyą barbadoską i nawet żywił słabą nadzieję, że pan Dombi odmieni straszną decyzyę. Może się rozmyśli i zostawi go w lońdyńskiem biurze. Ale że nic nie potwierdzało tej nieuzasadnionej nadziei, biedny młodzieniec uczuł potrzebę działania bez zwłoki, nie łudząc się mrzonkami. Jak tu zbliżyć się do wuja Salomona z tą nagłą wieścią, mającą stać się ciosem dla starca. Dopiero zaczynał wracać do równowagi po napaści nieubłaganego wierzyciela. Miczman i bawialnia rozweseliły się, część długu panu Dombi spłacona — jaśniała nadzieja ułożenia sprawy finansowej. I oto wszystko obalało się do góry dnem wskutek jakichś zimnych rachub czy bezwiednych kaprysów potężnego negocyanta. Przecież niepodobna było umknąć pokryjomu i wuj Sol musiał dowiedzieć się o grożącej biedzie. Walter nie miał do wyboru: jechać czy nie jechać. Pan Dombi orzekł wprost, że młody, że stosunki starego Hilsa nieświetne, a to określenie podkreślił takiem spojrzeniem, które wyraźnie oznaczało, że w razie odmowy młody człowiek ma opuścić jego biuro. I on i wuj doznali dobrodziejstwa pana Dombi, a Walter sam go poszukiwał. Uczucie wdzięczności obo-

wiązywało do posłuchu, tak przynajmniej myślał Walter, choć równocześnie zaczynał wątpić, czy mu się kiedykolwiek uda zwrócić na siebie łaskawe oko dumnego kupca, który chwilami, Bóg raczy wiedzieć za co, traktował go surowo.

— No — myślał Walter — trzeba się nareszcie rozprawić z wujem Salomonem. Ale że nie był pewny swego spokoju, gdy na pomarszczonem obliczu wuja ujrzy wyraz rozpaczy, zdecydował się wezwać na pomoc kapitana Kuttla i w najbliższą niedzielę udał się po śniadaniu na plac Okrętowy do jego domu.

Po drodze nie bez zadowolenia przypomniał sobie, że Mac Stringer co niedzielę udaje się do odległej kaplicy na kazanie wielebnego Melchizedeka Goulera. Biegł więc co prędzej, aby zastać kapitana, zobaczył też przybywszy z radością szeroką granatową kamizelę i surdut, wiszące przed otwartem oknem mieszkania. Zastukał tedy młotkiem we furtę energicznie.

— To nie do mnie — ozwał się głos kapitana. — Pewnie ktoś przyszedł do Mac Stringer.

Walter zastukał powtórnie.

— A zatem do mnie. Komu trzeba kapitana Kuttla?

I wślad zatem wysunęła się z okna postać Kuttla w czystej koszuli i szelkach, w świą-

tecznym krawacie i lśniącym kapeluszu na głowie.

— Walu! Tyżeś to?

— Ja, kapitanie. Wpuść pan — prędko.

— A co tam? Czy nie stało się co znowu z naszym staruszkiem?

— Nie, nie, wszystko dobrze, tylko mnie pan wpuść.

Kapitan wyraził swą radość i zeszedł na dół.

— Dla czego tak wcześnie Walu?

— Sprawa ma się tak, że bałem się nie zastać pana w domu a mam o czemś pomówić.

— Dobrze. Czemby cię przyjąć, mój miły?

— Daj mi pan dobrą radę. Nic więcej nie trzeba.

— No więc mów.

Walter opisał swe kłopoty i troski. Nic równać się nie mogło ze zdumieniem i niepokojem Kuttla, gdy poznał straszną perspektywę, obalającą widoki i nadzieje młodzieńca. Oblicze jego zaćmiło się i stał bez wyrazu jak posąg.

— Otóż tak, kapitanie. O mnie tu właściwie niema się co troszczyć. Jestem młody i nieznaczny, jak orzekł raz pan Dombi. Wiem, że sam muszę sobie torować drogę w życiu i mam otuchę, że to spełnię; są jednak dwa

momenty, którym nie dam rady. Wuj mój, jak pan wiesz, chlubi się mną, choć na to nie zasługuję. Co pan powiesz, kapitanie?

Kapitan usiłował przezwyciężyć lęk i nadaremnie usiłował nadać swej postaci wyraz spokoju.

— Choćbym nawet żył i był zdrów, kto wie, czy wyjechawszy z Anglii, ujrzę kiedykolwiek wuja. On już starzec i w jego wieku ciężko rozłączać się z ludźmi, których kocha. Jeżeli, jak pan mówiłeś raz, mógłby umrzeć od straty miczmana, z którym od lat wielu zżył się, to czy nie łatwiej przypuścić, że nie przeżyje straty...

— Swego bratanka — przerwał kapitan. — Zupełnie słusznie.

— Otóż powinniśmy koniecznie wmówić, że rozłąka będzie chwilowa. Ale wiesz pan, jak mi trudno zachować spokój. Pan i tylko pan możesz być zwiastunem żałosnej wieści i usilnie pana o to proszę. To jeden moment.

Młody człowiek zamilkł, mniemając, że kapitan zbiera myśli i doda cokolwiek. Minęła minuta, kapitan milczał. Walter ozwał się znowu.

— Teraz punkt drugi. Z przykrością widzę, że pan Dombi za coś mnie nie cierpi. Pracuję z całej siły, żeby zasłużyć na jego względy. Napróżno i doskonale widzę, że mnie nie lubi. Nie może i nie chce taić swej niechęci.

Mianowanie do Barbados — to skutek tego usposobienia — i pan Dombi, powiadamiając mnie o tem, nawet nie słodził pigułki. To się nie tylko nie przyczyni do mego awansu, lecz przeciwnie. Mam powody przypuszczać, że wyprawa ta zburzy moją karyerę. O tem oczywiście także ani słówkiem nie trzeba mówić wujowi; przeciwnie musi wyobrażać sobie, że pan Dombi wysyła mnie do Barbados w dowód swej łaski. Jabym i panu ani słówka o tem wszystkiem nie mówił, lecz jeżeli zginę za oceanem, trzeba, aby ktokolwiek znał istotny stan rzeczy. A przytem pan może dasz mi jaką dobrą radę?

— Walu, mój przyjacielu — rzekł kapitan dobrodusznie — w przepowieściach Salomona powiedziano: Na każdy czas niech będzie u ciebie przyjaciel w potrzebie.... i butelka wina dla uraczenia go! Znajdź to miejsce i załóż.

Podał młodzieńcowi rękę, dumny z oczytania i dokładności przytoczonego cytatu.

— Kapitanie Kuttl! po wuju Sol jesteś pan człowiekiem, którego najwięcej lubię. Wcale nie boję się podróży morskiej. Gdyby to chodziło o mą karyerę, gdybym sam leciał na przygody — o, tedy co innego. Z radością pędziłbym na koniec świata. Ale to nie zgodne z zamysłami wuja. Na biedę wstąpiłem do biura pana Dombi i oto sześć lat upływa, a los

mój ani o włos się nie polepszył — a nadto nie wiedzieć jak i dlaczego uzbroiłem przeciwko sobie dumną firmę. Ale nie skarżę się. Mam środki do życia — i dosyć. Jadąc za morze zostawię wuja pańskiej opiece — i będę spokojny. Nie rozpacz skłoniła mnie do wyznań. Chciałem pana przekonać, że w biurze Dombi i Syna pomiatają mną. Mówią: idź — idę bierz — biorę. Może to i lepiej, że mnie przepędzą. Pan Dombi — *drogi* przyjaciel wuja i przyjaźni tej dowiódł swym workiem. Jego życzliwość może się jeszcze zwiększy, gdy nie będę mu codzień naprzykrzał się swą obecnością. A zatem — niech żyją Indye, niech żyje Barbados! Jak to zaczyna się pieśń naszych marynarzy!

Do portu Barbadosu, zuchy!
Niech stara Anglia idzie w tył!

A kapitan gromkim głosem wyciągnął ulubiony przyśpiew:

Oh, cheerily!

— A teraz, kapitanie, jeżeli będziesz łaskaw pójść ze mną i uwiadomić wuja o tej nowinie, to ja cię pożegnam u drzwi naszego sklepu i pospaceruję sobie do obiadu.

Lecz kapitan bez wielkiej radości brał się do tej sprawy. Można sobie wyobrazić! On już tak świetnie sobie uplanował przyszłość Waltera, tak winszował sobie nieraz przenikliwości w odgadywaniu losu, aż oto jeden cios

niweczył ułudy, a w dodatku on sam ma podnieść rękę, aby je do szczętu zburzyć. Niełatwo to, niełatwo! Jakże tu wyładowywać z głowy wszystkie jasne myśli a nakładać do mózgu nowe i bardzo nieprzyjemne. Trzeba myśleć i myśleć — i kapitan, zamiast na prędce wciągnąć kurtę i kamizelę, stanowczo zadecydował, że musi przy tak ważnej okazyi nieco „pogryźć paznokci.“

— Stare nawyknienie, Walu. Kiedy zobaczysz, że kapitan Kuttl gryzie paznokcie, to znaczy, że siadł na mieliznie.

Potem w braku rzeczywistej ręki z wszelkimi pozorami głębokiego zamyślenia zaczął rozglądać w najdrobniejszych szczegółach swój kikut.

— Mam ja przyjaciela — zaczął kapitan, jakby ze sobą rozmyślał — takiego przyjaciela, który o zakład wygrałby każdą sprawę w parlamencie. Szkoda, że teraz na morzu, bo gdyby tu był, cała sprawa wydawałaby się dziecinną. Podziwu godna głowa! Trzy razy wyrzucali go z okrętu w morze, a on jakby nigdy nic! W latach szkolnych przez trzy tygodnie łomotali go po łepetynie żelaznym tłuczkiem — i nic! Suchy wychodził z każdej toni, nie gorzał w ogniu! Na świecie nie znalazłbyś takiego oczajduszy.

Walter rad był, że osławionego mędrca niema; miał powód myśleć, że wtrącanie się

obcej osoby okazałoby się i niewłaściwem i niepożytecznem.

— A jak się nazywa? — spytał.

— Nazywa się Bensbi, ale chodzi nie o nazwę, tylko o rozum.

Kapitan nie rozwodził się więcej: zagłębił się w rozważaniu i z pozoru zatracił zdolność widzenia i słyszenia. Walter czekał.

I rzeczywiście kapitan rozrabiał w tej chwili takie myśli, że nie tylko szczęśliwie wybrnął z mielizny, lecz dostał się w głęboki prąd. Olśniony natchnionem światłem, ujrzał najjaśniej, że tu tkwiła omyłka, a mylił się Walter, ten płochy i popędliwy młodzian, tak gorąco wszystko do serca biorący. Skoro go w istocie przeznaczono do Barbados, to w tym celu, aby młody człowiek jak najszybciej zrobił karyerę. A jeżeli pomiędzy Walterem i panem Dombi zaszło jakie nieporozumienie, to wypada tylko wspólnemu ich przyjacielowi szepnąć słówko, żeby się sprawa ułożyła ku obopólnemu zadowoleniu. Wniosek był ten, że ponieważ kapitan już miał przyjemność poznać pana Dombi i spędzić z nim miłe pół godziny, to trzeba teraz, jak prawdziwemu przyjacielowi — zachowawszy sekret przed Walterem — udać się do domu pana Dombi, oznajmić lokajowi: „zaanonsujno kochanku swemu panu, że kapitan Kuttl chce się z nim widzieć“ i potem, wziąwszy za guzik pana Dombi, pogawędzić

z nim po przyjacielsku, jak to się zdarza dobrze wychowanym ludziom, żywiącym wzajemny szacunek. Niema co mówić nawet, że tacy ludzie, jak on i pan Dombi, łatwo usuną wszelaką trudność i Wal dziś jeszcze dowie się o radosnej nowinie.

Wśród tych rozmyślań oblicze kapitana wypogadzało się, niby chmurny ranek, ustępujący przed słonecznem południem. Groźnie nastrzępione brwi straciły wygląd jeża, przymknięte oczy rozwarły się z wyrazem odwagi i zdecydowania; uśmiech rozlał się po całem obliczu i żywem światłem opromienił wyniosłe czoło tak, że błyszczący kapelusz podniósł się na głowie, jakgdyby razem z panem zerwał się z mielizny i spłynął na otwarte morze. Nareszcie kapitan przestał gryźć paznokcie i stanowczym tonem rzekł:

— No, Walu, rzecz skończona. Pomóż mi się ubrać.

Walter nie mógł zmiarkować, dla czego kapitan stał się czułym na swój strój. Zawiązując krawat, rozwinął ogromne końce jedwabnej chustki na kształt warkoczy i wsunął je w złotą obrączkę z wizerunkiem grobowca, otoczonego żelazną balustradą — na pamiątkę jakiegoś zmarłego druha. Podniósł kołnierzyk możliwie wysoko, na nogi włożył wytworne półbuciki, przeznaczone do wyjątkowych występów. W ten sposób wystrojony, przejrzał się w zdjętem ze

ściany lusterku i wziąwszy sękatą laskę — był gotów do drogi.

Kroczył na ulicy wynioślej niż zwykle, lecz Walter nie zwracał na to uwagi, przypisując to wpływowi półbucików. Po drodze u kwiaciarki kupił bukiet wachlarzowo uwity z najpiękniejszych cieplarnianych kwiatów. Uzbrojony tym prezentem, przeznaczonym oczywiście dla pana Dombi, kapitan bez przeszkody dotarł z Walterem do drzwi sklepu mistrza żeglarskich instrumentów.

— A zatem pójdzie pan teraz do wuja?

— Tak — odrzekł kapitan, pragnąc czemprędzej uwolnić się od Waltera.

— Ja tedy udaję się na przechadzkę, żeby nie przeszkadzać.

— Dobrze, kochanku, dobrze. Spaceruj sobie — im dłużej, tem lepiej.

Walter kiwnął ręką i poszedł w swoją drogę. Było wszystko jedno, dokąd iść. Wybór padł na Hampsted, ku tej ulicy, gdzie żył pan Dombi. Wspaniały i posępny był dom pana Dombi, jak zwykle. Wszystko tu tchnęło ciszą i spokojem, jak w grobowcu i chyba wiatr, poruszający firanki w otwartych oknach górnego piętra, dawał znak życia. Zwolna minął Walter smutne mieszkanie i zrobiło mu się raźniej, gdy znalazł się przed innymi domami. Lecz postąpiwszy kilka kroków, obejrzał się i pilnie wpatrywał się w górne okna z tem przejęciem,

jakie mu towarzyszyło od romantycznej przygody z Florcią. W tej chwili podjechał ku furcie powóz i z niego wyskoczył dżentlmen w czarnym fraku z ciężkim łańcuszkiem od zegarka. Przypominając sobie później owego dżentlmena, Walter bez trudności odgadł w nim znakomitego lekarza i dziwił się, dla kogo tu przybył. Lecz na razie nie myślał o tem. Inne zajmowały go dumy.

Wyobrażał sobie, że może nastanie czas, kiedy śliczna dzieweczka przypomni go swemu bratu i skłoni brata do wzięcia udziału w jego losie. Zresztą w tej chwili kierowały nim nie tyle rachuby materyalne, ile pocieszająca nadzieja, że urocza istota pamięta go i spotyka go zawsze mile. Lecz nie mógł się opędzić myśli, że podczas długiej jego nieobecności Florcia bogata, dumna, szczęśliwa wyjdzie za mąż i jeśli o nim sobie przypomni, to nie inaczej, jak o dziecinnej zabawce.

Długo błądził po przedmieściu, chciwie wdychając woń kwiatów, słuchając śpiewu ptactwa, świątecznych dzwonów i miejskiego rozgwaru.

Nakoniec wydostał się z przedmieścia i powoli wracał ku domowi, ciągle myśląc o swym smutnym losie. Wtem gruby głos męski i przenikliwy krzyk niewieści, wołające go po imieniu, wyrwały go z zadumy. Obejrzał się i spostrzegł dorożkę, doganiającą go. Gdy stanęła, woznica z biczem w ręce, zeskoczył

z kozła, a młoda kobieta, wysunąwszy się z okna dorożki, zaczęła go wołać i machać ręką. Zbliżył się i poznał, że kobietą była Zuzanna Nipper i tak przelękniona, że prawie utraciła przytomność.

— Ogrody Staggsa, panie Walterze — wołała — na miłość Boską, ogrody Staggsa.

— Co się stało? O co pani pyta?

— O, bądź pan łaskaw, panie Walterze! Ogrody Staggsa, niech je licho porwie!

— Widzi pan — wołał z rozpaczą woźnica — od godziny błąkamy się wzdłuż i poprzek, a ta młoda pani pędza mnie po takich wertepach, gdzie sam czart kark skręci. Wielu woziłem w swem życiu, ale takiego gościa nie miałem.

— Na co pani ogrody Staggsa, Zuzanno?

— Pytaj ją o to! Ubrdała sobie wciąż jedno i koniec — mruczał woźnica.

— Ach, gdzież one, mój Boże? Wszakże jam tam sama raz byłam, panie Walterze, razem z panną Florcią i naszym biednym Pawełkiem, tegoż dnia, kiedyś pan znalazł miss Florcię w City, kiedyśmy ją zgubili w powrotnej drodze, tj. ja i pani Ryczards.... pamięta pan.... szalony byk i Kocioł, synek piastunki.... a potem tam jeździłam i wcale nie pamiętam.... niech to licho porwie.... Ach, panie Walterze, nie opuszczaj mnie! Ogrody Staggsa! Gdzie one! gdzie one! Ukochany braciszek panny Florci,

najmilszy nasz biedny Pawełek! Ach, panie Walterze!

— Mój Boże! Czyżby był chory?

— Kwiatuszek mój! — wołała, załamując ręce. — Koniecznie zachciało mu się widzieć dawną piastunkę, a ja podjęłam się przywieźć z ogrodów Staggsa Polli Tuddl!...

Dowiedziawszy się, o co chodzi, Walter tak gorliwie zajął się sprawą, że konie ledwie zdążyć zdołały za nim. Rzucał się z ulicy w ulicę, dopytując wszystkich i każdego z osobna, którędy droga do ogrodów Staggsa.

Nareszcie po wielu bezowocnych poszukiwaniach Walter z woźnicą i Zuzanną spotkał człowieka, który zachował jakieś mgliste wspomnienie o ogrodach Staggsa. Był to wędrowny kominiarz.

— Pytasz pan o Tuddla? Znam. To ten, co służy na kolei?

— To, to — zawołała Zuzanna.

— Gdzie teraz mieszka? — dopytywał Walter.

— W zakładach Towarzystwa, drugi zwrot na prawo, przez podwórze, znowu na prawo. Numer jedenasty. Niepodobna zabłądzić. Zresztą pytać, gdzie Tuddl, palacz. Każdy wskaże.

Zuzanna Nipper wyskoczyła z powozu, porwała Waltera za rękę i popędziła we wskazanym kierunku, poleciwszy dorożkarzowi czekać.

— Czy dawno chory biedny chłopczyna? — pytał Walter.

— Już dawno zaniemógł, tylko że nikt nie wiedział. Och, ci Blimberzy!

— Blimberzy?

— Rozumie się. Gdyby tak na mnie, spędziłabym całą tę szajkę na szosę tłuc kamienie a doktorową zmusiłabym do wożenia cegły. Serce się kraje, gdy się widzi tę dziecinę, a biedactwo nie żali się na nikogo i ze wszystkiego kontent.

Panna Nipper stanęła na chwilę i znów pomknęła jeszcze prędzej. Walter biegł, więcej nie pytając. Nareszcie dotarli do drzwi i weszli do małej wesołej bawialni, pełnej dzieci.

— Tu pani Ryczards? Ach, pani Ryczards, chodźmy, chodźmy!

— Jakto, Zuzanna? — zdziwiła się Poli.

— Tak, to ja, choć byłoby może i lepiej, żeby nie ja. Ale oto nasz Pawełek bardzo chory i dziś prosił ojca, żeby mógł spojrzeć na swą mamkę. I on i Florcia spodziewają się, że pani przyjdzie ze mną i z panem Walterem, że pani zapomni o przeszłości i zrobi to dla naszej ptaszyny. Gaśnie, pani Ryczards! Ach, mój Boże, jak gaśnie!

Zuzanna zaczęła szlochać, Polli się rozpłakała, dzieci zapiszczały, większe pootwierały usta i spoglądały z podziwem na matkę. Pan Tuddl, który właśnie wrócił z Birmingamu

i jadł obiad, rzucił nóż i widelec, okrył ramiona żony szalem, poprawił czepek i rzekł tonem ojcowskim:

— Prędzej, Polli.

Cała kompania przybiegła do powozu rychlej, niż myślał woźnica. Usadziwszy w karecie Zuzannę i panią Ryczards, Walter skoczył na kozioł, żeby wskazywać drogę woźnicy i cel wyprawy został osiągnięty. Młodzieniec przyprowadził swe damy do sali pana Dombi, gdzie ujrzał nie bez zdziwienia na stole wspaniały bukiet, szczególnie podobny do nabytego rano przez kapitana Kuttla. Bardzo pragnął dowiedzieć się czegoś o pacyencie i okazać mu jakąś usługę; lecz nie chcąc się narzucać panu Dombi, pocichu wyszedł i powlókł się do domu smutny i z sercem rozdartem.

Nie upłynęło pięciu minut, jak lokaj go dopędził i prosił w imieniu pana Dombi, aby wrócił. Walter przyspieszył kroku i ze smętnem przeczuciem wszedł do ponurego domu.

XVI. Co mówiły fale morskie?

Pawełek już nie wstawał. Dzień i noc spokojnie leżał w swem łóżeczku, wsłuchując się w gwar ulicy i nie troszcząc się o to, jak czas upływał. Ale śledził i czas i całe otoczenie.

Gdy promienie słońca wlewały się do pokoju po przez cienkie story i chwiały się na przeciwległej ścianie nakształt fal złotych, Paweł

wiedział, że wieczór i niebo, ozłocone zachodzącymi blaskami, było śliczne. Gdy blaski gasły i zmrok ponuro skradał się ku ścianie, obserwował pilnie stopniowe zbliżanie się nocy. Potem myślał, jak to na długich ulicach pojawiały się świetlne punkty a gwiazdy zapalały się na oceanie bezkresnego nieba. Wyobraźnia jego wciąż kierowała się ku rzece, która, jak wiedział, płynęła środkiem miasta. Myślał, jaką jest w nocy ta czarna rzeka i jak niezmierną się wydaje, gdy miryady gwiazd odbijają się w jej głębi. Z rozkoszą wyobrażał sobie zlew nurtów rzecznych z falami bezbrzeżnego morza.

Późną godziną cichł gwar ulicy a Paweł doskonale rozpoznawał coraz rzadsze odgłosy stóp, liczył je i śledził, dopóki nie zamierały w przestrzeni. Cierpliwie wyczekiwał przedświtu, śledząc uważnie kółka i kręgi około świec. Cichy sen jego rzadko się przerywał bystrym potokiem rzeki. Usiłował niekiedy wstrzymać wart dziecinnemi rączkami lub zatamować go piaskową groblą i płakał, gdy mu się nie powiodło. Lecz jedno słówko Florci, siedzącej przy łóżku — ukajało go. Podnosił główkę do jej łona, opowiadał sny swoje i uśmiechał się.

Z rozświtem śledził słońce, a gdy promyki jego strugą wpadały do pokoju, widywał na porannem nieba skłonie wyniosłe szpice świątyń, czuł budzenie się grodu, widział wyraźnie ludzi

jeszcze raz powołanych do życia, bystrą, wesołą rzekę i odległe pola, połyskujące od świeżej rosy. Zwyczajny szum znów go dochodził z ulicy, domowi budzili się i krzątali ; we drzwiach pojawiały się znajome twarze i ludzie pytali go o zdrowie, a Pawełek zawsze odpowiadał:

— Lepiej mi. Dziękuję. Powiedźcie ojcu, że mi daleko lepiej.

Stopniowo gwar ulicy go nurzył. Stuk pojazdów i wrzawa tłumu dokuczała. Zaczynał drzemać — lecz nagle budził się, przelękniony bystrym prądem rzeki... Dziecię nie mogło rozeznać, czy we śnie czy na jawie walczy z falami.

— Ach, Florciu! Czemu nigdy nie stanie ta rzeka? Czemu unosi mnie naprzód i naprzód? Ach, Florciu!

Florcia nie umiała go ukoić. Kładł główkę jej na poduszce i radził usnąć.

— Wciąż troszczysz się o mnie. Pozwól i mnie zająć się tobą.

Okładano go poduszkami w rogu pościeli i z niewysłowioną miłością patrzył, jak siostra spoczywała na jego wezgłowiu. Czasem nachylał się i całował ją, a otaczającym szeptał, że się zmęczyła, całymi dniami i nocami nie zamykając oczu i doglądając go.

Tak dzień zwolna chylił się ku wieczorowi i znowu złote promienie sączyły się na ścianę.

Trzej znakomici lekarze odwiedzali Pawełka. Naradzali się na dole a potem razem wchodzili

na górę. Cicho i spokojnie było w pokoju chorego Paweł nie pytał i nie dowiadywał się, co mówią lekarze, lecz śledził ich tak czujnie, że rozróżniał nawet tykanie zegarków w ich kieszonkach. Całą uwagę zwracał głównie na doktora Parkera Pepsa, który zazwyczaj siadywał na krześle obok łóżka. Dawno wiedział, że ten dżentlmen był przy jego mamie, gdy trzymała Florcię w objęciu i umarła. Nie mógł o tem zapomnieć. Wcale nie lękał się doktora Pepsa, nawet go lubił.

Wszystkie twarze zmieniały się naokoło Pawła, tylko Florcia się nie zmieniała. Florcia była zawsze Florcią. A to, co przed chwilą było doktorem Pepsem, wnet brało postać ojca, który siedział w głębokiem milczeniu, oparłszy głowę na ręce. Stara pani Pipczyn nieraz przeistaczała się w pannę Toks lub ciotkę Czykk. Dla Pawła to było wszystko jedno. Nawet czasem z przyjemnością zamykał oczy, aby otwarłszy je za chwilę nowe obserwować przemiany. Lecz ta postać z głową na ręce wspartą wracała tak często, siedziała tak długo, cicho i uroczyście, bez słów, o nic nie pytając, że Paweł zaczynał wątpić, czy to naprawdę żyjąca postać. Raz, ujrzawszy ją o północy na zwykłem miejscu w zwyczajnej pozycyi, zląkł się:

— Florciu, co to takiego?

— Gdzie, duszko?

— Tam, na końcu łóżka?

— Tam niema nikogo prócz tatusia!

Postać wstała i zbliżyła się.

— Co, kochanie? Czy mnie nie poznajesz?

To zatem był tatuś! — myślał Paweł. Więc to naprawdę on! Na twarzy pana Dombi znać było drżenie, jakby chciał stłumić ból. Zanim Pawełek wyciągnął rączki, aby go objąć, postać szybko odskoczyła i znikła z pokoju.

Paweł spojrzał na Florcię, lecz nie wiedząc, co ma powiedzieć, przyciągnął główkę jej do swych ust. Innym razem milcząca postać znowu siedziała na zwykłem miejscu. Pawełek przywołał ją do wezgłowia.

— Tatusiu drogi, nie martw się o mnie! Jam naprawdę szczęśliwy!

Ojciec podszedł, nachylił się ku wezgłowiu, a Pawełek otoczył szyję jego rękami i kilka razy z tkliwym wyrazem głębokiego współczucia powtórzył te słowa. Odtąd ile razy dniem czy nocą ujrzał ojca w pokoju, natychmiast wzywał go do siebie i mówił: Nie martw się o mnie, tatusiu, jam zupełnie szczęśliwy. I każdego poranku, skoro tylko pan Dombi budził się, do gabinetu jego wchodził służący od Pawełka z zapewnieniem, że chory ma się daleko lepiej.

Raz w nocy długo myślał o matce i jej portrecie w bawialni. Myślał, jak musiała tkliwie kochać Florcię, gdy ją trzymała w objęciu przed zgonem. Jakże pragnąłby tak samo okazać jej swe czułe przywiązanie. Tok rozmy-

ślań nasunął mu pytanie: czy kiedykolwiek widział swą mamę. Doskonale pamiętał, że mu o tem opowiadano. Rzeka mknęła szybciej i szybciej i zalewała jego rozmyślania.

— Florciu, widziałem ja kiedy mamę?

— Nie, mój aniołku, nie widziałeś.

— A kiedy byłem dzieckiem, Florciu, nigdy nie patrzyły na mnie takie jak jej kochane oczy.

Wyraźnie w duszy rodziła się zamglona wizya nieznanego obrazu.

— Tak, mój najmilszy.

— Któż na mnie tak patrzył, Florciu?

— Twoja mamka i bardzo często.

— Gdzież ona, moja dawna piastunka, Florciu? Czyżby umarła? Czyżbyśmy wszyscy umarli prócz ciebie, Florciu?

W pokoju ktoś się poruszył, lecz tylko na mgnienie oka. Florcia blada, lecz uśmiechnięta położyła główkę dzieciny na swą rękę, a mocno drżała ta ręka.

— Pokaż mi moją dawną nianię, Florciu. Gdzie ona?

— Niema jej tu. Jutro przyjdzie.

— Dziękuję ci, Florciu.

Pawełek zamknął oczy i usnął. Kiedy się ocknął, słońce wysoko się już paliło na jasnem i czystem niebie. Dzień był piękny. Świeży wietrzyk chwiał firanką w otwartem oknie. Paweł obejrzał się i rzekł:

— Cóż, Florciu? Teraz już chyba jutro. Czy przyszła?

— Ktoś zdaje się poszedł po nią. Może Zuzanna.

Paweł zamknął oczy i zdawało mu się, jak gdyby mówiono, że wnet powróci. Ale już nie otwierał oczu, żeby się przekonać. Zuzanna dotrzymała słowa, na schodach dały się słyszeć kroki. Pawełek obudził się i usiadł na łóżeczku. Ujrzał wszystkich, ujrzał i poznał. Znikła mgła, która mu przesłaniała oczy. Witał każdego po imieniu.

— A to kto? Czy nie dawna moja niania? — pytał, wpatrując się z promiennym uśmiechem w twarz wchodzącej kobiety.

O tak, tak! Obca przy spojrzeniu na niego nie zalałaby się tak gorżkiemi, beznadziejnemi łzami, nie nazywałaby go swem miłem dziecięciem, swym biednym, więdniejącym kwiatuszkiem. Żadna inna kobieta u jego łoża nie podnosiłaby do ust swych i serca zeschłej rączki. Żadna inna w nadmiarze rozczulenia i litości nie byłaby w stanie tak o wszystkich i wszystkiem na świecie zapomnieć, prócz Pawełka i Florci.

— Ach, Florciu, najdroższa Florciu! Jakie dobre i słodkie jej spojrzenie. Jakim szczęśliwy, że znów ją widzę. Nie odchodź stąd, dawna moja nianiu! Pozostań tu!

Wtem wymieniono imię, znane Pawełkowi i w lot je usłyszał.

— Kto wspomniał o Walterze? Kto w tej chwili powiedział „Walter“. On tu? Chcę go widzieć.

Nikt wprost nie odpowiedział; lecz ojciec zwrócił się do Zuzanny.

— Każ go zawołać, niech wejdzie!

Nastąpiło milczenie. Paweł z uśmiechem patrzył na dawną nianię i cieszył się, że nie zapomniała o Florci. Upłynęło pięć minut.

Walter wbiegł do pokoju. Jego miła twarz, niewymuszone ruchy i wesołe oczy zawsze podobały się Pawełkowi. Ujrzawszy teraz przyjaciela swej siostrzycki, wyciągnął doń rękę i rzekł:

— Żegnam cię.

— Jak to „żegnam“, moje dziecko — zawołała pani Pipczyn. — Dla czego „żegnasz?“

— O, tak — rzekł — żegnam cię, drogi Walterze, żegnam na wieki!

Gdzie tatuś? — spytał z niepokojem, oglądając się naokoło.

Poczuł na skroni tchnienie ojca, zanim ten otworzył usta do odpowiedzi.

— Pamiętaj o Walterze, kochany tatusiu — szeptał. — Pamiętaj o Walterze! kochałem Waltera!

I jeszcze raz podnosząc drżące ręce, zawołał: Żegnam cię, Walterze!

— A teraz mnie połóżcie. Ty, Florciu, zbliż się, więcej, więcej, moja najukochańsza. Pozwól przyjrzeć się sobie.

Brat i siostra obwiły się ramionami a złote blaski olśniły ich falą, po raz ostatni tak złączonych.

— O, jak prędko mknie rzeka, miła Florciu, pośród brzegów zielonych. Otóż i morze. Już słyszę jego fale. Zawsze jedno i to samo szemrzą fale morskie.

Potem opowiadał, że kołysanie się łódki na bystrej wodzie usypia go.

Jak śliczne teraz zielone brzegi, jak błyszczą kwiaty, na nich rosnące.

A oto łódka na morzu, cicho, lekko pruje jego jasne tonie. Brzeg. Kto tam na brzegu?

Złożył rączki do modlitwy, obwinąwszy niemi szyję siostry.

— Mama podobna do ciebie, Florciu. Widzę jej twarz. Ale powiedz, że obraz na schodach w pensyonacie nie taki ładny. Światło od głowy jej błyszczy mi nad głową, gdy idę.

Złote fale znów przesączyły się na ścianę, lecz w pokoju nie znać było ani śladu ruchu.

Stary, stary zwyczaj! Stara moda na świecie. Nie ginie, dopóki ród ludzki nie zginie, a świat nie otuli się całunem. Stara, stara moda śmierć!

O, chwalcie Pana, którzy go widzicie, za inną modę, za nieśmiertelność!

Aniołowie i dzieci niech na nas patrzą łaskawym wzrokiem, kiedy cicha rzeka zaniesie nas do oceanu.

Koniec tomu pierwszego.